

G. O. Baxter

Droga do San Triste

(Przełożyła Maria Wańkiewiczowa)

I - Trzech ludzi na jednym tropie

W mieście El Paso, w holu hotelu Paso del Norte spotkali się pewnego dnia trzech detektywi. Z samego El Paso pochodził tylko Thomas, Ingram urodził się w San Francisco, a Walker w Denver. Znali się od dawna, jeszcze z Manhattanu, tam się bowiem nauczyli obchodzić z bronią i tropić ludzką zwierzynę. Wszyscy trzej byli ludźmi zaradnymi i mieli pewne wspólne cechy: na przykład rozmawiając z kimś stojącym blisko, nie ruszali prawie wargami, tak jak uczniacy bawiący się w tajemniczych zbrodniarzy. Nie mogli się od tego odzwyczaić. Poza tym wszyscy trzej żuli stale na pół wypalone cygara i w mieście nosili cylindry.

Przywitali się bez zbytniego zdziwienia. El Paso leży na skrzyżowaniu dróg wiodących w różne strony świata i stanowi północną bramę Meksyku. Wielu ludzi zagłada przez nią w tajemniczy świat dziwów Starego Meksyku i wielu, spakowawszy manatki, wychodzi tędy na daleką wędrówkę w pogoni za bogactwem i przygodą.

- No i co słyhać? - spytał Ingram kolegów.

- Ja mam tu coś do załatwienia - odparł Thomas. - Przyglądam się właśnie pewnemu jegomościowi, który teraz znajduje się w tym hotelu. Drugiego takiego ananasa nie znajdziecie nigdzie na zachód od Missisipi.

- Mój pasażer na pewno mu w niczym nie ustępuje - odparł Ingram. - Przyjechałem za tym młodzieńcem z San Francisco. Naprawdę pobił wszystkie rekordy.

- Co można mu dowieść?

- Nic prócz tego, co mam zamiar wytropić.

- Moi drodzy, nie kłóćcie się na temat ptaszków, na których polujecie - wtrącił się do rozmowy Walker. - Ja uganiam się za gościem, który był wszystkim: od łamistrajka aż do przemytnika włącznie. Nazywa się Hubert Halsey.

Wiadomość tę powitał szmer trwożnego szacunku.

- Gdzie on jest obecnie?

- Tu, w hotelu. Właśnie wszedł do nr 1122.

- Mój ananas też tam poszedł.

- Któż to taki?

- Si Denny.

- Mój nazywa się Marmont i też wszedł na to piętro - przerwał im Ingram. - Nie dojrzałem numeru pokoju, ale to na pewno ten sam, o którym mówicie. Kto tam mieszka?

- Józef Simon, dziwnie wyglądający typ - odparł Thomas. - Jak tylko go zobaczyłem, pomyślałem sobie, że to podejrzana figura. Teraz jestem tego pewien. Założyłbym się o jedno: ta czwórka nawarzy takiego piwa, że włosy wam staną na głowie.

- Marmont, Denny i Halsey pracują razem? Cóż to, do diabła, może być za interes? - mruzczał cicho Ingram.

- Zlep z tej trójki całość złożoną z trzech równych części i daj im jakąkolwiek możliwość czynu, a wywiercą ci dziurę w ziemi stąd, aż do Chin - podsumował Walker. - Dużo bym dał za to, żeby wiedzieć, co oni w tej chwili robią.

Gdyby mógł był zajrzeć do pokoju, w którym znajdowali się trzej włóczędzy, zdziwiłby się ogromnie: siedzieli cichutko przed dużym olejnym obrazem i przypatrywali mu się w głębokim skupieniu. I doprawdy, jeżeli ci ludzie byli złoczyńcami, nic w ich powierzchowności nie zdradzało tego.

Pośrodku siedział Halsey, najstarszy z trójki, liczący około pięćdziesięciu lat. Miał wypukłe, bladoniebieskie oczy, mięsiste, zorane bruzdami czoło, jakie się widuje na autoportretach Rembrandta malowanych w starości. Robił wrażenie kogoś niezmiernie nieszkodliwego i lubiącego dobrze się odżywiać; kulał nieco, co raczej można było przypisać podagrze niż ranom.

Po prawej jego stronie siedział Silas Denny. Wysoki, szczupły człowiek o ogromnych rękach i nogach, dużej, godnej filozofa głowie, chwiejącej się niepewnie na końcu długiej, cienkiej szyi. Skórę twarzy miał grubą, charakterystyczną dla marynarzy, spokojne szare oczy otoczone zmarszczkami i niski, niesłychanie dźwięczny głos. Gdy mówił, pokój zdawał się być napełniony modulacją tego głosu. Pochodził z Nowej Anglii.

Trzeci to Piotr Gaston Marmont. Był mały, liczył sobie najwyżej dwadzieścia cztery lata życia, ruchy miał szybkie, nerwowe i twarz psychicznie wyczerpanego człowieka, w normalnym życiu umierał z nudy, nie mógł egzystować bez silnego bodźca, jakiejś sztucznej podniety.

Wszyscy trzej wpatrywali się od jakiegoś czasu w portret młodego mężczyzny, mogącego liczyć od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Portret przedstawiał go w pozycji stojącej, z ręką opartą o biodro i twarzą zwróconą nieco w bok.

- Jeszcze uważniej, jeszcze uważniej, przyjaciele - odezwał się Józef Simon z głębi pokoju.

- Mam fotografie portretu, ale fotografie nie oddadzą koloru oczu, odcienia cery, połysku ciemnych włosów.

Podszedł bliżej i stanąwszy koło portretu, zaczął wskazywać na charakterystyczne jego cechy, tak jak to robi w klasie nauczyciel.

- Zwróćcie uwagę na smukłość rąk i widoczną przez skórę błękitną siatkę żył. Życzę sobie, żebyście się jak najdokładniej przyjrzeni temu obrazowi. Chcę, żeby każdy szczegół wrył się wam w pamięć. Pragnę, żebyście go wchłonęli i przyswoili sobie.

Zapał rozgrzał go, na białych policzkach wykwitły szkarłatne rumieńce, zgięte plecy wyprostowały się, odrzucił w tył długie, siwe włosy opadające mu na czoło.

- Przyjrzyjcie się tej postaci. Zedrzyjcie zeń ubranie, bądźcie anatomistami, wysiłkiem wyobraźni odtwórzcie drobne kości, giętkie mięśnie, całe to ciało, kwintesencję szybkości i lekkości. Taki człowiek może skakać ponad własną wysokość, biegać jak chart, uderzać jak zawodowy siłacz. A przede wszystkim i nade wszystko patrzcie na tę twarz. Widzicie prosty, cienki nos, cieniutki, śmiało zarysowany łuk brwi, długą, wąską szczękę zapaśnika, mocną i ostro zakończoną jak szczeka bullterriera, bezbarwne, wąskie usta, wyniosłe czoło, czarne włosy. Zaobserwujcie to wszystko, zapiszcie to sobie w pamięci...

Obrócił się ku nim i dziwnym, błagalnym ruchem podniósł ręce ku górze, oczy miał smutne, a ramiona skurczone.

- Ten człowiek jest inteligentny, ale myśli leniwie. Gra nie dla wygranej, ale dla emocji przegrywania. Ciągłe ma z wszystkimi zatargi. Wobec równych sobie jest niegrzeczny i arbitralny. Dla osób zajmujących względem niego stanowisko podrzędne, powiedzmy dla służby, jest zdumiewająco łagodny i uważny.

- Dostyc już, dostyc! - przerwał mu nagle zdenerwowanym tonem Marmont. - Ja widzę jego duszę wyraźniej niż ciało!

- O to właśnie chodzi. Psychika to rzecz najważniejsza. Jeżeli będzie miał odpowiednie nastawienie psychiczne, możemy się zgodzić na różnice w twarzy lub sylwetce. Nie będą wam wcale przeszkadzały. No, przyjaciele, czy wchłonęliście już ten obraz do dna?

- Kto to malował? - spytał Halsey zapalając papierosa i nie odrywając białych oczu od obrazu.

- Nazwisko malarza nie ma znaczenia - odparł Józef Simon. - Jedno wam tylko powiem: zgadnijcie, ile zapłaciłem mu za czas poświęcony na malowanie tego obrazu?

- Pięćset dolarów? - próbował zgadnąć Silas Denny.

- Et - zachnął się Marmont. - Cztery razy tyle!

Halsey pochylił się na krześle i jeszcze uważniej zaczął się przyglądać mocnym, pewnym pociągnięciom pędzla.

- Myślę, że od dziesięciu do dwudziestu tysięcy - szepnął.

Simon obrócił się ku niemu rozpromieniony.

- Pan jest znawcą! I kosztowało mnie to właśnie dwadzieścia tysięcy dolarów - frankami.

- A jak się nazywa człowiek na portrecie?
- Nie ma nazwiska.
- Co takiego? - Wszyscy trzej spojrzeli zdumieni.
- Nie ma nazwiska. Jest dziełem rąk ludzkich, nie bożych. Nie jest jednostką; jest rasą. Słuchacze powstrzymali się od wykrzykników. Milczeli.

- A teraz panowie - ciągnął dalej Józef Simon - powróćmy do naszych interesów. Początkowe zadanie panów jest bardzo łatwe. Po prostu macie podróżować. Wydatki związane z podróżą będą panom zwrócone. Wynagrodzenie pozostaje to samo: dwieście dolarów tygodniowo. Krótko mówiąc, ofiarowuję panom urlop wypoczynkowy, prosząc was tylko o to, żebyście bacznie patrzyli wokół siebie. Rozumiecie?

- No i co dalej? - spytał Denny głębokim, dźwięcznym głosem.

- Macie się posługiwać tylko oczami i macie mi znaleźć kogoś, kto odpowiada temu oto typowi.

- To dziwna twarz - odparł Denny. - Świat by można obejść dokoła i nie spotkać podobnej.

- Nie wymagam niemożliwości - odparł Simon. - Proszę tylko o typ, o typ, o typ! Czy jasno się wyrażam? A typ znajdziecie. Człowiek ten musi mieć co najmniej pięć stóp i jedenaście cali wysokości - raczej kilka cali więcej. Nie może mieć mniej niż dwadzieścia dwa lata i nie więcej niż dwadzieścia pięć. Musi być mądry, odważny, zdecydowany. I musi oczywiście mówić po hiszpańsku jak rodowity Hiszpan. Widzicie, że wymagam bardzo wiele. Toteż zdobyłem jako pomoc trzy najlepiej widzące pary oczu na całym świecie. Zabierzecie się więc panowie do roboty? Od dziś?

Patrzyli na niego głęboko zamyśleni, każdy badał własną pamięć, każdy starał się wskrzesić w myśli twarz lub twarze mogące służyć danemu celowi.

- Nagrodę dostanie ten, który znajdzie potrzebnego mi człowieka - mówił Simon - który go znajdzie i przyprowadzi do El Paso. Nagroda wysokości pięciu tysięcy dolarów. Ale dopiero po rozmowie z nim i o ile będę z rozmowy zadowolony.

- A czy nasza praca skończy się z chwilą, gdy go tu przywieziemy? - spytał Denny.

- Nie, nie. To tylko początek. Gdy go będziemy mieli, dopiero wówczas możemy rozpocząć nasze wielkie przedsięwzięcie.

Rzucił się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach, drżał cały z wyczerpania i wzruszenia. Trzej mężczyźni patrzyli na niego, a w oczach ich czaiła się pogarda. Wreszcie uklonili się i kolejno opuścili pokój. Simon żegnał ich w milczeniu. Czekał, aż wyjdą. Wówczas zerwał się z krzesła i zaczął przemierzać pokój lekkimi, bezszelestnymi krokami. Przypominał pierwotne zwierzę, które wyszło na żer; w oczach palił mu się dziki ogień, jak gdyby każdy krok zbliżał go do upatrzonej

ofiary. Czasem zatrzymywał się i twarz jego przyciemniał wyraz rozpacz i lęku, widać było jednak, że starał się zwalczyć zwątpienie i powracał do przerwanej wędrówki z westchnieniem podobnym do jęku.

II - Mały

Nasza trójka rozgrzana słowami Józefa Simona i uzbrojona w mentalną wizję obrazu, z kieszeniami napchanymi zdjęciami portretu, rozstała się wkrótce. Każdy ruszył w swoją stronę. Piotr Marmont pośpieszył do San Francisco, gdzie miał zamiar odnaleźć kogoś, kto miał twarz podobną do twarzy z portretu.

Hubert Halsey pognał do St. Louis z taką szybkością, na jaką było stać ekspresy. A Silas Denny wynajął sobie konie i bryczkę i rozpoczął powolną wędrówkę wzdłuż rzeki Rio Grande. Gdy trafił po drodze na jakieś miasteczko, to w knajpach i restauracjach, w których jadał, nigdy nie zapominał wyjąć z kieszeni fotografii portretu i położyć jej na widocznym miejscu na stole.

Każdy kto na nią rzucił okiem, zatrzymywał się, by się jej lepiej przyjrzeć: było coś w tej twarzy o arystokratycznych rysach, władczych oczach i gorzko zaciśniętych ustach, co wzbudzało ogólne zainteresowanie. Od czasu do czasu ktoś zaczynał rozmowę z Si Denny na temat tej fotografii. W każdym mieście opowiadał inną historię.

Fotografia tak powszechnie działała na wyobraźnię, że rozmaici ludzie poznawali w niej kogoś znajomego. W przeciągu sześciu dni Denny został skierowany wielokrotnie na fałszywy trop. Raz wprawdzie trafił na człowieka, który z twarzy przypominał ludzaco postać na portrecie, ale miał co najmniej trzydzieści lat, mówił jakimś ludowym hiszpańskim narzeczem i stanowczo nie miał ani kastylijskiego akcentu, ani odrobiny rozumu. Pomimo wszystko jednak Denny nie chciał się udać do wielkiego miasta, w którym miałby okazję zobaczenia setki razy więcej twarzy niż tu, w małych miasteczkach leżących wzdłuż pustych szlaków. Powiedział sobie, że tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu może znaleźć to, czego szukał. Wobec tego mogło go to szczęście spotkać zarówno w wiosce, gdzie się krzyżują dwie szosy, jak i w wielkiej metropolii. Denny był zdecydowanym fatalistą.

Wędrował tak przez dziesięć dni, i dziesiątego gotów był zrezygnować ze swojej misji: wysiłki okazały się bezowocne.

Tego wieczoru zatrzymał się w zakurzonej, sennej, nudnej mieścinie położonej niedaleko granicy. Ludność meksykańska była pięć razy liczniejsza od amerykańskiej, bielone domki były nędzne i niskie. Tego popołudnia złapała Denny'ego niewielka burza piaskowa; skoro tylko dostał się do hotelu, zmył z siebie kurz, wytrząsnął, o ile się dało, piasek z ubrania i zszedł na kolację. Późno już było. Podano mu wystygły kawał wieprzowiny, letnie kartofle; biała kawa była gorzka i słaba, a obrzydliwa, zwarzona śmietanka ochłodziła ją zupełnie.

Paskudne jedzenie pogorszyło jeszcze bardziej humor naszego podróżnika. Fotografie, jak zwykle, położył koło swego talerza. Ogarnęła go chęć podarcia jej i napisania kilku słów do Józefa Simona, posyłających jego i tę wstrętną robotę do diabła.

Naprzeciwko Denny'ego siedział przy małym stoliku handlarz bydlę; skończył kolację, wstał od stołu i skierował się ku wyjściu. Przechodząc koło Denny'ego zatrzymał się tak gwałtownie, że aż brzękły ostrogi u butów, i wlepił wzrok w fotografię. Wielka opalona łapa oparła się o stół Denny'ego.

- Czy pan jest może przyjacielem Małego? - spytał głos tworzący harmonijną całość z łapą. Denny spojrział w rozgrzaną twarz mówiącego.

- Może - powiedział chłodno. - A pan?

- Ja nie - odparł bardzo zdecydowanym tonem. - Ale jeśli go pan zobaczy, to niech mu pan coś ode mnie powie.

Silas Denny nie był odpowiednio usposobiony do wysłuchiwania podobnej propozycji. Silne, giętkie mięśnie ramion nabrzmiały mu i utworzyły twarde, ruchome węzły.

- Zaczynałem, przyjacielu, karierę od załatwiania posyłek, ale dałem temu pokój dawno - odparł niepokojąco uprzejmym tonem.

Gruby handlarz zrobił się purpurowy i wściekłość chwyciła go za gardło. Jego również dosięgła burza piaskowa i małe ziarenka żwiru drażniły całe jego ciało.

- Obcy człowieku - powiedział rozgniewanym głosem - zdaje się, że mógłbym cię prosić o zanieśnięcie Małemu czegoś, o czym nie trzeba dużo gadać. Otrzymałbyś ten prezent ode mnie, a widać by go było z daleka.

Wyciągnął ogromną pięść, Si Denny zrobił się równie blady jak przeciwnik czerwony, a na twarzy jego osiadł wyraz zadumy.

- Proponuję, żebyśmy wyszli na dwór, tam będziemy mieli więcej miejsca do gadania. W takim małym pokoju nie mogę swobodnie rozmawiać.

Handlarz zgodził się natychmiast. Wyszli na szeroką, hałaśliwą ulicę, pełną bawiących się dzieci.

- Gotów? - zapytał handlarz.

- Czekam - odparł Denny.

Handlarz podniósł ramię. Pięść Denny'ego błyskawicznym ruchem zadała mu potężny cios w zębra. Gruby jegomość usiadł nagle w pył uliczny i chwycił się rękami za boki. Denny bardzo zamyślony wrócił do hotelu, kręcąc głową i przeklinając siebie.

Wiedział dobrze, że znalazł wreszcie klucz do rozwiązania sytuacji i że okazję tę zmarnował. Temu człowiekowi, który siedział obecnie w kurzu na ulicy, kiwając się z boku na bok

i starając się złapać oddech, widocznie zdawało się, że zna człowieka z fotografii. Nawet go jakoś nazwał. W ogóle cała ta sprawa była niesamowita. Postać z portretu, wykwit wyobraźni malarza, wcielała się wreszcie w żywą istotę. Denny'emu wydawało się to wszystko bardzo tajemnicze. Nie śmiał sobie samemu zadawać pytania: o co tu właściwie chodzi? Dlaczego namalowanie tego obrazu tyle kosztowało? Jeżeli nie był to portret żyjącego człowieka, dlaczego Józef Simon tak bardzo pragnął odnaleźć kogoś, kto byłby do portretu podobny? A jeżeli taki człowiek z krwi i kości zostanie znaleziony, do jakich celów będzie użyty? Te pytania zamknął Denny w głębinach swego mózgu. Nienawidził bowiem rzeczy skomplikowanych i niesamowitych. Był człowiekiem zdecydowanie praktycznym. Wierzył w to, że wszystko na świecie można sprawdzić i wytłumaczyć. Wszelkie abstrakcje napępiały go wstrętem. Osobiście miał małą skalę wzruszeń: wierzył mocno, że ludzie mówiący o przyjaźni między mężczyznami i o miłości między mężczyzną a kobietą, są skończonymi hipokrytami.

Według niego ludzie żenili się, gdy chcieli mieć dobrą kucharkę, płodzili dzieci z głupoty, a gdy nadchodziła śmierć, to dobrzy i źli gnili wspólnie w ziemi, bez nagrody i bez kary. Postępując konsekwentnie Si wymierzał sobie nagrody za życia. Wyzyskiwał w pełni dzień dzisiejszy, nie troszcząc się zbytnio o jutro.

Nie miał żadnych przyjaciół i nie pragnął ich mieć; tajemnicą jego powodzenia było to, że działał zawsze tylko na własną rękę. Nigdy nie podejmował się zadania, którego nie mógłby wykonać do najdrobniejszego szczegółu, bez niczyjej pomocy. Jeżeli rozbijał kasę ogniotrwałą, to osobiście układał plan tego przedsięwzięcia, przekupywał stróża, robił “zupę”, dawał “strzał” i uciekał nie po to, żeby się skryć u kogoś, ale po to, by włóczyć się samotnie, aż minie ogólne podniecenie.

Doszedł tym sposobem do lat czterdziestu i choć jego kariera złoczyńcy trwała już od dwudziestu dwu lat, nie pokosztował nigdy więzienia. I nikt nie mógł naprawdę powiedzieć, co właściwie przeszkrobał. Otaczała go gęsta mgła podejrzeń, ale żaden z tropiących go detektywów nie był w stanie zarzucić mu nic konkretnego. Nie powinęła mu się dotąd ani razu noga i nikt nigdy nie cieszył się wraz z nim z jego złowrogich i zwycięskich poczynań. Bawiło go obserwowanie głupoty i słabości społeczeństwa, którego dzięki złośliwości losu był członkiem. Taki człowiek jak on musi pogardzać jawną manifestacją wszelkich wzruszeń, a przede wszystkim nienawidził wybuchów gniewu. Rezultat jego obecnych rozmyślań był następujący: czuł się upokorzony, że uległ odruchowi złości i nie cieszyło go wcale pobicie handlarza. Chwilowa satysfakcja, którą odczuł, gdy jego twarda pięść dosięgła przeciwnika, nie wynagradzała uczucia wstydu wywołanego faktem, że dał się wciągnąć w bójkę. A poza tym awantura ta będzie go kosztowała ciężkie dolary, bo przecież ten człowiek mógł go zaprowadzić prosto do celu.

Wrócił więc do hotelu i siadł w małym obdartym holu obok starszego jegomościa odzianego w obskurne ubranie, olbrzymie sombrero i pierwszorzędnie zrobione buty; był to najwidoczniej jakiś hodowca.

- Kto to jest Mały? - spytał Denny.

- Jaki mały? - odpowiedziano mu pytaniem na pytanie.

- No... Mały - uporczywie powtórzył Denny, nie chcąc stracić ostatniego płomyka nadziei.

Nieznany człowiek zmarszczył brwi i przypatrywał mu się przez chwilę spode łba.

- Czy pan jest obcy w tych stronach?

- Tak.

- No to niech pan posłucha mojej dobrej rady i trzyma się z daleka. Jeżeli pan nawet słyszał o Małym, to niech się pan więcej o niego nie pyta.

- Ale dlaczego?

- Bo to nie przynosi szczęścia. Ot i wszystko. - Powiedziawszy to, wstał z krzesła, przeszedł na drugą stronę pokoju, widocznie nie chciał kontynuować rozmowy.

Si Denny wstał również. Czuł podniecenie, ogarnęło go uczucie, że za chwilę zrobi jakies niesłychane odkrycie. Ale wprawdzie musi się koniecznie dowiedzieć, w jakim kierunku ma wszcząć poszukiwania.

Poszedł do właściciela hotelu. Gruby i uprzejmy jegomość miał rękawy od koszuli zawinięte aż do tłustych łokci, pocił się wszystkimi porami i uśmiechał do całego świata.

- Czy pan zna Małego? - spytał go Si Denny.

Uśmiech zgasł na twarzy hotelarza. Rozejrzał się trwożnie dokoła i przekonawszy się, że nikt ich nie podsłuchuje, westchnął z ulgą.

- Myślałem, że pan jest tu obcy - odparł bardzo chłodno. - Niech mnie diabli wezmą, jeżeli kiedykolwiek przypuszczałbym, że pan zna Małego.

- To ja pana pytam o niego.

- Choćby mnie pan pytał cały dzień i całą noc, to i tak pan się niczego nie dowie - odparł grubas rezolutnie. - Mały to jest Mały. Ja się nie wtrącam do jego spraw ani on do moich. I koniec na tym. Dość już tego gadania. Dobry wieczór, Karolu, mam dla ciebie nowiny.

Skinął na wchodzącego do pokoju mężczyznę, a Denny wobec tak zdecydowanego stanowiska zmuszony był skapitulować. Odszedł kilka kroków i pogrążył się w myślach. Widział, że właściciel hotelu i Karol mówili coś szybko i po cichu, nie spuszczać z niego oka. Widać było, że dzięki zadanyim pytaniom stał się tematem ich rozmowy.

W końcu Si Denny wyszedł znów na ulicę.

- Czy macie tu w mieście szeryfa? - spytał pierwszego spotkanego przechodnia. Musiał powtórzyć pytanie po hiszpańsku, wreszcie wskazano mu biały budynek, trochę większy od innych domków. Była to rezydencja szeryfa. Przedstawiciel prawa był podobno w domu.

Powolnym krokiem skierował się Denny ku domowi szeryfa; był bardzo zamyślony. Wiatr ustał, ale powietrze pełne było nieuchwytnego, leciutkiego kurzu pustyni, a ponad tym tumanem świeciły blade, nikłe, małe gwiazdeczki. Zapukał do drzwi szeryfa. Godna ta osobistość natychmiast przyszła na jego wezwanie.

- Czy pan jest szeryfem? - spytał Denny.

Szeryf skinął milcząco głową i wyszedł przed dom. Był to wysoki, szczupły, dobrze zbudowany człowiek, jego krok, oczy, zdecydowany głos znamionowały energiczne, ruchliwe usposobienie. Patrzył zawsze prosto w oczy tego, z kim rozmawiał jak gdyby badając mu serce do dna. Si Denny zrozumiał, że ma przed sobą prawdziwego mężczyznę.

- Czy stało się coś złego? - spytał szeryf.

- Przyszedłem prosić o pewne informacje.

- Pytajcie się. Powiem wszystko, co tylko będę wiedział. Wszystko prócz ceny tequili - roześmiał się.

- Chciałem się dowiedzieć czegoś o Małym.

Szeryf drgnął i zmarszczył brwi.

- Kto pana przysłał z tym pytaniem do mnie? - wyszeptał zduszonym głosem.

- A cóż w tym złego?

Potok przekleństw wyrwał się z surowych ust przedstawiciela prawa.

- Zamknę kilku tych drabów w pace, to się oduczą dowcipkować. - Pokażę, że ze mną nie ma żartów! - ryczał. - A przede wszystkim zamknę pana.

- A cóż ja zrobiłem złego? - zapytał zdumiony Denny.

- Zakłóca pan spokój publiczny, chce pan wzniecić zamieszki w mieście. Ale nie tylko panu pokażę, kto tu rządzi! Panuje tu porządek i prawo!

Denny przeproszał go pośpiesznie.

- Kto pana tu przysłał? - grzmiał za odchodzącym Dennym.

- Właściciel hotelu.

Nie mógł się powstrzymać od powiedzenia prawdy.

- Niech go piekło pochłonie! Skórę zedrę! - wrzeszczał szeryf.

III- Na tropie

Raz jeszcze znalazł się Denny na ulicy i oparłszy się o mur jakiegoś domu, starał się zsumować to, co słyszał i widział. A wszystko było niesłychanie dziwne, znacznie dziwniejsze niż epizod z Józefem Simonem, który chciał znaleźć żywy model fikcyjnego portretu.

A może Mały to jakieś umówione słowo oznaczające epidemię lub truciznę, coś, czego się wszyscy boją i czego wszyscy nienawidzą?

Szedł tak rozmyślając wzdłuż ulicy i oddalał się coraz bardziej od hotelu. Kilku kowbojów jadących na rącznych koniach wyłoniło się z ciemności i wpadło do miasta z radosnym wrzaskiem. Powiewali kapeluszami, wydawali wesołe okrzyki i gonili się zajadle. Chodziło chyba o to, kto pierwszy dopadnie do hotelu i dorwie się do oczekującej tam tajemniczej nagrody. Si Denny był tak pogrążony w rozwiązywaniu swojej zagadki, że nie zwracał na nich wcale uwagi, a do uszu jego dochodziły tylko niejasne dźwięki. Nagle jakiś głos wrzasnął tuż przed nim: Ja jestem Mały.

Odwrócił się zdumiony, uradowany, trochę przerażony. Na środku ulicy stał rudy chłopczyk otoczony meksykańskimi łobuzami i kilkoma małymi, opalonymi Amerykanami.

- Ja jestem Mały - pisnął znowu. - Gońcie mnie. Póki mnie nie złapiecie, ja będę Małym.

Rzucili się za nim, kwicząc z radości, zadowoleni, że było ich tyłu, ale rudy malec przeleciał między nimi jak piłka przez zepsutą bramkę. Wywijał się im i wykręcał. Ktoś wpadł na niego, słychać było uderzenie twardej piastki o czyjeś ciało - jęk bólu i rudy stał już wolny po drugiej stronie tłumu.

- Ja jestem Mały. Nie możecie mnie złapać. Ja jestem Mały.

Wyjąc z wściekłości i przejęcia pędzili za nim. Uciekał, ile miał sił w nogach. Jak liść gnany wiatrem wymykał się rękom chcącym go pochwycić.

Wreszcie otoczyli go; szarżował i przebił się. Pęc, pęc. Pięścią utorował sobie drogę i znów się wydostał, zanosząc się śmiechem.

Zmógł go jednak los. Denny wyciągnął długie ramię i jego mocna dłoń schwyciła dziecko za kark. "Coś" podniosło rudego chłopczyka; znalazł się pod pachą Denny'ego. Tłum malców otoczył ich, krzycząc ze złości i domagając się jeńca.

- Puść mnie, puść - wrzeszczał chłopczyk.

- Co chcesz zrobić?

- Chcę ich nabić po gębach.

- Zostawcie go - warknął Si Denny.

Głos jego wzbudził strach i rozpędził dzieci. Uciekły i zbiły się w kupkę opodał, podnosząc tumany kurzu bosymi stopami, przerażone, zdumione, ale mające nadzieję, że uda im się jeszcze zemścić na dręczycielu.

Denny posadził swoją zdobycz na walącym się murze.

- No co, diabła chciałeś złapać za ogon?
- Może tak, a może nie - odparł rudy.
- A ty wiesz, kim ja jestem?
- Ani, ani. I gwizdzę sobie na to.
- Jestem nowym pomocnikiem szeryfa.
- Kłamstwo. Joe Belcher nigdy nie naznaczyłby takiego jak ty.
- Dlaczego, gadzino?
- Bo pan jest za wysoki. Nie przejechałby pan przez te tunele.

Denny uśmiechnął się, rozbawiony sprytnymi odpowiedziami.

- Jak się nazywa twoja mama? - spytał.
- Nie wiem.
- A jak się nazywa twój ojciec?
- Nie wiem.
- A któż się tobą opiekuje?
- Nie potrzebuję żadnej opieki.
- Nie potrzebujesz, naprawdę?
- Naprawdę.
- A jak się nazywasz?
- Jak pan chce.
- Na przykład?
- Rudy. Albo: ty.
- Nie masz innego nazwiska?
- A to nie wystarczy?
- Wystarczy. Kto to jest ten Mały, o którym opowiadałeś kolegom?

Chłopczyk otworzył buzię.

- Pan naprawdę nie wie?
- Pytam się, synku, ciebie. Niech cię nic więcej nie obchodzi.
- A ja jestem w ogóle zmęczony jak pies, a szczególnie tym wiecznym gadaniem o Małym.

Si Denny ujął ręce chłopca. Rudy bronił się wściekle, aż dziwne było, skąd się bierze tyle siły w tak małej osobie. Ale wielkie dłonie Denny'go działały jak śruby i ramiona małego

wykręcały się ku tyłowi. Obie piąstki znalazły się na plecach i powoli, powoli podjeżdżały ku łopatkom.

- Będiesz teraz gadał szczeniaku?

- Nie - wyrwało się z bladych warg i zaciśniętych zębów Rudego.

- A teraz?

- Nie. Niech cię diabli wezmą, niech...

Si Denny rozluźnił uścisk.

- Byczy z ciebie chłop - powiedział. W głosie jego nie było zachwyty; konstatował po prostu fakt.

- Chciałbym być choć połowę taki duży jak pan.

- A po co?

- Rozdarłbym pana wpół i kiszki bym wypruł.

Si Denny roześmiał się. Czuł, jak ciało dziecka drży z napięcia. Za kilka lat będzie z niego bojowy kogucik! Wyjął z kieszeni scyzoryk. Cudowny, prześliczny scyzoryk z perłowej masy, o pięciu ostrzach z najlepszej stali. Na otwartej dłoni podsunął go dziecku. Rudy przestał drzeć i wic się; znieruchomiał.

- Ojej! - zawołał chłopczyk.

- Patrz - mówił Si Denny.

Otworzył scyzoryk, główne ostrze miało trzy i pół cala długości. Podniósł kawał drewna i przebił je.

- Ojej! - zachwycił się Rudy.

- To nie koniec. Patrz.

Było jeszcze dłuto i pilnik, korkociąg i nawet małe nożyczki.

- Trzymaj.

Rudy wyciągnął drżące dłonie.

- Dziękuję. Na pewno go nie upuszczę.

Trzymał go oburącz. Nie śmiał się ruszyć z obawy, że się rozchwieje to cudowne zjawisko, złuda, wabiąca oko pięciokrotnym pięknem.

- W całym mieście nie ma takiego noża - szepnął.

- W ogóle na całym świecie nie ma takiego - potwierdził Si Denny.

- Słuchaj, Rudy, ten nóż należy do ciebie.

- Co?

- Mówię, że ten nóż należy do ciebie.

Rudy zadrżał.

- Dobrze - odparł cierpko. - Znam się na żartach.

Si Denny wziął scyzoryk, zamknął ostrza i włożył go do kieszeni chłopca. Potem wziął go znów za kark i zdjął z muru.

- Jesteś wolny. Nóż jest twój. Możesz sobie iść.

Rudy znikł w mroku wieczornym. Ale Si Denny znał się nie tylko na mężczyznach i kobietach, znał też dzieci. Nie ruszył się przeto z miejsca. Po chwili z ciemności wynurzyła się głowa chłopca.

Zaczął krążyć wkoło Si Denny'ego, trzymając się jednak w przyzwoitej odległości.

- Skąd pan wiedział, że ja wrócę?

- Bo znam się na zuchach.

- Pan mi wykręcił ręce, to było obrzydliwie z pana strony.

- Dlatego ofiarowałem ci scyzoryk.

Rudy zbliżył się.

- To między nami kwita?

- Tak.

- Nic panu nie jestem winien?

- Nic.

- I nóż jest mój?

- Twój.

Cisza. Denny raczej czuł niż widział, że oczy Rudego rozszerzają się i wpijają w niego.

- Pan by się chciał pewnie czegoś dowiedzieć o Małym - odezwał się wreszcie.

- Tak.

- Bardzo mi przykro. Nigdy go nie widziałem. I tu w mieście, zdaje się, nikt go nie widział.

- Oprócz szeryfa?

- Tak. Szeryf go widział - zachichotał chłopak. - Myślę, że szeryf nieprędko zapomni ten dzień, w którym spotkał Małego. Jeff Hitchins też go widział.

- Czy Hitchins to taki gruby chłop z czerwoną gębą?

- On, on. Wygląda zawsze tak, jakby był wściekły i naprawdę jest wściekły.

- A co ty wiesz o Małym? - Gdzie on się kręci? W pobliżu miasta?

- Rany boskie, nie! On się wszędzie kręci.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Że on mieszka wszędzie.

- Nie ma domu?

- Jego koń, to jego dom.

- Aha! - szepnął Denny. - To jakiś zbrodniarz.
- Nic pan nie rozumie. On nie jest zbrodniarzem.
- To czemu nie siedzi na miejscu?
- Bo nie ma miejsca, które byłoby dość dobre dla niego.
- A to na pewno nie jest jakiś łotr?
- Nie wiem. Nikt nie może dowieść nic Małemu. Na to jest za chytry.

Si Denny zamyślił się głęboko.

Człowiek, którego szukał i na którego ślad wpadł, znikł mu przed oczami jak błędny ognik. W tej duchowej rozterce przypomniał sobie, że do tego, czego nie może objąć umysł dorosłego człowieka, potrzebny jest umysł dziecka, umysł wielkiej prostoty.

- Synku, zrób mi jedną łaskę.
- Owszem. Co pan tylko chce - Rudy zrobił bardzo poważną minę i czekał.
- Mam wielki kłopot.
- O co chodzi?
- Chciałbym zobaczyć Małego.

Chłopak zagwizdał.

- Niech się pan lepiej rozmyśli.
- Ja muszę się z nim spotkać.
- No to niech go pan zaprosi do miasta - poradził Rudy.
- A któż mu zanieś zaproszenie?
- Nie wiem. On się jakoś dowie. Taki już jest. Wszystko wie. Może wie już, o czym w tej chwili rozmawiamy? Z nim to nigdy nic nie wiadomo. Jest jednocześnie wszędzie i nigdzie - westchnął i z głębokim podziwem pokiwał głową.

- Co by go mogło zmusić do przyjazdu do miasta?
- To trudne pytanie. Widzi pan, jego nie można zmusić.
- A co on najbardziej lubi?
- Bić się - padła błyskawiczna odpowiedź.
- Taki z niego zabijaka?
- No chyba, jeszcze jaki?
- Na rewolwery?

- Na rewolwery, strzelby, noże. Nie ma rzeczy, której by nie potrafił! On rzuca nożem dalej i mocniej niż Indianin, jeździ konno na każdym bydłęciu, co ma cztery nogi, a bić się będzie z panem na gołe pięści lub na kije - jak pan woli.

- Lubi zabijać?

- Nie. On nie potrzebuje zabijać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie potrzebuje mordować ludzi. Bije się po to, żeby tym, którzy myślą, że mogą mu dorównać, odeszła od tego ochota.

- Rozumiem. Więc jak go mam sprowadzić do miasta?

Chłopak zastanowił się przez chwilę.

- Musi pan zaryzykować...

- Ryzykowałem już w życiu nieraz - uśmiechnął się blado Denny.

- To niech pan zacznie opowiadać, że pan tu siedzi i czeka na Małego, a jeśli on jest mężczyzną, a nie babą, to się zjawi, a jak się zjawi, to pan mu zada bobu. Niech pan to komuś opowie.

- Opowiem tobie. Czy to wystarczy?

- Oczywiście. Ja to już jakoś urządzę.

- No to w takim razie sprawa załatwiona.

- Do widzenia i wszystkiego najlepszego. Niech się pan mocno trzyma.

Rudy zniknął w sobie tylko właściwy sposób. Mężczyzna znów zaczął się przechadzać po ulicach i rozmyślać nad zdarzeniami ostatnich dni. Choć nie lubił się rozczulać, zachował jednak zdolność zachwycania się objawami geniuszu, pod jakąkolwiek występowałby postacią. Rudy odznaczał się dużą inteligencją. Starał się więc ocenić możliwości życiowe dorosłego Rudego, za pomocą mnożenia wrodzonych cech dziecka przez dojrzałość męską. Potem włączył się dłuższy czas po ulicach, zapomniał o troskach, pozwolił widokom miasta trafić do swojej świadomości i w końcu powędrował w kierunku hotelu.

W przedpokoju hotelowym natknął się na Hitchinsa, owego handlarza bydłem. Już nie zdradzał żadnym gestem nieprzyjaznego nastawienia wobec Denny'ego. Wręcz przeciwnie. Gapił się na niego oczami pełnymi podziwu. Po chwili obrócił się i szepnął coś sąsiadowi. Sąsiad też zaczął się gapić i w mgnieniu oka wszyscy znajdujący się w pokoju mężczyźni patrzyli z nie ukrywanym zachwytem na Denny'ego.

Nie było wątpliwości. Rudy wywiązał się już ze swego zadania: zrobił z niego bohatera. Zresztą dla mieszkańców tego miasta wystarczało, że ktoś wzywa Małego na pojedynek, a już w ich oczach był kimś niezwykłym.

Si Denny znajdował się w swoim pokoju od dziesięciu zaledwie minut, gdy posłyszał szybkie kroki na korytarzu i pukanie. Ostrożnie uchylił drzwi, spodziewając się trochę, że zetknie się na progu z Małym. Był to jednak tylko szeryf. Dyszał z pośpiechu.

- Nie miałem pojęcia, o co panu chodzi - mówił szybko. - Naturalnie, gdybym się był domyślił, że pan się dlatego pyta... Oczywiście, ja nie powinienem nic wiedzieć o tym, że pan ma zamiar zakłócić spokój publiczny walcząc z Małym. Ale nie mogę się powstrzymać i muszę panu powiedzieć, jak bardzo podziwiam pańską odwagę. Jeżeli się panu nie uda, poniosę koszty pańskiego pogrzebu.

Dziwaczna ta przemowa bynajmniej nie uspokoiła Denny'ego.

- Niech mi pan wytłumaczy - głos jego brzmiał ostro - dlaczego wszyscy nienawidzą Małego?

- A dlaczego pan ma z nim na pieńku?

- Ja to co innego. Ale większość z was nie zna go nawet i nie wie, jak on wygląda.

- Właśnie dlatego. W ogóle ludzie nie lubią tego, czego nie mogą zrozumieć.

- Być może. Jak pan myśli, ile Mały ma lat?

- Nie wiem. Może dwadzieścia. Może dwadzieścia pięć.

Był to właśnie wiek wymagany przez Józefa Simona; rozgrzało się serce Denny'ego.

Na tę stawkę stawiał życie, ale czuł, że jeżeli mu się uda, zadowoli w pełni Simona.

Położył się spać, a w snach jego pełno było strasznych bitew, strzelb skierowanych prosto w pierś, wyzwania do pojedynków. Obudził go charakterystyczny trzask zapalanej zapalniczki. Usiadł na łóżku; ktoś zapalał jego lampę, nakładał klosz. W pokoju zrobiło się jasno. Denny złapał za rewolwer, który przed zaśnięciem położył obok siebie. Rewolwer wydał mu się dziwnie lekki. W chwili gdy go trzymał w ręku, zza lampy wysunęła się postać z portretu.

Człowiek identyczny z tamtym z obrazu, jakby wyszedł z jego ram i stał teraz przed nim. Szczupła, piękna twarz, śmiałe oczy, wąska, energiczna dolna szczęka. Wszystkie szczegóły takie jak na fotografii. Istniała tylko jedna drobna różnica, mężczyzna na portrecie miał na policzku pod prawym okiem drobne znamię, jakiś znak rodzinny - tego się jednak nie można było spodziewać.

- Rewolwer jest pusty - powiedział Mały wskazując na podłogę.

Si Denny zobaczył leżących sześć naboí i zaraz zrozumiał dziwną lekkość rewolweru.

- Sądziłem, że lepiej będzie przed tym trochę pogadać - mówił Mały.

- Nie wiedziałem, że pan w ten sposób zareaguje.

- Źle pana poinformowano - mówił Mały obojętnym głosem. - Zanim kogoś zabiję, lubię wiedzieć, kim on jest.

- To pan ma zamiar mnie zabić?

- Naturalnie, i to zanim zrobi się jasno. Ale nie potrzebujemy się śpieszyć.

- Sądziłem, że pan woli preparować kandydatów do szpitala niż do grobu.

- Rzeczywiście, zabić kogoś, to rzecz poważna - odparł Mały. - Zwykle nie mogę sobie na to pozwolić. Jeżeli się zabije kogoś w otwartej walce rewolwerem, duch jego często wraca na ziemię i z kolei zabija za pomocą sznura. Staram się nigdy o tym nie zapominać.

Mówił wolno, ironicznie i nie spuszczał z Denny'ego dziwnego, pozbawionego ludzkiego wyrazu wzroku. Denny czuł, że mu się zimno robi.

- Ale z panem nic nie ryzykuję - ciągnął dalej Mały.

- Bardzo mi przyjemnie - odparł Denny. - A skąd pan wie, że jestem inny niż reszta ludzi?

Mały uśmiechnął się złowrogo, błysnęły zęby i oczy.

- Pan tu przyjechał i zaczął opowiadać, że chce się bić ze mną. To mówi samo za siebie. Zresztą pan jest złoczyńcą. Jak ja pana zabiję, a oni pana znajdą, to się tylko ucieszą, że nastął pański koniec.

- To pan mnie zna?

- Słyszałem o panu.

- Ponieważ zanoszą się na to, że nie będę już z nikim w życiu rozmawiał, niech mi pan powie jedną rzecz: kto panu doniósł o mnie?

- Nikt.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Widziałem pana z Rudym i słyszałem każde słowo, które pan mówił do niego.

- Jak pan to mógł zrobić?

- Stałem z drugiej strony muru.

Si Denny'emu aż dech zapało. Nie wierzył ani w jedno słowo tego tłumaczenia, a jednak było to naprawdę niesamowite. Fakt, że rozmawiając z Rudym nie pomyślał o tym, że należało zajrzeć za mur. Dwunastu mężczyzn mogło się tam łatwo ukryć i podsłuchiwać. Przywołał na pomoc całą swoją odwagę, choć w głębi serca pragnął, żeby ziemia pochłonęła i Simona, i całą tę portretową imprezę.

- Proszę mi powiedzieć jeszcze coś: czy pan mówi po hiszpańsku?

Mały natychmiast zaczął rozmawiać swobodnie tym pięknym językiem.

- Mam wrażenie, że opanowałem w zupełności ducha tej mowy - wyraził się skromnie najczystszy kastylijski akcentem.

- W takim razie przyda mi się pan.

- Pan się myli. Do niczego się nie przydam. I nie mam zamiaru towarzyszyć panu w tej podróży, w którą pan się wkrótce wybierze.

- Mówię panu, że nie przyjechałem tu, by się bić.

- Bardzo mi przykro - odparł Mały i na ustach jego zjawił się znów ten sam, niesłychanie okrutny uśmiech.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął Denny'm. Umiał ludzi przekonywać i kierować nimi. Dotąd nigdy się ich nie bał, ale ten młodzieniaszek miał w sobie coś nieludzkiego. Należał do jakiejś nieznanej kategorii istot. Kroplisty pot wystąpił na czoło Denny'ego, ale mówił dalej spokojnie.

- Nic pan nie rozumie. Zaraz panu wszystko wytłumaczę.

Mały rozsiadł się wygodnie na krześle i zaczął się huścić.

- Dobrze - powiedział wesoło. - Pan chce mnie przekupić. Wysłucham pańskiej oferty.

- Chodzi o taką sumę pieniędzy, jakiej pan w ogóle nigdy w życiu nie widział.

- Pieniądze? To co mam, wystarcza na moje potrzeby. Nie potrzebuję więcej. Za pańskie życie musi mi pan ofiarować coś więcej.

- Mogę to zrobić. Jeśli pan pójdzie ze mną, czeka pana nadzwyczajna przygoda.

- Mały zawahał się przez chwilę, aż wreszcie kiwnął głową przecząco.

- Przygód mam pod dostatkiem. I bawię się znakomicie.

W piersiach Denny'ego serce zamarło przez króciutką chwilę; nie zrezygnował jeszcze. Po raz ostatni rzucił kości w tej grze, w której chodziło o życie.

- Ofiarowuję panu możliwość walki z takimi niebezpieczeństwami, z jakimi nie stykał się nikt dotąd. Za tę cenę kupię pana.

Mały przestał się huścić, wzruszył ramionami. Oczy jego nabrały rozmarzonego wyrazu. Westchnął i spojrział na Denny'ego łagodnie i z ciekawością.

- Niech mi pan powie, o co chodzi - poprosił cicho.

IV- Radość Simona

El Paso nie wydało się Józefowi Simonowi stosowną miejscowością na rendez-vous. Denny dostał na swój długi i przemyślnie szyfrowany telegram odpowiedź ustalającą miejsce spotkania w jakimś walącym się szałasie u podnóża Diabelskich Gór. Tam się też zjawił o wyznaczonej godzinie. Zastał już Halseya i Marmonta, mocno zdeprimowanych. Wspólnicy widząc, że zeskakuje z siodła i wchodzi do szałas sam, powitali go sardonicznymi uśmiechami.

- Gdzież jest ten wcielony diabeł? - spytał Marmont. - Już, już miałem schwytać w sidła kogoś, kto tak łudząco przypominał tego diabła na portrecie, że sam malarz byłby przekonany, że to jego dzieło ożyło i chodzi, aż wtem dostaję telegram od Simona.

- Ja byłem jeszcze bliższy celu - westchnął Halsey. - Kupiłem już dwa bilety i wybierałem się na dworzec, gdy mnie złapał Simonowy telegram.

Słyszając to Denny uśmiechał się ironicznie i wieszował im powodzenia.

- Ale gdzież jest ten, którego obiecałeś przywieźć? - spytał Marmont.

- Mam nadzieję, że jest już w drodze - odparł Denny.

- Zaryzykowałeś?

- Marmont dobrze go nazwał - odpowiedział Denny. - To jest wcielony diabeł. Obiecał, że przyjedzie. Więcej nie udało mi się wymóc. Nie można podpisywać kontraktów z diabłem.

Zamilkł. Nie chciał niczego więcej zdradzać.

A tymczasem Józef Simon spieszył z całych sił na miejsce spotkania; nie znaczyło to jednak, żeby posuwał się szybko naprzód. Marny był z niego jeździec i czuł się dotkliwie roztrzęsiony uciążliwą podróżą, każda kosteczka jego chudego ciała protestowała przeciw prędkiej jeździe. Pomimo to zaciskał zęby i jechał kłusem, z oczami utkwionymi w dal z takim wyrazem napięcia, niepokoju i oczekiwania, jak gdyby chciał przybliżyć do siebie pasmo Diabelskich Gór. W końcu góry zbliżyły się, ale do celu podróży pozostawało jeszcze kilka opętanych mil. Simon był już na wpół przytomny. Zza krzaku wyrzął kojot, spod kopyt końskich zerwał się królik, dzikie zwierzątka wiedzione nieomylnym instynktem wiedziały, że na tym pustkowiu zjawił się człowiek ślepy, który nie zagraża ich życiu.

Wjeżdżał właśnie na niewielki pagórek, gdy usłyszał za sobą stuk kopyt końskich. Obrócił się przerażony i zobaczył młodzieńca lat dwudziestu lub dwudziestu pięciu, swobodnie siedzącego na pięknym czarnym koniu. Spod szerokiego ronda sombrera wyrzała twarz z portretu. Józef Simon krzyknął przeraźliwie i podniósł ręce do góry ruchem pełnym podziwu, przerażenia i zachwyty jak gdyby w tym nagłym wcieleniu jego marzenia było coś niesamowitego.

- Dobry Bóg przywiódł pana do mnie - wołał Simon, przyciskając ręce do piersi. - Jemu więc składam dzięki.

- Podziękuj pan Denny'emu - odparł Mały, podjeżdżając blisko i ściągając uzdę wielkiego czarnego konia. Poprawił się na siodle i spojrzał na Simona po swojemu, niesłychanie arogancko i wyzywająco.

Ten sposób bycia zdawał się napełniać Simona niewypowiedzianą radością, nie mógł mówić ze wzruszenia, kiwał więc tylko głową uszczęśliwiony.

- Panie Vereal, takie spotkania są udziałem losu, nie człowieka.

- Nie nazywam się Vereal - odparł chłodno Mały.

- Doprawdy? - Simon był zdumiony. - Doprawdy? No, może być, że nie. - Wpatrzył się uważniej w ocienioną szerokim kapeluszem twarz młodzieńca. - Nazywam się Józef Simon. Czy mogę spytać o pańskie nazwisko?

Simon mówił po hiszpańsku i Mały odpowiadał mu w tym samym języku.

- Mnie nazywają Mały. To w zupełności wystarcza. A teraz niech mi pan powie, czego pan ode mnie chce.

- Nie można mieć pojęcia o wilku, jeśli się go widzi w klatce, o niedźwiedziu za kratami zoologicznego ogrodu ani o psie, o ile się go widuje w pokoju. Amerykanie zachowują się jak błazny w Paryżu, a jak osły w Londynie. Ludzie na obczyźnie są jak ryby bez wody. A cóż dopiero Meksykanie?! W ogóle nie powinni mówić po angielsku. Potrzebują języka płynnego jak woda. Muszą znajdować się w otoczeniu ludzi, których nadmierna gestykulacja nie śmieszy. Zresztą większość Meksykanów w Stanach to plebs. Nie reprezentują oni Meksyku, tak jak normandzki chłop nie może dać swym zachowaniem pojęcia o wyrafinowanej kulturze paryżanina. Pan musi wiedzieć, że choć Rio Grande jest tylko błotnistą rzeczulką, jednak stanowi jedną z najznamienitszych granic świata. Ważności tej granicy nie można mierzyć jej rozmiarami. El Paso, leżące na północ od niej, jest równie "moderne" jak każde inne amerykańskie miasto położone po drugiej stronie wody. Inareż śpi w atmosferze głębokiego średniowiecza. Pan może mi na to odpowiedzieć, że nasza epoka nie nadaje się specjalnie do drzemki, ale Meksyk ma swój specyficzny wdzięk. Wielu ludzi nie poznaje się na nim. Ale pan się pozna. Pan ma dosyć rozumu, by pojąć szereg rzeczy, których głupcy nie są w stanie dojrzeć. Jednym słowem: nie tu miejsce na odczyt o geografii i obyczajach meksykańskich, ale to wszystko, co dotąd powiedziałem, doprowadza nas pomału do celu. Pan czytał trochę historycznych książek? - spytał nagle przypatrując się Małemu z ukosa.

- Trochę czytałem - odpowiedział Mały obojętnie, bez cienia zainteresowania czy zarzumiałości.

- Jak pan sobie wyobraża miasto w średnich wiekach?
- Zamek na górze i tuląca się u jego stóp osada.
- Otóż to właśnie... A propos jak mam się do pana zwracać?

Mały zastanowił się chwilę, jak gdyby to zwykłe pytanie miało wielką wagę.

- Może mnie pan nazywać Janem Jonesem - odparł wreszcie.
- Pan należy do licznej i znakomitej rodziny. - Oczy Simona błysnęły ironicznie.

Mały, czyli Jan Jones wzruszył ramionami i nie raczył nawet spojrzeć na towarzysza.

- Powróćmy więc, panie Jones, do naszej historyjki - ciągnął dalej Simon. - Pańskie pojęcie o średniowiecznych miastach zgadza się z moim. Niech pan sobie teraz wyobrazi miasto San Triste w Meksyku. Liczy ono dziesięć do dwunastu tysięcy mieszkańców. W porównaniu z innymi meksykańskimi miastami, nawet biedota w San Triste nie jest prawdziwie biedna, a ludzie bogaci mają naprawdę pieniądze. Dużo tam starych rodów, w których płynie hiszpańska krew, a wszyscy oni: i bogaci, i biedni, i drobni mieszczenie, i całe San Triste jeszcze dwanaście lat temu skupiło się pokornie koło jednego nazwiska: Vereal.

Jan Jones spojrzał badawczo na mówiącego i spotkał również badawcze spojrzenie utkwione w sobie. Milczeli przez chwilę.

- Co za dziwne zjawisko - odezwał się wreszcie Jones, ziewając.

- Bardzo dziwne. To niezmiernie stara rodzina. Jakich odległych czasów sięgają ich rodowody w Hiszpanii, tego nie wiem, w każdym razie w epoce odkrycia Ameryki byli tam już znani. Jakiś Vereal przyjechał z Cortezem. Wyróżnił się bohaterskimi czynami, a przede wszystkim wybitnym udziałem w bitwie o miasto Meksyk. Podczas ostatniego, długiego oblężenia, w którym zdobywano to miasto, ulica po ulicy i wyspa po wyspie, a Indian wybijano dziesiątkami tysięcy, niczyj miecz nie pokrył się obficiej purpurą krwi niż miecz Vereala!

Oczywiście tak jak i inni konkwistadorzy został odpowiednio wynagrodzony. Ale różnił się od nich jednym: podczas gdy inni wydawali rozrzutnie to, co zarobili, Vereal umiał ciągnąć zyski z tego, co dostał. Dorobił się dużego majątku. Po skończonym podboju Meksyku przeniósł swoje dobra w okolice San Triste.

Od tego czasu Verealowie pozostali tam. Wznosili kościoły; w czasie głodu, dzięki swej hojności i nagromadzonym w spichrzach zapasom, ratowali niejednokrotnie ludność! Pokryli wzgórze stadami koni i bydła; budowali wsie, które pozostawały ich własnością; słowem, byli na tym gruncie średniowiecznymi baronami.

Umilkł, zaciągając się ostrożnie prawie już wygasłym cygarem. Po chwili powrócił do swej opowieści.

- Któż jednak utrzymał się na szczycie powodzenia przez trzydzieści czy czterdzieści dziesiątków lat? Nawet Verealowie tego nie potrafili. W okresach zamieszek bronili starego porządku. Kiedy Meksyk chciał się wyzwolić, walczyli za Hiszpanię i oczywiście stracili na tym bardzo wiele. Tak było zawsze. Mężczyźni w rodzie Verealów byli bardzo prawi i bardzo szlachetni, ale i bardzo nierozsądni. Trwonili i trwonili swój wielki majątek - westchnął smutno. - W przeciągu czterystu lat nie zrobili nic, by podtrzymać i odbudować to, co otrzymali od przodka. Wydawali. Pan się pewnie dziwi, że w ogóle coś jeszcze pozostało z tego wszystkiego? Zostało jednak jeszcze bardzo, bardzo dużo. Zostały kopalnie w górach. Zostały plantacje nad rzeką i fermy na wzgórzach. Wszystkie miliony, które Verealowie wydali hojnie, lekkomyślnie, niedbale, wróciły do nich w innej postaci: zbudowały im królestwo w sercach mieszkańców San Triste.

- Jeżeli ogień zniszczył dom człowieka biednego, Verealowie przenosili jego rodzinę do nowego domu, żywili ją i odziewali. Ojca rodziny wyposażono tak, by mógł zacząć od nowa, a matka spowiadała się księdzu, że przy wieczornym pacierzu już nie wiedziała, komu dziękować za tyle łask: Panu Bogu czy Verealowi?

Tacy to byli ludzie. I powiem panu o nich jeszcze więcej. Czasami jakiemuś zamożnemu człowiekowi nie powiodło się w interesach. Ale jeżeli był człowiekiem zacnym i uczciwym, to nie zważano na skutki jego lekkomyślnych posunięć finansowych. Skarbiec Verealów stał otworem, mógł czerpać z niego. Nie potrzebował opuszczać San Triste. Mógł zostać na miejscu, zaczynać od nowa to, co robił dotychczas. Mógł głowę nosić tak wysoko jak dotąd i nie musiał skłaniać jej w pokorze przed nikim; wyjątek stanowił Bóg Wszechmocny i Verealowie.

Pan się pewnie dziwi, że przez czterysta lat jedna rodzina mogła wyprodukować tyle szlachetnych i hojnych ludzi. Nie chcę powiedzieć przez to, że wszyscy byli szlachetni i dobrzy. Pan musi sobie zdawać sprawę z jednego: w rodzinie Verealów San Triste było religią. Ulice, po których chodzili, brukowane były na rozkaz jednego z przodków, inny znów zbudował kościół, w którym się modlili, trzeci posadził drzewa. Miasto to nosiło nazwę San Triste, ale sercem miasta byli Verealowie. Rozumie pan? Pan mógłby powiedzieć mi na to, że służąc mieszkańcom miasta, służyli samym sobie. Przez setki lat uczono ich, że pieniądze to śmiecie. Miłość, uwielbienie, lęk - to była moneta obiegowa przechodząca z rąk do rąk Verealów.

Nie potrafię panu powiedzieć, do jakiego stopnia posiadli to miasto. Wiem tylko, że kiedy w rodzie Verealów przyszło na świat dziecko, nad drzwiami wejściowymi każdego domu powiewała obok sztandaru narodowego chorągiew, na której czerwony tygrys leżał na żółto-zielonym tle: chorągiew Verealów.

Całe miasto wylegało z domów, śpiewało i tańczyło: karnawał. Ludzie szli ze środka miasta aż na wzgórze, na wielki zamkowy dziedziniec. Tam zaczynało się wiwatowanie.

Obdarzano ich hojnie winem i piwem. Wszyscy, przez dwadzieścia cztery godziny, myśleli tylko o zabawie.

W razie śmierci któregoś z Verealów, miasto pogrążało się w żałobie. Ludzie mówili do siebie szeptem. Miało się wrażenie, że miastu grozi zaraza. Niebezpiecznie było oddychać. Istniał odwieczny zwyczaj, że gdy ruszał żałobny kondukt, cała męska ludność San Triste szła za nim, a z obu stron ulic klęczały kobiety i dzieci, czekając na przejście trumny niesionej przez najznakomitszych dygnitarzy miasta. Aż do chwili złożenia ciała w krypcie trwało milczenie; gdy zamknięto trumnę, wówczas zaczynały bić kościelne dzwony, a wtórował im jęk i płacz całego San Triste.

Pan rozumie teraz moje powiedzenie, że każdy Vereal wydając pieniądze dla tego miasta, wydawał je dla siebie. Byli dobroczyńcami i opiekunami wszystkich, a w zamian otrzymywali coś więcej niż głośnie objawy czci mieszkańców. Mieli władzę, potężną władzę!

Kiedyś w tej prowincji wybuchło powstanie. Jakiś oddział trafił do San Triste. Tysiąc żołnierzy zebrało się na rynku, a dowódca ich przemawiał do tłumu: namawiał do przyłączenia się do obrony nowego porządku, porządku, który na pewno zwycięży. Posłyszał o tym Diego Vereal. Był już bardzo stary, więc wziął swoją laskę i pokuśtykał na rynek. Podniósł laskę. Ludzie obrócili się ku niemu. Ci, co stali bliżej, padli na kolana, by dalej stojący mogli słyszeć, widzieć i błogosławić ojca miasta. "Ci przybysze, to szaleńcy. Nie słuchajcie ich" - powiedział Vereal i poszedł do domu. W przeciągu pięciu minut wyrwano żołnierzom broń z ręki, podarto na nich mundury i wypędzono za obręb miasta, a dowódcę zamknięto w więzieniu.

- Ta władza nad ludźmi to także posiadanie własnego wojska? - spytał Jan Jones.

- Oczywiście. I było to praktyczniejsze, bo mniej kosztowało. Mógłbym panu opowiedzieć więcej. Kiedyś pewien bandyta porwał synka zamożnego obywatela z San Triste. Zamożny obywatel udał się do Vereala i błagał go o pomoc. Następnej niedzieli, w kościele, podniósł się Vereal ze swojego miejsca i zwrócił do tłumu: "Pomiędzy wami są ludzie, którzy znają Grenacha. Porwał on syna obywatela z San Triste. Niech więc doniosą Grenachowi, że ów obywatel, to mój przyjaciel i że syn jego jest mi tak drogi jak moje własne dziecko". To powiedziawszy usiadł i zamilkł. Musi pan zrozumieć, że ten Grenacho to był straszny człowiek. Lew. I lwem pozostał do dziś. Przelewał krew ludzką tak, jak się wylewa starą i zepsutą "pulguę". Mordował dla marnego zysku, dla kilku groszy. Mordował tych, którzy swoim gadaniem przeszkadzili mu spać. Mordował dla rozrywki, kiedy go chandra napadła. Takim człowiekiem był Grenacho. Otaczała go banda opryszków, którzy na jego rozkaz biliby się aż do śmierci. Jakież wpływy - spyta się pan - mógł wywierać Vereal na takiego człowieka? Tylko ten: Grenacho urodził się w San Triste i wobec tego uważał się za własność Verealów. W tydzień później odesłano chłopca do San Triste. Chłopiec

nazywał się Franciszek Cebrero. Dobrze pamiętam dzień, w którym zjawił się w mieście blady i wychudzony. Poszedł do pałacu Verealów, padł na kolana i starał się ucałować ręce starego don Diega. “Uspokój się dziecko” - powiedział wówczas starzec. “Dziękuj mi tak, jakbyś podziękował własnemu ojcu, nie więcej”.

A jednak dzień, w którym Grenacho odstawił zdrowego i całego Franciszka okazał się szczęśliwy dla rozbójnika. W rok później złapano go, przywieziono do San Triste i oczywiście zasądzono karę śmierci.

Wyrok miał być spełniony. W ostatniej chwili poradzono mu, żeby przypomniał Verealowi, że kiedyś służył jego rodzinie i zastosował się do jego rozkazu. Posłał mu więc swą petycję. Stary don Diego już nie żył, a miejsce jego zajął młody don Pedro. Niedawno powrócił z Paryża i krótko piastował godność głowy rodu; pamiętam doskonale, jak zameldowano mu tego posłańca, biednego człowieka, któremu suto zapłacono za tę usługę. Stał z kapeluszem w ręku w najdalszym kącie pokoju i nie śmiał podnieść głowy. Mówił szeptem. Kamerdyner musiał powtarzać jego słowa. “Czy to prawda? Czy Grenacho służył mi?” - spytał don Pedro wysłuchawszy go.

- Owszem - odparł kamerdyner - zeszłego roku wypełnił rozkaz pańskiego ojca w pewnej drobnej sprawie.

- To wystarczy - powiedział don Pedro. I pojechał tam, gdzie właśnie miano ogłosić wyrok. Stał w drzwiach wielkiej komnaty i powiedział: “Życzę sobie, żeby Grenacho pozostał wolny”. Panu się zdaje, że to było nieco ryzykowne posunięcie, nawet dla Vereala? Niech mi pan wierzy: w przeciągu pięciu minut Grenacho odzyskał wolność, dano mu konia i przyzwoite ubranie. Pojechał do pałacu Verealów i zjawił się przed don Pedrem. Byłem przy tym i nigdy nie zapomnę tej chwili.

Grenacho był to olbrzymi mężczyzna; miał długie, cienkie wąsy. Wyglądał na ogromnego, groźnego, sprężonego do skoku kota. Twarz jego miała dziwny wyraz. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i pragnął podziękować don Pedrowi za uratowane życie. Ale don Pedro nie chciał go słuchać. Skinieniem dłoni przerwał słowa Grenacha.

- Mówią mi, Grenacho, że z ciebie wielki łotr! - powiedział bardzo poważnie. - Za dużo grzechów masz na swoim sumieniu, a między innymi i życie mieszkańców San Triste. Nie odpowiadaj mi. Nie mów ani słowa. Żyjesz, to wystarczy, a teraz idź i nigdy, aż do godziny śmierci, nie wstępуй w granice San Triste. Twoje szczęście, że masz dzieci. Idź już.

Spodziewałem się, że Grenacho wyciągnie broń i zastrzeli don Pedra, a on zamiast tego skłonił się przed nim aż do ziemi i wyszedł tyłem z pokoju. Do dzisiejszego dnia nie śmie przybliżyć się do miasta, nawet na odległość dwudziestu mil.

V - Finanse

Simon przerwał na chwilę opowiadanie, kiwał głową i uśmiechał się do swoich wspomnień i wskrzeszonych wyobraźnią obrazów.

O ile jednak spodziewał się ze strony Jana Jonesa odpowiedniego komentowania tych dziwnych zdarzeń, to spotkał go zawód; młody człowiek pochłonięty był całkowicie kontemplacją sokoła krążącego z niezrównaną swobodą nad jego głową.

Józef Simon kontynuował swoją opowieść.

- Może pana zainteresuje kwestia, w jaki sposób mogłem być świadkiem domowego życia Verealów i jaką rolę odgrywałem w ich domu? Opowiem panu.

Wspomniałem już, że rozrzutność w tej rodzinie była naprawdę rozrzutnością królewską, nikt nie troszczył się o to, co zostawi następcom, byleby mógł im przekazać nietkniętą dobrą sławę, dumę narodową i poczucie władzy. Tu nie wystarczało posiadanie kopalń, trzód i ferm. Potrzeba było przede wszystkim dużo gotówki.

Bo w San Triste prócz dobroczynnej działalności były jeszcze i inne wydatki. Każdy z synów musiał kształcić się na którymś z zagranicznych uniwersytetów. Każdy musiał podróżować po obcych krajach, a gdziekolwiek się ruszył, jechał z nim służący, jeden lub dwóch sekretarzy, skarbnik, marszałek dworu, kucharz i inni, nie licząc tych, co obsługiwali osobistą służbę. Verealowie byli królami i nie mogli się ruszać bez świty. Całe miasto zarumieniłoby się na samą myśl o tym, że Vereal miałby podróżować jak nędzarz.

Ile razy któryś z Verealów kupił wyścigowego konia, jacht lub dom we Florencji czy Madrycie, każdy mieszkaniec San Triste zacierał ręce, czytając o szczegółach kupna i cieszył się, jak gdyby to on miał chodzić po pięknych ogrodach lub wylegiwać się na pokładzie jachtu. Takim zwyczajom nie mógł sprostać nawet milioner. Verealowie zadłużali się. Coraz poważniej, coraz beznadziejniej. W końcu namnożyło się tylu wierzycieli i tak natarczywie zaczęli się domagać należności, a pretensje ich stały się tak olbrzymie i zawile, iż powstało podejrzenie, że liczba długów przewyższa wartość majątku.

Stary don Diego Vereal nie wiedział, jak temu zaradzić. Wówczas przyszedł do niego jeden z wierzycieli i powiedział: "Niech mi pan pozwoli, ja zapłacę wszystkie długi, które pana gnębią. Wówczas będzie pan winien pieniądze tylko jednej osobie: mnie. Gdy doprowadzimy już do tego, będzie się pan kłopotał przez kilka lat tylko kwestią zapłacenia procentów, aż zacznie pan spłacać kapitał".

To były uczciwe słowa, prawda? Wychodziły z ust uczciwego człowieka - z ust mojego ojca Jakuba Simona. Vereal był zmuszony zastosować się do nich. Zgodził się więc na propozycję

ojca. Ojciec zaczął płacić długi i zbierać weksle Vereala. Długi były ogromne, były tak wielkie, że ojciec mój, chcąc je spłacić, musiał sprzedać duże posiadłości, musiał wyzbyć się wszelkich innych interesów i w końcu nie posiadał nic prócz weksli Verealów na sumę dwóch milionów sześciuset tysięcy dolarów.

Głos Simona drżał od wewnętrznego podniecenia. Jan Jones milczał, nie obrócił nawet głowy, nie spojrzał na mówiącego.

Należało działać szybko. Vereal bez najmniejszego wzruszenia wysłuchał raportu o sumie swoich długów. Przywołał do siebie starszego sekretarza, w którego rękach spoczywały interesy finansowe rodziny.

- Winien jestem około trzech milionów, trochę więcej czy trochę mniej, to już nie odgrywa roli. Chciałbym ten dług spłacić natychmiast. Proszę coś sprzedać.

Sekretarz nie śmiał mu powiedzieć, że jeżeli będzie się starał uzyskać trzy miliony gotówki za pomocą nagłych sprzedaży, Vereal może zbankrutować na tej transakcji. Wobec czego udał się do mego ojca z prośbą o pomoc. Oczywiście może pan być pewien, że ojciec zanim przejął długi, obejrzał sobie każdą piędź ziemi należącej do Verealów. Wszystko to razem, kopalnie, stadniny, zarodowe obory, stada owiec, budynki w San Triste, bogate fermy przy ujściu rzeki, było warte około pięciu i pół miliona. Sprzedając to natychmiast, nie osiągnęłoby się ani połowy rzeczywistej wartości. Kopalnie na przykład poszłyby prawie za darmo.

Sekretarz zdał sprawę z tych faktów memu ojcu i dodał, że spodziewał się tego, ale że nie śmie z tymi nowinami zjawić się przed Verealem. Wobec czego ojciec mój wziął ten obowiązek na siebie. Poszedł do Vereala i powiedział mu tak:

- Przejrzeliśmy wszystkie źródła dochodu istniejące w pańskim majątku i skonstatowaliśmy, że sprzedaż całości pokryje wprawdzie długi, ale zrobi z pana bankruta.

- Bez pieniędzy też można żyć - odparł szybko Vereal. - Ci, co dużo posiadają, mają też wielkie kłopoty. Proszę wszystko sprzedać i otrzymaną sumę zatrzymać sobie. Cieszyć się będę, jeżeli ona wystarczy na pokrycie moich należności wobec pana. Jeżeli zostanie jakaś nadwyżka, z przyjemnością ją zatrzymam. O ile suma okaże się nie wystarczająca, będę własnymi rękami zarabiał i spłacał panu dług.

Tak zwykli mawiać Verealowie. Mojemu ojcu zdawało się, gdy słyszał te słowa, że dopuszcza się obrazy królewskiego majestatu. Powrócił do domu bardzo strapiiony.

Czuł wielki wewnętrzny ucisk, niepokoiła go myśl, że te ogromne, odwieczne dobra, to królestwo Verealów rozdrobni się i zmarnieje, częściowo dzięki sumom należnym jemu. Powiem panu prawdę: mój ojciec kochał Verealów i ich historię. Przez jakiś czas pracował dzień i noc chcąc znaleźć wyjście z sytuacji. Nie znalazł żadnego. Z każdym dniem wzrastało jego

zdeenerwowanie i w końcu dostał silnej gorączki. Padło mu na mózg, rozumie pan? Po dwóch dniach choroby umarł i w tym krytycznym momencie ja musiałem zająć jego miejsce.

Szczęściem byłem poinformowany o wszystkim. Zresztą nie bałem się Verealów tak jak inni. W ogóle nie boję się niczego. Nie można mnie nastraszyć.

Może Jonesowi przypomniały się pierwsze chwile ich spotkania, w każdym razie nie uśmiechnął się.

- Wreszcie - ciągnął dalej Simon - mogłem widzieć się z Verealem. Powiedziałem mu tak: panu się wydaje, że pan postępuje szlachetnie sprzedając swoją własność w celu oddania długu, który pan ma wobec mnie? A w rzeczywistości krzywdzi mnie pan. Nie osiągnie pan ze sprzedaży majątku więcej niż pięć szóstych sumy, którą mi pan jest winien.

- Czy to nie wystarczy? - spytał Vereal.

- Mnie wystarczy jedynie zwrot każdego pożyczonego dolara plus odpowiednie procenty - odparłem.

Wyprostował się na krześle i spojrzał na mnie jak gdybym był wcieloną plagą egipską. Nie zwracałem uwagi na jego pogardę. Pracowałem raczej dla jego dobra niż własnego.

- A przy tym - ciągnąłem dalej - panu może być przyjemnie skończyć wreszcie z finansowymi utrapieniami, ale dzieciom pańskim dzieje się krzywda. Co pomyślą o panu, gdy się dowiedzą, że zrzucił pan z siebie zbyt ciężkie brzemie i zostawił ich bez grosza?

- Mówmy o czym innym - odparł Vereal. - W naszej rodzinie honor ojca i honor syna, to jedno. Niech się pan nie kłopotczy o uczucia mego chłopca. Będzie się na tę sprawę zapatrywał tak samo jak i ja.

- Istnieje jednak rozwiązanie całego tego zagadnienia!

- Słucham pana - uśmiechnął się ironicznie Vereal.

- Niech pan wsiądzie na okręt i odjedzie do Europy i niech pan tam posiedzi dwa do trzech lat.

- Bóg widzi, że chciałbym to zrobić - odparł don Pedro.

- To jest wykonalne - powiedziałem.

- Dla bankruta? Nie będę oszukiwał wierzycieli!

- Ja dostarczę potrzebnych pieniędzy, a pan mi zapłaci takie procenty, jakich zażądam.

Potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że nie rozumie tych kombinacji.

Wówczas wyjaśniłem:

- Pan musi na kilka lat zrezygnować z dawnego trybu życia. A potem, o ile pan zechce, będzie pan mógł do niego powrócić. Niech pan przez kilka lat wydaje pieniądze tak, jak człowiek

bogaty, nie jak król. A gdy te lata miną, gwarantuję, że pan będzie mógł znowu postępować po królewsku.

Spytał mnie, w jaki sposób jest to możliwe, a ja odpowiedziałem, że wyjeżdżając za granicę, zamiast zabierać swoją świtę złożoną z tuzina osób i świtę syna złożoną z pół tuzina, będzie się musiał ograniczyć do dwóch osób: osobistego służącego i nauczyciela chłopca. Powinni opływać we wszelkie wygody, ale nie wolno im rozdawać pieniędzy. Innych warunków nie stawiałem.

Wiedziałem, że nic mi nie grozi, że mogę sobie pozwolić na tę wspaniałomyślność, bo Verealowie lubili wydawać nie na siebie, a na innych, na wspaniałe orszaki satelitów, a w każdym zwiedzonym mieście dawali na cele dobroczynne. Vereal słuchał mnie, twarz jego wykrzywił grymas, ale w końcu kiwnął potakująco głową.

- Lepiej coś niż nic - powiedział.

Zacząłem więc wyklądać mój plan szczegółowo. Nie był ani bardzo nowy, ani bardzo świetny. Po prostu ta kombinacja nie przyszła do głowy mojemu ojcu, bo i on był w stanie ją przeprowadzić.

Zaproponowałem Verealowi, że cały zarząd majątkiem przejdzie w moje ręce; będę miał prawo kupować, sprzedawać, wdzierżawiać, ściągać, podpisywać kontrakty i nabywać w imieniu Verealów wszystko: począwszy od kopalń złota, a skończywszy na uprzęży dla mułów.

Zaproponowałem też, żeby najął jednego lub dwóch godnych zaufania jegomościów, którzy będą utrzymywali kontakt ze mną i informowali go o wszystkich moich poczynaniach dotyczących administracji majątku. Wówczas będę mógł zająć się całokształtem interesów, fermami, kopalniami, hodowlą, wszystkim, co składało się na całość ogromnego majątku. Postaram się wykazać Verealowi, do jakich rezultatów można dojść w ciągu kilku lat, dzięki racjonalnej administracji.

Vereal wysłuchał moich propozycji z wielkim zainteresowaniem. Powiedział mi, że mam opracować na swoje imię plenipotencję, jaką tylko zechcę. Stworzyłem więc dokument, na mocy którego mogłem śmiało wpakować sobie cały jego majątek do kieszeni i korzystając z nieobecności właściciela odmaszerować w niewiadomym kierunku. Nazajutrz przyniosłem plenipotencję, a Vereal dał ją do przejrzenia prawnikowi; prawnik zbladł czytając paragrafy.

- Jeżeli pan to podpisze - powiedział Verealowi - zrzeknie się pan prawa własności.

- To dobrze - odparł Vereal i schwyciwszy papier, podpisał się na ostatniej stronie i oddał mi go.

- Nie będę trzymał żadnych szpiegów dla kontrolowania pańskiej pracy. Przyjacielu Simonie, jesteś panem sytuacji.

Nazajutrz odpłynął do Europy, zostawiając swoje królestwo w moich rękach.

VI - Dobra administracja

W tym miejscu Jan Jones przerwał po raz pierwszy opowiadającemu:

- To bajka!

- Nie, to coś lepszego - odparł Simon. - To bajka, w której wszystko jest prawdziwe. Gdyby to była fantastyczna opowieść - niech pan pomyśli - co by się stało, gdyby nieszczęsny, lekkomyślny Hiszpan powierzył cały swój majątek w ręce chciwego, złego Simona?

- Nikt by w to nie uwierzył - odparł spokojnie Jan Jones.

- Nikt - potwierdził Józef Simon drżącym głosem. - Ale muszę panu jednak opowiedzieć, jak postąpił Simon.

Skończył palić cygaro i dał się ogarnąć urokowi wspomnień o dawnych dniach i dokonanych czynach. Jednocześnie wyciągnął z papierošnicy drugie cygaro, precyzyjnie obciął nożem koniec, skrzył lekko w palcach, żeby dobrze ciągnęło i przyjrzał się uważnie, czy płomień zapalki objął całość. Dokonawszy tego obrządku, wrócił do swego opowiadania, a brunatnosiwym dym unosił się nad jego głową.

- Oczywiście miałem spis wszystkich nieruchomości. Zacząłem więc od początku i dobrnąłem do ostatniego numeru. Na pierwszy ogień poszły fermy. Przekonałem się od razu, że gospodarzą na nich różni satelici i rezydenci rodziny Verealów. Jeden z nich uczył chłopców jeździć konno, drugi był nauczycielem muzyki, trzeci rzeźnikiem. Nie było zatem ani jednego farmera, który by się naprawdę znał na gospodarstwie. Nikt nie stosował racjonalnego płodozmianu, nie nawoził i nie szczepił należycie drzew owocowych, nie starał się o nowe maszyny do uprawy ziemi. Winnice zdziczały, sady pomarańczowe zmarniały doszczętnie. Oczywiście wywaliłem wszystkich tych ludzi z zajmowanych stanowisk. Sprowadziłem sobie ekspertów, kształconych w zawodowych szkołach rolniczych. Od razu się wszystko zmieniło. Ziemia, która dała ubiegłego roku trzy worki z hektara, następnego wydała dziesięć i dwadzieścia. Meliorowane łąki, z których przedtem zwożono cztery półtonowe kopy, dawały teraz siedem tonowych kop.

Opowiadam to panu po prostu jako przykład. Zamknąłem pałac w San Triste. Wyprawiłem cały zastęp wegetujących tam pasożytów. Zatrzymałem tylko trzy pokoje do własnego użytku; w jednym mieściła się kuchnia, w drugim spałem, trzeci służył jako jadalnia, salon i kancelaria. Z całej listy niepotrzebnej pałacowej służby został kucharz i sekretarz.

Uporawszy się z organizacją domu i administracją ferm, zabrałem się do porządkowania gospodarstw hodowlanych. Stadami bydła zajmowali się bowiem ludzie tego samego typu, co dawni farmerzy. Oczywiście wywaliłem ich i zastąpiłem ludźmi, którzy się znali na chorobach

bydła i orientowali w skomplikowanych problemach hodowli. Pierwszego roku rezultaty były słabe, drugiego zaczęły się dziać istne cuda!

Pojechałem do kopalń i tam natrafiłem na najgorsze warunki pracy. Musi pan zrozumieć, że kiedy Vereal posyłał kogoś na dane stanowisko, nie mówił mu: "Pan będzie pracował dla mnie ze wszystkich sił i robił dla mnie jak najwięcej pieniędzy". Wprost przeciwnie: "Tam i tam jest kopalnia - mówił Vereal. - Ostatni zarządzający potrafił zarobić na niej dziesięć tysięcy dolarów rocznie. Może panu się też uda. W każdym razie niech pan spróbuje".

Wyjeżdżali więc ludzie nie mający pojęcia o zarządzaniu kopalniami i wskutek tego stosowano wszędzie gospodarkę rabunkową. Człowiek stojący na czele kopalni dbał tylko o to, by zarobić dziesięć tysięcy dolarów rocznie. Podwładni dbali tylko o to, by otrzymać swoją część łupu. I tak dalej, aż do ostatniego funkcjonariusza. W jednej z kopalń pracowano ze stratą. Myślałem, że trzeba będzie ją zamknąć. Oddałem ją w ręce zdolnego inżyniera i jak pan myśli, jaki był rezultat? Powiem panu. Kopalnię rozszerzono, zbudowano nowe sztolnie. Po dwóch tygodniach kopalnia zaczęła przynosić, po odliczeniu wszystkich kosztów, dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie.

Mógłbym panu opowiadać przez cały dzisiejszy i jutrzejszy dzień o wszystkim, czego dokonałem. Jednym słowem: przekonałem się po roku, że pierwotna ocena wartości majątku, oparta zresztą uczciwie na obliczeniach ówczesnego dochodu, była zbyt niska. Oceniono bowiem wartość całego majątku na pięć i pół miliona, a ja w ciągu roku podniosłem dochodowość do miliona i więcej pesos. Nie koniec na tym. Przekonałem się, że mogę jeszcze powiększyć dochody. Należało włożyć pieniądze w różne inwestycje: w lepsze maszyny dla kopalń, w nowe drzewa owocowe dla ferm, w nowe szczepy dla winnic, w nowy materiał hodowlany dla stad. Zainkasowawszy w tym pierwszym roku milion dochodu, wsadziłem wszystko z powrotem w majątek.

Nie zatrzymałem ani grosza z należnych mi procentów od wpakowanych w ten interes dwu i pół miliona własnych pieniędzy. Nie zastanawiałem się w ogóle nad tym. Bo pan musi zrozumieć, że postanowiłem zrobić na cześć Vereala cud.

Ten pierwszy rok był naprawdę dziwny i nie pozbawiony wielkości, ale zanim dobiegł końca, zaczęły się poważne kłopoty. Wydaleni przeze mnie ludzie pałali ku mnie wściekłą nienawiścią. W ciągu trzech miesięcy strzelano do mnie dwukrotnie, a pewnego razu jakiś fanatyk chciał wykorzystać mój sen i usiłował dźgnąć mnie nożem. To były dla mnie straszne przejścia. Bo wobec tego rodzaju niebezpieczeństw nie czuję się za bardzo odważny. Nie mogłem jednak rzucić rozpoczętej pracy. Nająłem osobistą straż złożoną z czterech odważnych i porządnych ludzi. Czuwali nade mną, dwóch z nich nie opuszczało mnie ani na krok, podczas gdy dwóch innych

spać. W ten sposób czułem się względnie bezpieczny. Wiedziałem jednak dobrze, że w każdej chwili może mnie trafić jakaś zablakana kula. Po jakimś czasie nadszedł surowy list od Vereala, w którym pisał, że otrzymał wiele skarg na mnie i że wszyscy, których oddaliłem, muszą wrócić na uprzednie stanowiska. Odpowiedziałem mu natychmiast, że on sam dał mi pełną plenipotentję i mam zamiar nadal korzystać z niej. Ale wiedziałem dobrze, że muszę jakoś to załatwić. Serce mi się krajało. Zdecydowałem się zagwarantować pewną emeryturę wszystkim zwolnionym przeze mnie ludziom. Postarałem się oczywiście, żeby te emerytury były możliwie małe, ale każdy z tych łobuzów mógł się doskonale z niej utrzymać, gdyż była ona tylko dodatkiem do dochodów, które ciągnęli z pieniędzy ukradzionych Verealowi w czasie służby.

Jak pan myśli, ile byłem zmuszony wydać na ten cel w ciągu drugiego roku mojej administracji? Mówię panu, dziś jeszcze kraje mi się serce, gdy o tym pomyślę: kosztowało mnie to trzysta tysięcy dolarów. Jedna trzecia miliona wyrzucona w błoto!

Miałem jednak i ja swoje chwile zemsty. Nie zajmowałem się dobroczynnością. Gdy ksiądz przychodził do mnie w sprawach parafialnych, nigdy nie było mnie w domu. Gdy przyłążyły różne cierpiące niedostatek łapserdaki, nie zastawały mnie. Słowem, zrozumieli wkrótce wszyscy, że teraz nastały nowe rządy i czyjaś żelazna ręka administruje majątkiem Verealów.

Może pan myśli, że emeryci byli zadowoleni z otrzymywanych za nic pieniędzy? Nic podobnego! Żadnej wdzięczności! Tylko nienawiść do mnie za to, że ich wywaliłem. Rodziny tych złodziei, nierobów i łotrów były od dwóch, trzech, czasem od dziesięciu pokoleń na służbie Verealów. Nie być na służbie, to dla nich jakby cierpieć męki piekielne. Nie mogłem się pokazać na ulicach San Triste, tak przeklinano mnie i tak mi grożono. Musiałem wracać do miasta i opuszczać je ciemną nocą na bardzo rącznych koniach, bo ciągle niebezpieczeństwo zagrażało mojemu życiu. A jednak nie wyjechałem. Były to ciężkie dni i często nie sypiałem w nocy ze strachu. Ale trwałem na stanowisku, cuda nie przestawały się dziać wokoło mnie.

Mówiłem już panu, że pierwszy rok przyniósł milion dochodu. A następny, jak pan myśli? Zainwestowany milion wrócił w całości i zjawił się drugi! Wpłynęły do kasy dwa miliony! Z tych pieniędzy musiałem wypłacić emerytury, ale pomimo to dochód był ogromny. W głowie mi się kręciło od tych sum!

Wówczas ogarnęła mnie dziecinna, nierozsądna myśl. Przysiągłem sobie, że kiedy Vereal powróci, będę mógł mu powiedzieć: "Gdy pan opuszczał San Triste, długi pana przewyższyły stan posiadania. Teraz wszystko się zmieniło!"

Zacząłem gromadzić w starym pałacu w San Triste duże zapasy gotówki i cennych kruszców; to należało też do pierwotnie obmyślanego przeze mnie planu. Aha, panie Janie, wreszcie pan podniósł głowę! Mówię szczerą prawdę. I tu zaczyna się ta część mojego

opowiadania, która pana specjalnie zainteresuje. Muły przywoziły całe transporty srebra. Przeladowywano je i odwożono na okręty, część tylko, nie wszystko. Z każdego transportu przywiezionego na grzbietach mułów i strzeżonego przez poganiaczy składających się z najętych przeze mnie żołnierzy, pokątną część zanosili dwaj starzy służący do piwnic pałacu, do tajemniczych komórek, o których zdawało mi się, że zapomnieli wszyscy żyjący, a które ja odkryłem dzięki specjalnym poszukiwaniom przeprowadzonym w celu znalezienia odpowiedniego miejsca na schowanie skarbu.

A tymczasem kłopoty rosły. Vereal zasypywał mnie listami. Bo emeryci i obywatele miasta wysłali delegację złożoną z trzech przedstawicieli San Triste, do Szwajcarii, gdzie mieszkał z jedynym synkiem i spadkobiercą Vereal. W tych listach don Pedro rozkazywał mi porzucić nowe i bezsensowne metody gospodarowania, przywrócić dawnym oficjalistom ich funkcje, rozpocząć na nowo świadczenia społeczne i dobroczynne na terenie miasta, bo tak robiła od wieków jego rodzina. W ten sposób zawaliliby się gmach mojej pracy, więc mogłem mu tylko odpowiedzieć, że dał mi pełnię władzy na trzy lata i że trzeci rok dopiero się zaczął. Będę się trzymał mojej władzy z całych sił, aż do końca.

I zrobiłem to kosztem Bóg wie jakich zagrożeń. Podwoiłem środki ostrożności. Przygotowałem się do zdania rachunku z mojej działalności przed don Pedrem. Tymczasem mogłem tylko wściekać się i szaleć z irytacji. Byłem przekonany, że potrafię doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Zacząłem gromadzić w kryjówce, znajdującej się głęboko w podziemiach pałacu, wielkie skarby. Każdego dnia coś do niej przybywało. Stopniowo zacząłem zmniejszać masę objętościową tych bogactw. Zamieniłem duże ilości srebra na łatwo przenośne złoto i klejnoty. W ten sposób jednym rzutem oka mogłem objąć całość tych bogactw. Wreszcie i trzeci rok minął i nadszedł dzień powrotu don Pedra. Może pan sobie wyobrazić, jakie to było święto dla San Triste. Poprzedniej nocy ludzie przyszli pod pałac, tłum napełnił wewnętrzne podwórze, przeklinając mnie i prorokując, że nareszcie nadszedł dzień, w którym będę musiał odpowiadać za całe zło i wyrządzoną krzywdę! Ja wyrządziłem zło i krzywdę! Siedziałem w pałacu i przysłuchiwałem się temu z uśmiechem!

Nazajutrz przyjechał don Pedro. Nie mogłem iść na jego spotkanie, bo nie śmiałem pokazać się tego dnia na oczy ludności San Triste. Dla nich byłem wcielonym diabłem. Przyjazd don Pedra do pałacu oznajmił mi krzyk tłumy. Widziałem z okna, jak wchodził otoczony ciżbą ludzi na wielki dziedziniec, obszerny, jak dziedziniec królewskiego zamku. Ludzie płakali, śpiewali i wołali do niego: ojczcie. Małego don Josego syna Vereala, nieśli na ramionach. Wówczas wróciłem do mego pokoju i czekałem. W końcu przyszedł don Pedro, sam. Przywitał się ze mną; był bardzo ponury.

- Pan skrzywdził moje dzieci w San Triste - powiedział. - Teraz zakończymy szybko tę sprawę. W ciągu miesiąca sprzedam majątek i spłacę panu dług.

Skłoniłem się przed nim i powiedziałem, że chciałbym zdać rachunki. Położyłem przed nim arkusze, na których spisane były sumy dochodu za czasów jego rządów i za moich. Wykazane tam było, że najwyższy dochód jaki osiągnął ze swoich posiadłości dochodził do czterystu tysięcy pesos, a dochód ten w czasie mojej administracji wzrósł do... Jak pan myśli, do ilu? Nie uwierzy mi kochany pan na pewno, gdy mu powiem ścisłą prawdę, w ciągu trzeciego roku mojej administracji wpłynęło do kasy, prawie co do centyma, dwa i pół miliona, a w pierwszych dwóch latach też dwa i pół, ale te zostały z powrotem włożone w potrzebne inwestycje. Powiedziałem mu, a wszystko co mówiłem było prawdą, że może pojechać do swoich kopalń i sprawdzić, jak pracuje się tam za pomocą najnowocześniejszych maszyn, za które zapłaciłem gotówką, co do grosza. Może się udać do swoich stadnin i gospodarstw hodowlanych i przekonać się, że hoduje się tam tylko najlepsze gatunki, a od czasu istnienia stad złożonych z zachudzonych krów, które pamięta, ilość sztuk bydła podwoiła się. Zaproponowałem mu, by pojechał do swoich ferm i zobaczył, że tam, gdzie niedawno orano drewnianymi sochami, teraz ziemię orze się stalowymi lemieszami. Miałem prawo mu to powiedzieć i prosić go, by zechciał się pofatygować i osobiście wszystko sprawdził. Gdy skończyłem, odparł mi: "Niech mnie pan uważnie słucha. Gdyby ogień spalił doszczętnie wszystko, co do mnie należy, wolałbym to niż mieć przeświadczenie, że wzbogaciłem się na nędzy moich dzieci".

Byłem pobity, zdruzgotany. Zostawała mi jeszcze jedna nadzieja: "Proszę iść ze mną - powiedziałem - musi pan coś na własne oczy zobaczyć".

VII - Powrót Vereala

Zaprowadziłem go do piwnic i jeszcze o piętro niżej; wiele, wiele niżej niż poziom ulicy. Powietrze tam było chłodne, a mury ociekały wilgocią. Schodziliśmy coraz głębiej w dół, aż w końcu krętymi schodkami dostaliśmy się do pokoiku położonego pod wszystkimi innymi. W jaki sposób powstał ten pokoić i ile podobnych może być wykutych w skałach, na których stoi pałac Verealów, tego nie wiem.

Może dawniej, w ponurych i zamierzchłych czasach konkwistadorów, sami właściciele potrzebowali takich kryjówek, by móc w nich długo więzić lub torturować nieprzyjaciół? Lub może - po prostu - było to miejsce schronienia przygotowane dla siebie samych? Ówczesne czasy były niespokojne, pełne zamieszek, pan rozumie. Jednym słowem: zaprowadziłem go do pokoju, o którego istnieniu nic nie wiedział. Pokazałem mu szereg skrzyń. Dwaj niemi służący znosili tu kruszce; zrobili skrzynie, okuli je żelazem, zaopatrzyli w potężne śruby i zamki. Otwierałem moimi kluczami skrzynie; każda z nich zawierała skarb. Pozwoliłem mu wszystko oglądać, przysłuchiwałem się wykrzyknikom, a zdumienie jego było dla mnie prawdziwą rozkoszą. "Panie - powiedziałem mu - widzi pan tu srebro, które przedstawia wartość ćwierć miliona w obiegowej monecie, to jest półtora miliona dolarów. Niech się pan jeszcze przyjrzy zawartości tej szkatułki!" Otworzyłem ją. Pełna była po brzegi najcudowniejszych, niesłychanie cennych klejnotów, pereł, rubinów, zielonych szmaragdów, diamentów najczystszej wody. Mogłem mu więc powiedzieć: "To jest skarb, który piękna pani mogłaby unieść pod pachą, a jednak wart jest milion dolarów. Zdałem panu rachunki z mojej administracji. Pokazałem panu, że pod moim zarządem dochód pański powiększył się pięciokrotnie. Istnieje jednak jeszcze jedna kwestia: trzy lata temu sprzedaż wszystkich pańskich dóbr nie pokryłaby długów. Teraz ziemie są już oczyszczone z długów, a w tym pokoju jest dosyć skarbów, by pokryć nimi stare długi, do ostatniego dolara włącznie. Pokazałem panu ten skarb nie dlatego, by go zabrać, ale dlatego, by pan wiedział, że o ile ja będę w dalszym ciągu administrował wszystkim, pieniądze te zostaną przekazane panu, a ja, tytułem pensji, żądam tylko pewnego procentu od dochodu. Zadowolę się tym procentem i stawiam tylko jeden warunek: tak jak dotychczas będę zarządzał całością pańskich dóbr".

Nie powiedział ani słowa, czekał.

- San Triste krzyczy na mnie, to prawda, ale cóż to obchodzi Vereala? - ciągnąłem dalej. - Może pan przecież wrócić do Europy. Zagwarantuję panu dochód w wysokości dwóch milionów rocznie. Co potrafię wypracować ponadto, to już będzie mój zysk.

Dumny byłem z tego, że mogłem w ten sposób usprawiedliwić się z mego postępowania. Vereal uśmiechnął się.

- Słusznie pan postąpił ze swego punktu widzenia. Sądzę, że powinienem panu za to podziękować. Ale pieniądze te wycisnął pan z moich dzieci, kosztem ich cierpienia. I to jest dla mnie wstrętne. Wszystko musi wrócić do dawnego porządku. Jeśli te pieniądze stanowią dla pana dostateczne wynagrodzenie, niech je pan zabiera w całości i niech Bóg ma pana w swej pieczy.

- Na miłość boską! - krzyknąłem. - Czy pan chce oddać wszystko dawnym dzierżawcom? To są nieuki! Nie potrafią się nawet obchodzić z nowoczesnymi maszynami, które zainstalowałem w kopalniach i fermach. Wszystko przypadnie! Zrobi się beznadziejny chaos!

- Mój zamiar jest tak nieugięty jak ta skała. Nie mówmy więcej o tym. Dam panu kilka dni na zlikwidowanie pańskiego stosunku do moich posiadłości. Następnie weźmie pan sobie ten oto skarb i wyjedzie pan. Nie wątpię, że pan pracował ciężko i uczciwie. Ale brał pan pieniądze, to znaczy śmiecie, w zamian za łzy moich ludzi, a te są cenniejsze w moich oczach niż klejnoty.

Cóż mogłem odpowiedzieć temu szaleńcowi? Poszedłem do swego pokoju, rzuciłem się na posłanie i szlochałem jak dziecko. Nie mogłem jednak zmienić postanowienia. Nie chciałem już w ogóle mówić o tym; wobec tego zdecydowałem się dostosować do jego rozkazu. Zakończyłem rachunki. Podsumowałem ostatnią kolumnę, wyliczyłem się do ostatniego grosza, po raz ostatni skontrolowałem wagę i zabrałem się do wycofania należnych mi pieniędzy.

I wówczas stała się katastrofa.

Opowiadałem panu, że za czasów don Diega jego obecność wystarczała do uśmierzenia powstania. Ale ziarno rewolucji wschodziło w górskich okolicach i w innych częściach kraju, gdzie nie znano prawie nazwiska Verealów. Doszły tam jednak wieści, że Vereal wyjechał z San Triste i że ludność nienawidzi naznaczonego przez niego zastępcy.

Jednocześnie obmyślono nową rewolucję - nawet pan może już pamiętać to zdarzenie. Tłum mężczyzn, chcących zaprowadzić nowe porządki, zszedł z gór i zatrzymał się pod San Triste. Dowiedzieli się wprawdzie, że Vereal powrócił, ale fakt ten nie był już w stanie ich zatrzymać. Parli naprzód. Vereal posłyszawszy o tym, zebrał swoich ludzi i wyszedł na ich spotkanie. Z bitwy wróciła połowa ludzi żywych, druga połowa legła na polu chwały, a między zabitymi znajdował się don Pedro. Śmierć jego zamieniła ludność San Triste w stado owiec. Nie byli w stanie zebrać myśli, nie byli w stanie rąk podnieść, stali zbici w małe grupki, bełkocąc zduszonym szeptem: "Zamordowali Vereala". Nim zdolali się opamiętać, rozwścieczeni, zdziczali rewolucjoniści zaleli miasto, mszcząc się za ciosy zadane ręką Vereala, łaknęli krwi - i utoczyli ją. Przebiegli przez ulice San Triste, wdarli się na wzgórze, na którym stał pałac Verealów, przysięgali, że zamordują każdego noszącego to nazwisko.

Wpadli na pałacowy dziedziniec. Przypominam sobie, że z pół tuzina poczciwych chłopców starało się ich przez chwilę wstrzymać przy wejściowych bramach, ale roztraskano im

głowy kolbami karabinów lub podcięto gardła nożami. Zobaczywszy tę rzeź, zrozumiałem, że nie uspokoją się, póki nie wymordują wszystkich mieszkańców tego domu. Pierwsza moja myśl była o skarbie, druga o własnym życiu, w końcu przypomniałem sobie o istnieniu dziesięcioletniego synka don Pedra. Wiedziałem, że chcąc uratować własne życie, sekundy mam policzone. Chciałem biec do pokoju, gdzie ukryłem skarb, ale wpierrw udałem się na poszukiwanie małego Josego. Znalazłem go w towarzystwie nauczyciela, Francuza, Ludwika Gasparda. Gaspard był człowiekiem starym, miał długie, białe włosy i bardzo uprzejmy sposób bycia, był mało wyższy od Josego i chodził oparty na kiju jak człowiek stojący nad grobem. Ale tego dnia zapomniał o swojej lasce, wyprostował grzbiet i biegł, niosąc w ramionach chłopczyka, a siwe włosy rozwiewały mu się dokoła głowy. Co za widok! Te psy trafiły przypadkiem przez okno w Josego i raniły go. Głowa dziecka ociekała krwią, ale zachowywał się spokojnie i odważnie jak dorosły mężczyzna.

- Jose, czy bardzo cię boli? - słyszałem pytanie mijającego mnie biegiem Ludwika.

- To drobnostka - odparł Jose po francusku. - Niech mnie pan puści, mogę biec sam.

- Ktoś się dzieckiem opiekuje - powiedziałem sobie. I lepiej tego w tej piekielnej sytuacji zrobić nie można. A teraz każdy dla siebie! Czyż nie miałem racji, panie Jones?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, nic prócz leniwego ruchu ramion nie zdradziło zainteresowania słuchacza. A Simon ciągnął dalej opowieść.

- Pędem zbiegłem ze schodów aż do skarbcza. Tam czekałem na przyście rewolucjonistów i prawie cieszyłem się z tego, że umrę otoczony całym moim bogactwem. Ale nikt nie nadchodził. Czekałem cały dzień, nie zjawił się nikt. Wówczas pomyślałem sobie: skoro mnie nie znaleźli, spróbuję uciec. Wziąłem garść klejnotów. Wysunąłem się cichaczem i przekonałem się, że dom był na wpół zrabowany i że nie było w nim żywej duszy. Ośmieliłem się wyjść na miasto. Cisza panowała dokoła. Rewolucjoniści poszli dalej, wyrządziwszy maksimum szkód. Cisza zaległa miasto aż do chwili, gdy mnie spostrzeżono; wówczas podniósł się z tłumu głos podobny do wycia wilków, kiedy to w czasie zimowego głodu ujrzą zdobycz. Krew mi dotąd krzepnie w żyłach, gdy przypomnę sobie twarz pierwszego człowieka, który mnie zobaczył. Rzucił się na mnie jak wariat. Zastrzeliłem go i zacząłem z całych sił uciekać. Gonili mnie przez dziesięć dni. Jechałem na jednym z najlepszych Verealowskich koni. To mnie uratowało. Zanim pościg ustał, zajeździłem tego konia na śmierć, nie dogonili mnie jednak. Na pewno byliby mnie żywcem spalili na wolnym ogniu. Dowodem tej zawziętości był nie tylko fakt, że zastępując Vereala okazałem się surowym panem, ale idiotyczne przekonanie - Bóg wie na czym oparte - że to ja sprowadziłem rewolucjonistów do San Triste, chcąc zniszczyć doszczętnie tych, których nie będę mógł już dalej dręczyć.

W końcu przejechałem granicę i znalazłem się w Stanach, zdrów i cały. Zanim jednak powróciłem zupełnie do równowagi po wszystkich tych przejściach, minął miesiąc. Wówczas zacząłem rozmyślać nad sytuacją. Chciałem wszcząć kroki prawne, ale nie miałem przecież żadnego dowodu na to, że skarby zgromadzone w pałacowych podziemiach są moją własnością. Jeżeli upomnę się o nie, skonfiskują je natychmiast. Mieszkańcy San Triste przysięgną, że jestem wcieleniem szatana, zarzucą mi przynależność do rewolucjonistów, zrobią wszystko, by doprowadzić do konfiskaty mojej własności.

Gdyby to była niewielka suma papierowych pieniędzy, sam bym zaryzykował powrót do San Triste albo nająłbym złodzieja, który by je wykradł. Ale skarb ten mogło przewieźć co najmniej siedemdziesiąt jucznych mułów. Dokonać tego w tajemnicy było niemożliwe. Ponieważ moje legalne prawo własności było w tym wypadku nie do udowodnienia, nie śmiałem zdradzić faktu istnienia podziemnej kryjówki.

Przez cały rok zastanawiałem się nad tym problemem i o mało nie oszalałem szukając wyjścia z sytuacji. W końcu zrezygnowałem, pozostawiając to czasowi. Garść klejnotów zamieniłem na gotówkę. Przystąpiłem w Nowym Jorku do pewnego interesu, odzyskałem zamożność, choć oczywiście na wiele mniejszą skalę. Zbierałem wiadomości dotyczące San Triste i dowiedziałem się, że majątek samorzutnie zagarnęli Cabrillowie, najbliżsi krewni Verealów.

Lata mijały i straciłem już kompletnie nadzieję, gdy wtem doszły do moich uszu dziwne plotki krążące po San Triste. Podobno wówczas w dzień pogromu nie znaleziono między zabitymi ciała małego Josego i jego nauczyciela. Różne rzeczy mogły się z nimi stać. Może utonęli, chcąc przepłynąć rzekę, może zginęli w pożarze, który objął niektóre przedmieścia w czasie pogromu, może uciekli... Ale w takim razie dlaczego, gdy nastąpiły spokojne czasy, nie wrócił Ludwik Gaspard do San Triste, dlaczego nie wprowadził na zamek swego młodego pana i nie zażądał dla siebie nagrody za wierność?

Niektórzy przypuszczali, że może stary wywiózł gdzieś chłopca daleko i umarł, a Jose powędrował w obce kraje... Może opowiadał na obczyźnie dziwną historię o Verealach i nikt mu nie uwierzył, a może dziecko w ogóle nie zdawało sobie sprawy z rewolucyjnego cyklonu, który go zmiotł z rodzinnych posiadłości, może nie rozumiało, iż czekają na niego wielkie bogactwa... W każdym razie powstała w San Triste legenda: pewnego pięknego dnia wróci młody Jose i sięgnie po ojcowiznę, a razem z nim powrócą złote czasy San Triste. Wtedy to, panie Janie, zaświtała w mojej głowie wielka myśl. Powiem panu, co zrobiłem. Zebrałem z tuzin fotografii różnych starych Verealów. Zrobiłem z nich rodzaj fotograficznej kompilacji. Znalazłem malarza, który z przedstawionych zdjęć namalował portret, fotografię pan widział. Następnie nająłem trzech ludzi,

znanych awanturników, którzy zgodzili się pracować dla mnie. Wysłałem ich na poszukiwania kogoś, kto byłby zupełnie podobny do tego z portretu. W ten sposób poznałem pana.

- Od pewnego czasu domyślałem się tego - odparł Jones. - Co pan zamierza obecnie zrobić?

- Plan mój jest cudownie prosty i bajecznie niebezpieczny. Skonstatował pan zdumiewające podobieństwo swojej osoby do tego portretu. A może nie ma tu powodu do zdumienia? Podobieństwo to nie jest bynajmniej całkowite. Polega raczej na tym samym typie twarzy i jej wyrazu. Powinno jednak wystarczyć do stworzenia sensacji w San Triste.

- Krótko mówiąc, mam tam pojechać, ogłosić swoje prawo do nazwiska Vereala i powiedzieć, że jestem zaginionym Josem?

- Nie tak prędko, nie tak prędko, przyjacielu. Muszę panu wytłumaczyć jeszcze wiele szczegółów.

- Przypuśćmy, że pojedę do San Triste i dopomnę się o swoje prawa. Mógłbym zabrać wszystko i zapomnieć o panu.

- Nie. Z chwilą gdy mnie pan zdradzi, zdradzę i ja pana.

- Ale kula wpakowana w pana zaraz, tutaj, usunęłaby pana z mojej drogi.

Simon spojrział na swego młodego towarzysza i zastygł w ekstatycznym, pełnym przerażenia zachwycie.

- Mój Boże, pan jest dziwnym człowiekiem, panie Jones - westchnął wreszcie. - Kula nic by tu nie pomogła! Jeżeli zginę, za dni pięć w Nowym Jorku otworzą mój list, który tam zostawiłem, i momentalnie cała sprawa wyjdzie na jaw. Gdy dowiedzą się o tym w San Triste, spalą pana żywcem.

- Niegłupi z pana człowiek - mówił Jan Jones. - Mam tam więc pojechać sam, objąć wszystko w posiadanie i znaleźć sposób dostarczenia panu schowanych pieniędzy?

- Nie tylko pan będzie nad tym pracował. Zaangażowałem już trzech zdolnych pomocników, którzy spotkają się z panem w San Triste i pomogą panu. Cztery głowy będą miały o czym myśleć, problem jest ostatecznie trudny. Pańska rola będzie polegała na objęciu w posiadanie dóbr Verealów i zamieszkaniu w ich pałacu. Z chwilą gdy pan tego dokona, może pan sobie siedzieć spokojnie i pozwolić moim agentom popracować nad sposobem przewiezienia skarbu.

- A moja nagroda?

- Ile pieniędzy pan zechce, ale przede wszystkim pańska stawka, to wygranie dla siebie całej posiadłości Verealów. Naprawdę to pan powinien mnie wynagrodzić za możliwości, które otworzyłem przed panem.

- Przypuśćmy jednak, że oni przekonają się, że jestem uzurpatorem?

- Wówczas bez cienia wątpliwości mieszkańcy San Triste rozerwą pana na kawałki, bo w ich oczach będzie pan winien zbrodni świętokradztwa.

VIII - Cabrillo

Jeśliby się ktoś spytał mieszkańców San Triste, jaki fakt w historii Verealów wydaje się im szczytem lekkomyślności i zbrodniczych instynktów, odpowiedzieliby bez najmniejszego wahania: mezalians. Kiedy fakt ten miał miejsce, wywołał niesłychane poruszenie, wszyscy czuli, że skutki jego będą jeszcze straszniejsze.

Ongiś rodzina Verealów była bardzo liczna, posiadała dobra ziemskie i władzę, z biegiem wieków stary ród kurczył się i malał, aż w końcu wszystkich jego członków można było policzyć na palcach jednej ręki, a wiadomość o urodzinach męskiego potomka przyjmowana była przez mieszkańców miasta z entuzjastyczną radością. Przy takim stanie rzeczy małżeństwa córek stawały się sprawą niezmiernie ważną, skoro nie było wykluczone, że już niewielkie stadło mogło przejąć nazwisko i włości rodowe.

Należało się spodziewać, że ze wszystkich Verealów przede wszystkim don Diego uszanuje świętość tradycji, tymczasem właśnie don Diego stał się sprawcą mezaliansu. Najstarsze swoje dziecko, córkę, wydał bardzo wcześnie za mąż za Cabrilla. Cabrillowie byli fabrykantami likierów w mieście Meksyku, gorzej jeszcze, byli to ludzie nowi, nawet w środowisku fabrykantów wódek.

Jeżeli cofniemy się o jedną generację wstecz, skonstatujemy, że historia tej rodziny zapada się nagle w nieprzeniknioną ciemność. Mówiono, że stary Cabrillo, który pchnął swój ród na wyższy szczebel społeczny, sam był jeszcze zwykłym chłopem. Jedno było pewne: kobiety i mężczyźni w tej rodzinie nosili na swoich tępych twarzach piętno pospolitego pochodzenia. Wszyscy prócz Franciszka, ten za młodu był szczupły i zgrabny, wesoły i miły w obejściu. Pewnie dlatego zauważył go don Diego. Zaprzyjaźnili się, żyli z sobą i w końcu Vereal zaręczył z tym człowiekiem swoją jedyną córkę.

Zanim to zrobił, nie widział w ogóle rodziny swego młodego przyjaciela. Franciszek bowiem trzymał ostrożnie swoich krewnych z daleka od San Triste. Kiedy jednak w dniu ślubu zjechali, by być świadkami uroczystości, i kiedy Vereal zobaczył typy wytworzone przez tę rasę ludzką: krótkie nosy, małe oczy, grube wargi - wzdrygnął się ze wstrętem. Ale sprawy zaszły już za daleko i nie można było wstrzymać biegu wypadków. Córka Vereala wyszła za Cabrilla i z tego małżeństwa narodził się syn Manuel. Co kryło się w głębinach jego serca, nie wiadomo, z powierzchowności sądząc, był to prawdziwy Cabrillo. Miał krótkie, pałakowate nogi, szeroki tors, długie mocne ramiona, szyję grubą jak u zapaśnika, dużą głowę o niskim czole i wystającą szczękę. Kształcono go oczywiście we Francji, szlif i ogładę otrzymał z rąk wytrawnych nauczycieli, może ich wysiłki odniosły skutek co do jego umysłu, nie mogli jednak zmienić jego powierzchowności.

Wyglądał na dużą małpę i niekiedy tak się zachowywał. Odziedziczył ogromną fortunę Verealów, wzmocnioną i pomnożoną dzięki działalności Józefa Simona.

Tego dnia siedział pod palmami rosnącymi na skraju wzgórza, na którym stał pałac Verealów. Naprzeciw niego siedział Fryderyk de Alverado. Był to, od czasu wygaśnięcia Verealów, przedstawiciel najstarszej i najbardziej szanowanej w mieście rodziny. Wysoki i prosto się trzymający dżentelmen w średnim wieku, był typem zupełnie od Cabrilla odmiennym; twarz miał szczupłą, oczy ciemne, a ręka, w której trzymał szklankę wina była tak wąska i delikatna jak ręka kobiety. Od razu nasuwał się wniosek, że od wielu pokoleń żaden Alverado nie zhańbił swego ducha i nie spospolitował ciała pracą fizyczną.

Alverado był ubrany tak, jak gdyby miał za chwilę pójść na przechadzkę na paryski bulwar, zasiąść w kawiarni przy szklance jasnego piwa i przyglądać się rozmarzonym wzrokiem śpieszącym dokądś, rozgadany, strojnym paryskim tłumom. Natomiast żaden strój nie był w stanie przeobrazić Cabrilla w człowieka cywilizowanego. Potężne mięśnie niezgrabnie wypychały marynarkę w ramionach. Nie umiał przyzwoicie siedzieć, ubranie jego, w dziesięć minut po włożeniu, było już pogniecione, a zanim zdążył przejść kilka kroków, ślicznie wyczyszczone buciki pokrywały się kurzem i miały obdrapane nosy. Choć nosił zwyczajne, przyzwoite ubranie, jeden szczegół zdradzał barbarzyńcę: okręcony był kilkakrotnie w pasie jaskrawo kolorową szarfą. Rozwalał się na krzesło, głowę miał spuszczoną, nogi rozkraczone. We Fryderyku de Alverado wzbudzał taki wstręt, że gość nie mógł wprost patrzeć na pana domu, a jeżeli już koniecznie musiał spojrzeć w jego stronę, obierał sobie za punkt obserwacji jakiś określony przedmiot: guzik przy ubraniu albo sztywny biały kołnierzyk ściskający dokuczliwie byczą szyję Cabrilla.

Rozmawiali dotąd o różnych drobnych zdarzeniach, ale Cabrillo należał do tego typu ludzi, którzy nienawidzą stopniowego zbliżania się do właściwego tematu. Lubił za jednym zamachem znaleźć się w samym sednie sprawy. Gwałtownym ruchem podniósł szklankę wina do ust, skrzywił się połykając jej zawartość i parsknął niezadowolony.

- Przynieś tequilę! - krzyknął głośno.

Zza krzaków wyłoniła się biało odziana postać służącego, który tam czekał na rozkazy.

- To wino, to prawdziwa woda. Napełnia brzuch i nie sprawia żadnej przyjemności. Dawaj prędko tequilę.

Cabrillo niecierpliwiał się, czekając na nową butelkę, zerwał się z krzesła i zaczął charakterystycznym, chwiejnym krokiem chodzić tam i z powrotem po tarasie. Nie mógł się doczekać, więc wyrwał służącemu szklankę z ręki, napełnił ją po brzegi bezbarwnym napojem i wychylił duszkiem. Po czym dysząc ciężko, upadł na krzesło, przymknął oczy i rozkoszował się uczuciem wewnętrznego ognia, spowodowanym mocnym trunkiem. Marynarkę miał rozpiętą i

kilka kropel napoju upadło mu na koszulę. Chciał je zetrzeć, ale ręce miał wilgotne, więc plamy rozmazały się. Wzruszył wówczas ramionami, zaśmiał się gardłowym śmiechem, ruchem dłoni odsunął od siebie te drobne niedogodności i zwrócił się do towarzysza, którego twarz wyrażała najwyższe skrepowanie.

- Teraz, amigo mio, mogę rozmawiać - odezwał się serdecznym głosem. - Gdyby nam Pan Bóg nie dał tego napoju, byłbym człowiekiem niemym! Ale teraz mogę gadać. Sprowadziłem pana tutaj, bo chcę, byśmy zostali najlepszymi przyjaciółmi!

Alverado skłonił się w milczeniu i ruchem całej postaci podziękował grzecznie za te słowa. Po czym szybko odwrócił oczy. Wzrok jego objął trawniki, łagodny spadek tarasów, wielkie cyprusy rosnące za rzeką Sabriną, która ze wschodu i północy okalała ogród. Ktoś wiosłował na Sabrinie i Alverado nie mógł oczu oderwać od leniwego ruchu lśniących wiosł. Domyślał się, co teraz nastąpi i konał ze strachu.

- Jednym słowem - mówił Cabrillo - przeczytałem pański list. Jeśli pan nie może mi zapłacić w tym miesiącu procentu, to nic nie szkodzi. Rozmyślałem nad tym wszystkim i doszedłem do pewnych wniosków. Moglibyśmy zawrzeć ugodę, na mocy której nie byłby mi pan winien ani grosza.

Fryderyk Alverado zagryzł cienkie wargi, zmuszony jednak był obrócić się do pana domu i udać zdziwionego.

- W jaki sposób jest to możliwe?

- W taki. Niech pan na mnie popatrz i niech pan pomyśli: Czy temu człowiekowi brakuje czegokolwiek na świecie? Ma czterdzieści lat, czyli jest u szczytu siły życiowej, posiada duży majątek, mieszka lepiej - takie jest moje skromne zdanie - niż ktokolwiek w Meksyku. Czegóż jeszcze może pragnąć? Tak pan sobie pomyśli i omyli się. Ja sam bowiem zapomniałem o jednej rzeczy. Zapomniałem o niej aż do chwili, kiedy zobaczyłem pewną kobietę. I wówczas przypomniałem sobie, że jestem niezonaty. Muszę się ożenić i dzieci płodzić! Do stu tysięcy diabłów, pomyślałem sobie, co by było, gdybym umarł bezpotomnie i cały ten duży majątek przeszedłby w ręce mojego kuzyna? Tej świni! I co pan na to powie?

- Cóż, małżeństwo to niezła rzecz, o ile jest zawarte w odpowiednim czasie - odparł wolno Alverado. - Czasem jednak myślę, że zbyt wielu mężczyzn żeni się ot tak, tylko dlatego, że taki jest zwyczaj.

- Prawda, prawda - mówił z całą szczerością Cabrillo. - Nienawidzę takich ludzi. To byłoby! Mężczyzna nie powinien się żenić dopóty, dopóki to nie stanie się dla niego czymś ważnym. Gdy spotka kobietę, która zapali w jego sercu płomień i doprowadzi go swoją pięknnością do szaleństwa,

wówczas pozna, że jest zakochany. Niech czeka na tę chwilę, a gdy nadejdzie, niech się żeni z tą kobietą.

Zapadło milczenie. Alverado poruszył się niespokojnie na krześle.

- Może to jest rzeczywiście najlepszy sposób. Co to takiego?

Słysząc było przez chwilę śpieszny stuk kopyt końskich. Na drogę biegnącą wzdłuż rzeki wjechało od strony miasta wyciągniętego kłusa sześciu jeźdźców i bardzo szybko zniknęło w oddali.

Cabrillo klasnął w ręce i zapomniał na chwilę o temacie rozmowy.

- Nim jutro nastanie, posłyszemy nowiny! Tamci wrócą z pełnymi rękami. A diabły! Niech pan patrzy, jak oni jeżdżą: prosto siedzą w siodle i cały dzień mogą jechać kłusa. To nie ludzie, a szatany! Gdzie pan znajdzie takich mężczyzn poza Meksykiem?

- Prawdopodobnie nigdzie - zgodził się Alverado uszczęśliwiony, że rozmowa zeszła na nowe tory. - Żadna inna policja nie może się równać z tą. Ilu to ludzi wyłapali zeszłego tygodnia z bandy Grenacha?

- Zabili siedmiu i wzięli żywcem trzech - mówił Cabrillo, delektując się słowami. - Siedmiu zabitych i trzech żywych! Ale żaden z tych trzech nie chce nic powiedzieć - westchnął. - Bardziej się boją Grenacha, nawet z odległości stu mil, niż stu policjantów deptających im po piętach. To typ ten Grenacho! Ale ja go jeszcze dostanę i zgniotę tego psa jak robaka.

W napadzie furii rzucił szklankę o ziemię i rozdeptał ją na miazgę. Alverado skrzywił się na widok tego dziecinnego wybuchu złości.

- Wolałbym obciąć sobie język niż mówić o tym z kimkolwiek. Ale z panem to co innego. Pan nie słyszał, co odpowiedział Grenacho na zadane mu pytanie, dlaczego złamał przysięgę i zaczął znów rabować i mordować w okolicach San Triste?

- Nie słyszałem o niczym.

- Odpowiedział tak: "Przysięgę złożyłem prawdziwemu mężczyźnie i rodowi, który wydawał prawdziwych mężczyzn. Verealów już nie ma. A reszta mieszkańców San Triste to głupcy albo baby przebrane za mężczyzn, przysięgi składane takim ludziom można śmiało łamać. Pozwoliliście, żeby miejsce, na którym zasiadał mężczyzna, zajęła świnia, to teraz musicie cierpieć".

Cabrillo dyszał z wściekłości.

- Tak o mnie powiedział: "świnia na miejscu mężczyzny". Ale ja go jeszcze dostanę!

Alverado słysząc to opowiadanie dostał raptem napadu kaszlu i ukrył twarz w dłoniach. Gdy podniósł głowę, oczy mu świeciły podejrzanym blaskiem.

- Nie należy się przejmować, przyjacielu, słowami bandyty - powiedział.

- Pan może się nie przejmować. A ja to co innego. Tak, tak! - Dyszał ciężko i przewracał małymi błyszczącymi oczkami. Uspokoił się wreszcie.

- Ale są rzeczy ważniejsze niż ten pies Grenacho - powiedział nagle. - Chodzi o moje małżeństwo z pańską córką. Tak panie. Pan jest zdumiony? Ja wybrałem ją, piękną Alicję.

- Jest jeszcze dzieckiem - odpowiedział sucho Alverado.

- Ma osiemnaście lat! Wszystkie dziewczęta w tym wieku powinny już być zamężne. Małżeństwo chroni je przed różnymi głupstwami. Żaden ojciec nie da sobie z nimi rady. Trzeba na nich uzdy, munsztuka i ostróg. Na to, żeby je upilnować, konieczny jest mąż.

Alverado zbladł, lecz skłonił się uprzejmie.

- Jestem niesłuchanie zaszczycony i zarazem wzruszony do głębi serca. Rzecz ta jednak wymaga należytej rozwagi. Nie mogę tak od razu...

- Nie może pan? - głos Cabrilla brzmiał gniewnie. - Czy tacy konkurenci jak Cabrillo często pukają do pańskich wrót?

Alverado ścisnął zęby i siłą wstrzymał odpowiedź cisnącą mu się na usta.

IX - Impuls

Jones doszedłszy do skraju miasta, miał zamiar posuwać się dalej z wielką ostrożnością. Zorientował się jednak wkrótce, że w mieście panuje zamieszanie, w którym zginie niepostrzeżenie. Tej nocy dziwnie łatwo było przeprowadzić wywiad w San Triste. Zdawało się Jonesowi, że z dali i głębi miasta szedł jakiś szmer, że w sąsiednich ulicach wzrastał i stawał się coraz wyraźniejszy, aż w końcu z tego gwaru wyłoniło się imię, a na dźwięk którego drgnął, a serce zabiło mu mocno. Mężczyźni wymawiali je półgłosem, ale nagle ponad gwarem tłumu rozległ się kobiecy krzyk El Vereal!

To więc było powodem powszechnego niepokoju. Vereal! Bandyci oznajmili już o jego przybyciu. Zagryzł usta ze złości. Czuł się bardzo zaniepokojony.

Wobec bandytów użył tego magicznego słowa po prostu jako sposobu wydostania się z trudnej sytuacji. Na myśl mu nie przyszło, że te dwa wyrzutki społeczeństwa odważą się wjechać do San Triste, gdzie prawdopodobnie na każdego z nich istniało z tuzin wyroków sądowych, że ośmielą się opowiedzieć o zamiarach napaści i o dziwnym epilogu tego zdarzenia. W każdym razie zło było już dokonane. Musi zatem działać szybko. Miał dotąd nadzieję, że będzie mógł się węsnać kilka dni po mieście, zapoznać się z ludźmi i ich wyglądem, nawiązać kontakt z trzema współnikami, naradzić się z nimi i zacząć działać wówczas, gdy okoliczności wydadzą mu się najbardziej sprzyjające. Wszystkie nadzieje pokładane w tym planie spełzyły na niczym.

O ile chce wykorzystać wrażenie, które wywarło na mieszczanach nazwisko Vereala, musi się natychmiast zabrać do roboty. Od czasu kiedy ostatni z Verealów przebywał w tym mieście, minęło lat dziesięć, a może i dwanaście. Kto będzie pamiętał tak dokładnie ich rysy, by odnaleźć w jego twarzy podobieństwo do typu rodzinnego Verealów? Jakie znaczenie będzie miało to podobieństwo dla ludności miasta? Jak ustosunkowywali się oni do Cabrilla? Tego wszystkiego instruujący go Simon nie był pewny.

Wchodząc w ulice miasta Jones miał pewność, że zwiększające się z każdą chwilą zamieszanie, pochłonie go. W końcu zdobył punkt obserwacyjny za krzakami agrestu rosnącego między dwoma domami przy jezdni, skąd mógł obserwować większą część ulicy. Stan ogólnego wrzenia przeszedł jego oczekiwanie. Ulica pełna była kobiet z naciągniętymi na włosy czarnymi szalami, staruszek z odkrytymi głowami, ruchliwych i na pół nagich dzieci, obdartych chłopców. Tłumy te nie zbierały się wokół żadnego określonego punktu. Słyszał tylko szepty i strzępy zdań i wydawało mu się, że twarze te wyrażają raczej strach niż radość czy nadzieję.

Nagle tłum przeistoczył się w mniej więcej karne grono słuchaczy. Wydawało się, że ktoś wreszcie przynosi konkretne nowiny. Tego herolda poprzedzał gruby jegomość nadęty poczuciem

własnej ważności. Zatrzymał się, podniósł ręce do góry, krzyknął kilka słów i zgromadził wokół siebie ludzkie stado. Ustawili się w półkole. Twarze i wzrok skierowali na mówiącego.

- Pedro wie wszystko - powiedziała poważna persona. - On nam opowie. Musimy milczeć i rozważyć jego słowa. Dziwna noc nadeszła dla San Triste. Do późnej starości nie zapomnimy tej nocy. Pedro, mów!

Pedro pochodził z nizin społecznych. Na sobie miał łachmany; twarz jego wyrażała strach i zmęczenie tak charakterystyczne dla nędzarzy. Na południe jednak od Rio Grande, najbiedniejszy z biednych, najnędzniejszy z nędzarzy, umie opowiadać i ponura twarz Pedra rozjaśniła się natchnieniem rasowego mówcy.

- Opowiem wam rzecz całą tak, jak ją sam usłyszałem. I jeżeli zmienię choć jedno słówko, to niech mnie Bóg natychmiast ukarze - przeżegnał się uroczyście.

Przypominało to przysięgę w sądzie i Jones pomimo podniecenia i nerwowego napięcia uśmiechnął się. Tłum przeżegnał się i słuchał w nabożnym skupieniu.

- A było to tak - zaczął opowiadać Pedro. - Juan Quate i piekarz Gomer wracali z południa, zza gór, i szli właśnie przez gęste zarośla. Zatrzymali się na szczycie wzgórza i rozglądali dokoła jak to zwykle czynią ludzie zmęczeni i stęsknieni za domem, gdy widzą już własne chaty w oddali, a wiedzą, że jeszcze muszą iść do nich kawał drogi.

Tłum kiwał potakująco głowami. Wielość tych szczegółów zdawała się kłaść fundamentalne podwaliny pod przyszłe opowiadanie.

- Gdy tak tam stali - ciągnął dalej Pedro - zaczęli gadać o dawnych czasach, kiedy to Quate pracował w pałacu Verealów.

Przerwał na chwilę i Jonesowi zdawało się, że tłumem wstrząsnął lekki dreszcz.

- El Vereal - zaszepciano.

- Ty Cabero - ciągnął dalej Pedro - pamiętasz pewnie, że Quate tam pracował?

Gruby jegomość, który przyprowadził narratora, chrząknął kilkakrotnie i kiwnął potakująco głową.

- Pamiętam doskonale. Uczyłem właśnie małego don Josego, jak należy obchodzić się z ostrogami. Zrozumiał dobrze! Cha, cha! Tak się z nimi obszedł, że na bokach klaczy pokazała się krew. Klacz znarowiła się i zrzuciła go. Przeleciał ponad jej głową, myślałem, że się zabił. Krzyczałem i pobiegłem ku niemu, ale on skoczył już na równe nogi i śmiał się. Był Verealem!

W tłumie rozległ się głuchy pomruk zadowolenia.

- I powiedział do mnie tak: "Spadłem i nic już na to nie mogę poradzić. Zaraz znów wsiądę na tę klacz. Tylko niech pan odeśle tego człowieka z czerwoną twarzą. Jak na niego patrzę, to chce mi się śmiać. A jak się śmieję, to nie potrafię jeździć".

Tłum zaśmiał się serdecznie i krótko, zaciekawiony dalszym ciągiem opowiadania.

- Człowiek z czerwoną gębą to był właśnie Quate. Doskonale go pamiętam. - Mów dalej Pedro! No i cóż ten Quate?

- Quate opowiadał o dawnych czasach w pałacu Verealów.

- To były dobre czasy - westchnął Cabero i tłum westchnął razem z nim.

- Wówczas Quate powiedział: "Dopóki w pałacu na wzgórzu nie zamieszka znów Vereal, nie nastaną szczęśliwe dni dla San Triste".

Tłum solidaryzował się z tym zdaniem i dał temu wyraz w posepnym mruknięciu; słuchającemu Jonesowi serce zabiło mocniej.

- Potem poszli znów w swoją drogę i po chwili usłyszeli za sobą tętent kopyt końskich. Obrócili się zdziwieni bardzo, bo tylko co rozglądali się po okolicy i w obrębie mili nie widzieli żadnego konia. A teraz do doliny, w której się znajdowali, schodził wielki kary koń, a na nim młody, piękny, wesoły, bogato odziany jeździec. Ten jeździec miał twarz młodego don Josego, który, jak wiecie, dziś byłby dorosłym mężczyzną!

Tłum przestał panować nad sobą. Ludzie zaczęli krzyczeć ochryplymi głosami.

- Na ten widok oniemieli. Słabo im się zrobiło, zgłupieli zupełnie. To nie mogło być prawdą! Porozumieli się oczami: ponury duch przyszedł ich nastraszyć. Jakie były pierwsze słowa, które duch - a może to jednak był człowiek - wypowiedział? Jak myślicie?

Tłum wstrzymał oddech i w napięciu czekał.

- Pierwsze słowa były takie: "Dzieci moje..."

Westchnienie radości i ulgi wyrwało się z ust tego zbiorowiska. Tłum zakołysał się, mężczyźni i kobiety patrzyli na siebie oczami pełnymi łez.

- Powiedział tak: "Dzieci moje, słyszałem o smutkach, które was gnębią od czasu, kiedy obcy człowiek zamieszkał na zamku na wzgórzu. Nie bójcie się, przyjechałem was pocieszyć. Przybyłem tu i zostanę z wami, i będę się wami opiekował, tak jak robili to wszyscy moi przodkowie".

- Wówczas Quate i Gomez padli na kolana, chcieli wołać i błogosławić go, ale poczuli, że stał się cud i nie mogą wydobyć głosu z gardła. Z całych sił pragnęli go błogosławić, cóż, kiedy nie mogli mówić. W oczach im stanęły łzy. Pan Bóg widzi, że gdybym ja tam był, tobym tak płakał, że nie mógłbym dojrzeć własnych rąk. A jak przetarli wreszcie oczy, Vereala już nie było. Znikł!

Z tłumu wyrwał się jęk rozpacz.

- Nie, nie! - krzyczano. - On, jedyny nasz ratunek, nie mógł nas znów opuścić.

- Cicho tam, milczeć! - krzyknął ostro Pedro. - Durnie! Jak śmiecie w ogóle mówić o Verealu i o tym, co powinien zrobić! On znikł... senne widziadło rozchwiało się. Ale widomy znak

po nim pozostał! Kiedy Quate i Gomez spojrzeli na ziemię, każdy z nich zobaczył leżącą tam złotą monetę. Podnieśli ją uszczęśliwieni, że jednak oglądali prawdę, a nie zjawę. Przyjrzeni się monetom. No i co na to powiecie? Daty na pieniądzach były sprzed dwunastu lat! A co się stało tu przed dwunastoma latami? Wówczas to, niestety, zdradziliśmy Vereala i pozwoliliśmy psom rozszarpać go i zająć jego dom!

Podniósł się ryk gniewu i protestu.

- Nie mów tego - zawołał Cabero tonem pełnym powagi. - Gdybyśmy mieli wówczas czas skupić się koło niego... Ale Vereal chciał odnieść zwycięstwo sam, powagą swej osoby. Jak szaleniec popędził na spotkanie nieprzyjaciela! Patrzyłem na niego i - Bóg widzi - rwałem sobie włosy z rozpacz.

Jan Jones nie miał po co dłużej słuchać. Krzaki, w których się ukrywał, zaszeleściły cichutko. Wysunął się z nich i zaczął biec długimi, lekkimi susami jak Indianin. Spieszył nad lśniąca w księżycowej poświacie lagunę.

Pierre powitał go radosnym rzeniem, osiodłał go szybko. Wskoczył na siodło i puścił się pędem w stronę San Triste. Pchał go do czynu impuls wywołany chwilą, nic ponadto, ale czuł, że ten impuls to pewniejszy i silniejszy przewodnik, niż rozsądne rozumowanie.

X - Łatwowierny tłum

Na skraju miasta zatrzymał się i poczynił ostatnie przygotowania. Oczyszczył jak tylko mógł najporządniej ubranie z kurzu i stosując się do wskazówek Simona dodał do niego kilka akcesoriów. Z torby przytroczonej do siodła wy dostał czarne okrycie i zarzucił sobie na ramiona. Wokół pasa zawiązał czerwonożółtą szarfę. Sombrero pięknie wygiął, ściągnął lekko uzdę i dotknął konia ostrogą, co wprowadziło Pierre'a w radosny szal. Tanecznym krokiem wjechał Jones do San Triste, gdzie miał rozpocząć pierwszy rozdział nowego, pełnego dziwów życia. Początkowo nikt go nie zauważył. Na placu tłum tłoczył się wciąż koło Pedra, który niestrudzenie powtarzał swoją opowieść po raz piąty. Wymagano od niego szczegółów, dorabiał je naprędce. Opisywał konia, opowiadał, ile miał stóp wysokości i starała się przypodobać słuchaczom, gdy wtem na peryferiach tłumy podniósł się dziki okrzyk i przerwał potok jego wymowy. Krzyk ten podobny był do głosu ducha w złowrogiej bajce: Vereal!

Obrócili się wszyscy, drżąc ze zdumienia i trwogi. W krąg światła, które wydobywało się z otwartych drzwi jakiegoś dworku wjeżdżał rycerski jeździec na pięknym, lśniącem, czarnym ogierze.

Kary ogier wszedł wesoło w sączący się z następnych drzwi krąg światła. W nikłym i drżącym blasku można było dojrzeć konia i szarfę o barwach domu Verealów, którą był przepasany nieznajomy.

Najcichszy nawet szept nie wyszedł z ust tłumy, nie słyhać było ani westchnień, ani jęków... Ludzie zbliżali się powoli i przyglądali pięknej twarzy młodzieńca, orlemu nosowi, czarnej pelerynie, godności postawy, wdziękowi, z którym siedział na siodle, aż wreszcie z ust wszystkich wyrwał się nieprzytomny okrzyk szczęścia: Vereal!

Biegli za nim, kobiety wyciągały ramiona jak na powitanie długo nie widzianego syna, mężczyźni wyrzucali kapelusze do góry i wymachiwali rękami. Pchali się do niego tak, iż wydawało się, że wyrócą potężnego ogiera, ale w ostatniej chwili rozstępowali się przed nim, jak gdyby samo zbliżenie się do jego osoby stwarzało między nimi a Verealem kamienną zaporę. Jak pszczoły koło ula roili się koło niego. W uszach Jonesa brzmiał donośny okrzyk ich radości.

- Jestem łotrem - mówił do siebie. - Jestem łotrem, bo oszukuję ich. Oni wznoszą okrzyki na cześć Vereala, a ja jestem płatnym oszustem!

Tak rozmyślał Jones. Ale któż mógłby się oprzeć pokusie zagrania takiej roli, na takiej scenie, przy tych dekoracjach, gdy samo audytorium podpowiada tekst?

Podniósł rękę. Wszyscy zamilkli jak uczniacy bojący się surowego nauczyciela.

- Dzieci moje - odezwał się Jan Jones.

Nie mógł mówić dalej. Głos jego zagłuszył ryk tłumu. Tworzyli w koło jego postaci coraz ciaśniejszy krąg. Wyciągnął rękę. Umilkli.

- Cabero, nie zapomniałeś mnie? Pamiętasz tę klacz, pamiętasz, jak z niej spadłem?

Może do tej chwili w głębi niektórych serc czaiły się jakieś wątpliwości, ale tu był niezbity dowód prawdy; ostatnie wahania znikły i rozchwiały się.

Każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecko założyłoby się o własną głowę, że Jones był prawdziwym spadkobiercą pałacu Verealów, górującego nad San Triste, każdy oddałby chętnie życie, by ten oto młodzieniec objął należne mu dziedzictwo.

Cabero przebił się przez gęsty tłum zagradzający mu drogę, jakby to nie była zbita masa ludzka, a papierowe obrazki. Bo Cabero był potężnym mężczyzną, a lata nie pokryły jego mięśni tłuszczem, przeciwnie, pomnożyły ich siłę. Ujął w obie swoje ręce wyciągniętą dłoń Vereala, przycisnął ją do piersi i łzy zalały mu twarz. Gardło miał ściśnięte i głosu nie mógł wydobyć; wreszcie coś jak gdyby jęk czy ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi.

- O mój drogi panie! Bóg widać przebaczył moje winy, bo ciebie zesłał do San Triste. Zobaczyłem raz jeszcze don Josego! Teraz mogę już umrzeć.

Jan Jones pochylił się w siodle i przyciągnął go do siebie.

- Cabero, Bóg pozwolił mi wrócić do San Triste i San Triste z pewnością powita mnie z radością. Ale jest jeden człowiek w tym mieście, który się może zasmuci słysząc, że wróciłem.

To mówiąc podniósł ręką i wskazał na północ, gdzie ponad głowami tłumu wznosiło się wzgórze uwieńczone gęstwiną drzew otaczających pałac Verealów. Cabero kiwnął ponuro głową.

- On ostrzegł już policję. Jest teraz właścicielem San Triste, nie w ten sposób, w jaki Verealowie posiadali to miasto za dawnych złotych czasów, ale tak jak pan jest właścicielem niewolnika, zbyt słabego, by mógł się buntować. Żandarmi dostali już odpowiednie rozkazy. Panie mój, gdy się ukazesz w mieście, zaaresztują cię. Może już w tej chwili policja śpieszy tu.

Mówiąc to, obejrzał się trwożliwie za siebie na ulicę wiodącą w głąb miasta i zakończoną nagłym zakrętem.

- Co trzeba zrobić? - zwrócił się z zapytaniem do Jonesa. - Jeżeli ofiara z jednego życia może coś pomóc, Bóg widzi, panie, że moje życie należy do ciebie.

- Nie będzie żadnego rozlewu krwi - odparł spokojnie jeździec. - Czy nie ma tu koni? Ze mną muszą jechać konni. Jeżeli będą mieli broń w olstrach, to może tamci zmienią zdanie i odłożą aresztowanie na później.

Cabero uśmiechnął się, obrócił i potężnym dźwięcznym głosem wydał tłumowi kilka jasnych, krótkich, ostrych rozkazów. Natychmiast każdy właściciel konia polecał go osiodłać. Wokół jeźdźca zostali tylko starcy, kobiety i dzieci i otoczyli go jeszcze ciaśniejszym kołem.

Jakaś kobieta podniosła wysoko w ramionach mizerne dziecko, chcąc, by się przyjrzało z bliska obcemu, i chore maleństwo zaczęło krzyczeć ze strachu. Jones zagryzł wargi, skupił się w sobie i zaryzykował odważny czyn: wziął dziecko na ręce. Zamilkło, może ze strachu, i leżało potulnie w jego ramionach, przypatrując mu się szeroko otwartymi oczami. Wśród stłoczonych kobiet słychać było szept pełen podziwu i lęku. Dla nich to był cud.

- Doktor mówi, że dziecko musi umrzeć - krzyknęła zrozpaczona matka. - Powiedz, och powiedz mi panie, że kłamał.

- Tego doktora wypędzę z San Triste - odparł surowo Jones. - To głupiec! Dziecko będzie żyło, musi żyć. Weź to - wsunął szeleszczący dziesięciopesosowy banknot w rękę kobiety. - Karm go dobrze, pielęgnuj go starannie, ufaj dobroci bożej i nie bój się.

- Będę ufała Verealowi - łkała kobiecina. - I modlić się będę za pana.

Odebrała dziecko i cofnęła się kołysząc go w ramionach. Dziecko, które dotąd milczało bezgranicznie przerażone, wracało powoli do siebie i zaczęło znów kwilić.

- Ludzie, słyszycie? - krzyknęła w najwyższym podnieceniu matka. - Ono płacze, bo chce wrócić do Vereala. Czy widzieliście kiedyś takiego człowieka? Dziecko krzyczy, bo chce być noszone przez swego pana.

Mężczyźni, istoty o zimnych sercach, mogli myśleć, co im się żywnie podobało, ale kobiety z San Triste widziały w tym prawdziwy, niezaprzeczalny cud. Mężczyznom się zdawało, że ujrzeli twarz Vereala powracającego do nich, kobiety gotowe były przysiąc, że widziały żywe, gorące jego serce. Mężczyźni gotowi byli jechać za nim, a kobiety gotowe były iść za nim wraz z mężami, synami i ojcami. Tymczasem nadjechało trzydziestu konnych. Była to bardzo mała garstka i Jones patrząc na nich poczuł, że chwieje się jego odwaga. Dzielnica, w której po raz pierwszy ujawnił swoją obecność, nie należała ani do zamożnych, ani do gęsto zaludnionych. Poza Caberą, najbogatszym człowiekiem w tej dzielnicy, wszyscy ci ludzie to byli zubożali rolnicy, nędzarze. Nawet koń Cabery był tylko małym mustangiem o brzydkiej głowie, a reszta wierzchowców świeciła wychudzonymi żebrami. Czego lepszego można się było spodziewać? Meksykanie nigdy nie cackają się zbytnio ze swoim inwentarzem, a ci obywatele San Triste zaledwie mogli sami utrzymać się przy życiu, więc trudno było od nich wymagać, żeby ceną gotówkę wydawali na dobre odżywianie koni. Poza tym koń nie był niezbędny w ich pracy, niezbędnym pomocnikiem był wół, ciągnący staroświeckie, drewniane pługi.

Ale ludzie siedzący na tych kościstych chabetach byli odważni i silni. Nikt na świecie nie mógł ich przewyższyć w dzielności i oddaniu sprawie. Niestety, posiadali mało broni: naboje to droga rzecz. Ci ludzie zdobywali w krwawym trudzie środki do życia, nie mieli więc czasu na wędrówki i polowania. Jako uzbrojenie służyły im noże, a przede wszystkim ostre, ciężkie siekiery,

którymi posługiwali się w pracy przy trzcinnie cukrowej i którymi - o ile sprawa będzie tego wymagała - gotowi dziś byli krajać ludzkie kości i mięso. Cóż mogły ręce w ten sposób uzbrojone zdziałać w walce z maszynowymi karabinami?

Jan Jones spojrział na wzgórze, na ciężki, przysadzisty ogromny dom wylaniający się z masy drzew. Atakować taką fortecę z tą garstką ludzi było szaleństwem przechodzącym nawet jego wybujałą wyobraźnię. Muszą postępować inaczej. Wszystko zaczęło się jak cud i rozwijać się mogło tylko dzięki cudom. Ta myśl spodobała mu się ogromnie i pomogła mu wygładzić bardzo skrzywioną twarz.

Tymczasem Cabero ustawił mężczyzn w niezdarny szereg. Kobiety szły po bokach pochodu, a Jones jechał na czele; gdy dał rozkaz wymarszu, odpowiedział mu tłum potężnym okrzykiem.

XI - Niedowiarek

Tego Jones sobie najmniej życzył. Okrzyk ów oznajmiał nieprzyjacielowi, skąd się zbliżało niebezpieczeństwo, ale było niemożliwe uciszyć tę małą armię. Od chwili gdy rozpoczęto marsz, powietrze drżało od bezustannego wrzasku. Wśród tego gwaru Cabero krzyczał do ucha Vereala:

- Ruszamy panie, ale dokąd mamy iść?

Jedna jedyna myśl przyszła w tej chwili Jonesowi do głowy.

- Do pałacu Verealów!

Adiutant powtórzył te słowa i tłum przyjął je entuzjastycznie.

- Do pałacu Verealów!

Posuwali się pomалу, Jones jechał wolniutko na swym karym wierzchowcu; wiedział dobrze, że o ile ta fala ma zalać wielki budynek na wzgórzu, musi - zanim dojdzie - powiększyć się wielokrotnie. I rzeczywiście rosła ze zdumiewającą szybkością. Mężczyźni tworzyli zwartą grupę, kobiety, wrzeszcząc i wiwatując, agitowały i przyprowadzały rekrutów.

Biegły przed małym oddziałkiem, wszędzie ich było pełno. Wpadały do domów, wywlekały stamtąd zdumionych mieszkańców; ciągnęły za sobą mężczyzn, którzy wybiegli na ulicę, chcąc się przekonać, co znaczy ten krzyk. Ich entuzjazm był niesłychanie zaraźliwy.

W jednej chwili kilka wybełkotanych, nieprzytomnych słów i okrzyków: Vereal! przekonało też najsolidniejszych obywateli San Triste. Nastął czas cudów.

Chwymano za broń, ci co mieli konie, siodłali je. W drodze zdobywano informacje fruujące z ust do ust. Przede wszystkim dowiadywano się, że przyjechał Vereal we własnej osobie, piękny, młody, wesoły, odważny, że chce wejść w posiadanie swej ojcowizny i wyrzucić znenawidzonego potwora, zamieszkującego dom na wzgórzu.

W przeciągu dziesięciu minut garstka trzydziestu ludzi wzrosła dziesięciokrotnie i ciągle nowe zastępy zalewały ulice. Tłum rósł i rósł, a Jan Jones jechał wolniusieńko krętymi drogami przez środek miasta, dając w ten sposób możliwość każdemu, kto pragnął, przyłączenia się do jego oddziału. Ci, co szli za nim, nie byli to już zwykli ludzie, były to istoty z bajki, ogarnięte płomieniem szaleństwa i entuzjazmu.

Ktoś jechał koło niego, drżąc z podniecenia.

- Panie, panie! - krzyczał podnosząc ręce - naucz mnie, jak mam umrzeć za ciebie. Pokaż, w jaki sposób...

- Idź na wzgórze - odparł tonem wytrawnego dowódcy Jones - i dowiedz się, co tam robi Cabrillo.

Człowiek, do którego wypowiedział te słowa, zawrócił konia na miejscu, uderzył go szpicrutą, ukłuł ostrogami i znikł w mgnieniu oka. Inni nie czekając rozkazów, podążyli za nim. Taki to duch ogarnął ludność San Triste. Tych, którzy mieli jakiegokolwiek wątpliwości, chwymano i ciągnięto na czoło pochodu.

- Patrzcie - mówiono im - sprawdźcie własnymi oczami.

I rzeczywiście jedno spojrzenie wystarczało. W takich okolicznościach najczarniejszy kolor wydaje się niepokalaną bielą.

Nagle koło Jonesa skłębiła się i zawirowała masa ludzka: trzech jeźdźców, strzemię przy strzemieniu, torowało sobie drogę. Podjechali blisko i w drżącym świetle pochodni, które skąpo oświetlały tłum, Jones poznał swoich trzech współników, Anglika, Amerykanina, Francuza. Wreszcie dotarli do niego i Si Denny mógł mu szepnąć:

- Elegancka robota, elegancka. Okręcisz ich sobie koło małego palca.

- Co będzie, jeśli Cabrillo wystawi dwudziestu porządnych żołnierzy i zaatakują tę cizbę?

- My trzej wstrzymamy atak, a reszta wykończy ich - Denny przypatrywał się strasznyemu twarzom rozsianym w tłumie. - Zresztą te typy są zawzięte. Nawet karabiny nie powstrzymałyby ich. Upili się trunkiem, który idzie do głowy, a nie do żołądka.

To była prawda i Jones wiedział o tym. Fala płynąca wkoło niego składała się z ludzi przeistoczonych do głębi, z ludzi o wykrzywionych twarzach, klnących, krzyczących, rozśpiewanych. Wokoło kłębiła się niezmierna cizba kobiet. Pierwszy posłaniec wrócił do nich na koniu, który wskutek okrutnego tempa jazdy pokryty był pianą i drżał ze zmęczenia. Gонец przyniósł następujące nowiny: Cabrillo od dawna wiedział o wszystkim. Zebrał w pałacu na wzgórzu kilkudziesięciu ludzi, zupełnie zależnych od siebie, ludzi, których dobrobyt lub nędza zależała całkowicie od jego zwycięstwa lub porażki, poza tym zgromadził swoją służbę i tych, którzy pracowali w jego warsztatach w obrębie miasta i poza nim.

Zdając sobie sprawę z tego, że miasto go nienawidzi, pośpiesznie zgromadził wkoło siebie pokaźną liczbę łotrów, którzy niby to zarządzali jego fermami, a w rzeczywistości nie robili nic prócz beczynnego korzystania z dochodów płynących z tychże ferm. Tego rodzaju typy gotowe były walczyć i mordować i choć prawdopodobnie nie było ich tak wielu, pod odpowiednim dowództwem mogli siać straszne spustoszenie. A Cabrillo potrafi poprowadzić ich do bitwy! Mały nie mógł przewidzieć, jak się zachowa wobec takich przeciwników na wpół uzbrojona zbieranina ludzi ciągnąca za nim. Ale tłum nie miał ani chwili wątpliwości, tłum chciał nie tylko wyprowadzić z domu domniemanych przodków tego uzurpatora, ale jeszcze dostać w swoje łapy Cabrilla, który oddał zarząd posiadłości obcym najemnikom, posiadającym silne i dobrze uzbrojone pięści.

Tymczasem minęli już dzielnicę biedaków i wjeżdżali w inną część miasta; ulice tu były równie wąskie, ale domy wysokie i masywne, obrócone tyłem do jezdni. Piękność ich była widoczna tylko od strony prywatnych ogrodów i dziedzińców.

- Tu leży klucz do całkowitego podboju San Triste - mówił Marmont, wskazując na jeden z okazałych budynków.

Biednych ludzi już sobie zdobyłeś. Jeżeli Alverado stanie po twojej stronie, miejscowi bogacze pójdą za nim jak stado owiec. Od czasu zniknięcia Verealów on tu panuje. O ile się jego przekona, całą sprawę mamy załatwioną.

Zbliżali się do domu Alverada. Tłum zorientował się, jak bardzo ważną rzeczą było zdobycie poparcia bogacza i zaczął wielkim głosem domagać się jego widoku. Przez jakiś czas żadne światło nie ukazało się w wąskich i rzadko osadzonych okienkach starego, arystokratycznego pałacu. Nagle otworzyły się drzwi i na wąskim balkoniku, umieszczonym nad łukiem bramy prowadzącej do wewnętrznego dziedzińca, ukazał się Alverado we własnej osobie. Za nim stanął wysoki giermek trzymając w ręku latarnię. Alverado podniósł rękę i na ten sygnał ucichła uliczna wrzawa.

- Co się stało? - spytał spokojnie. - Dlaczego tu przyszliście? Czy jakieś niebezpieczeństwo zagraża miastu?

Setki głosów odpowiedziały mu jednocześnie:

- Vereal! Vereal wrócił do nas!

Mały podjechał trochę bliżej do nieruchomo stojącej postaci.

- Panie Alverado, jeśli mnie pan nie poznaje, winne są temu lata, które upłynęły od mego ostatniego pobytu w San Triste. Ale wróciłem wreszcie i mam zamiar upomnieć się o zwrot mojej własności. Czy pan zechce pojechać ze mną do pałacu? Udowodniłem tym ludziom, że jestem Jose Vereal.

Alverado nie zaraz odpowiedział. W tłumie podniosło się tuzin rąk dźwigających pochodnie i oświetliło twarz Małego. Alverado przypatrywał mu się bębniąc leciutko cienkimi palcami po balustradzie balkonu.

- Panie Jose Vereal, skoro pan nosi to nazwisko i pretenduje do własności Verealów w San Triste, czyż nie ma w tym mieście trybunałów i sędziów, którzy pomogą panu wejść w legalne posiadanie pańskich dóbr? - przemówił wreszcie obojętnym głosem. - Pan się wolał zwrócić do tłumu?

Tłum protestował i mruczał niezadowolony, umilkł jednak natychmiast, chcąc usłyszeć odpowiedź Małego.

- Mogę panu w tej chwili opowiedzieć dzieje mego życia. Po tej nocy, kiedy to nieprzyjaciele zdobyli pałac Verealów i kiedy Ludwik Gaspard uciekł ze mną z San Triste, wywiózł mnie, jak tylko mógł najszybciej, koleją z Meksyku. W Vera Cruz wsiedliśmy na statek idący w kierunku Nowego Orleanu. Gaspard mówił mi zawsze, że nie powinienem wracać do San Triste. Dojechalśmy do Stanów Zjednoczonych i tam po kilku dniach umarł Gaspard, ale choć miałem wówczas dopiero dziesięć lat, nie mogłem zapomnieć San Triste. Bo Vereal tylko tu może oddychać swobodnie.

Mały przemawiał donośnym głosem, tłum odpowiedział mu ogłuszającym wrzaskiem. Zdawało się Małemu, że stojący na balkonie mężczyzna uśmiechnął się ironicznie na dźwięk tych retorycznych elukubracji. Mały zagryzł wargi, rozumiał doskonale, że nie może mówić jednocześnie do tłumy i do tego wielkiego pana. To co entuzjazmowało jednych, wywoływało uśmiech u drugich.

- Więc po dwunastu latach zdecydował się pan wrócić do nas? - spytał Fryderyk Alverado. Składam panu najlepsze życzenia z okazji szczęśliwego powrotu. Z chwilą gdy prawo usankcjonuje pańską obecność, pozwolę sobie zaliczyć się do najpokorniejszych sług pańskich i przyjść z czołobitnością do pałacu Verealów.

Wśród zgromadzonej ludności dał się słyszeć szmer nieufności, zdumienia i niezadowolenia. Tłum zakotłosał się. Wtem rozległ się ostry, twardy, donośny głos. Mały zorientował się, że to mówi Anglik, Halsey.

- Dosyć mamy Alverada! On trzyma z Cabrillem! Jego karmi ta świnka, która mieszka tam na wzgórzu.

Halsey władał dobrze hiszpańskim językiem i słowa te wykrzyknął z należyty patosem. Tłum - to koń, który staje dęba za lada dotknięciem ostrogą i tłum w San Triste oszalał w mgnieniu oka. Przed ich świeżo odnalezionym bohaterem wznosiła się przeszkoda. Chcieli nie tylko przeskoczyć przez nią, chcieli połamać ją na kawałki. Przed chwilą patrzyli na spokojną, ironiczną twarz Alverada wzrokiem dzieci przyglądających się ojcu lub nauczycielowi, lub żebraka podnoszącego oczy na króla, teraz ryk lwa wydobywający się z piersi Halseya zmienił ich zupełnie. Stalowa, szybsza od myśli, błyskawica zabłysła nad Alveradem i odbiła się o ścianę za jego plecami: ciężki nóż opadł na ulicę. W wielu rękach zabłysły noże, nabijano rewolwery i strzelby. Za chwilę rozpoczęło się strzelanina i z arystokraty zostanie miazga. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa Alverado zachował się wspaniale. Skrzyżował ręce, oparł się lekko o żelazną kratę balkonu i uśmiech pogardy nie schodził mu z ust; czuło się, że raczej umrze dziesięciokrotnie niż obróci plecami do ulicy. Mały krzyknął coś z całych sił: głos jego zginął w powszechnej wrzawie zalewającej ulicę, odbijającej się echem o domy, wzrastającej z każdą chwilą. Zresztą

niedaleko stał Halsey: czerwona twarz promieniowała złą radością, a oczy płonęły. Olbrzymie ręce chwyciły Małego za ramię.

- Milcz - szepnął pośpiesznie. - Nie przeszkadzaj im. Niech sobie wezmą Alverada! Ten gałgan jest dla nas niewygodny: za dużo i za dobrze myśli. Prości ludzie są z nami, bez reszty obejdziemy się.

Mały nie słuchał tych okrutnych, drastycznych słów. Starał się na próżno zyskać posłuch. Tuż koło jego ucha przeleciała kula: widział jak Alverado cudem uchylił głowę. To Si Denny zdecydował, że cała ta sprawa zbyt wolnym toczy się tempem i własnymi rękami chciał przyśpieszyć bieg wypadków.

Ten uparty człowiek stojący na balkonie za pół sekundy byłby już trupem, gdyby go nie uratowano wbrew jego woli.

Przez wąskie drzwi wpadła na balkon dziewczyna w czerwonej sukni i błyskawicznym ruchem wślizgnęła się na przód balkonu i stanęła między Alveradem a tłumem, rozkrzyżowała nagle ramiona i spojrzała na Alverada z takim wyrazem trwogi i miłości, że obraz ten wrył się głęboko w sercu Małego. Alveradzie przestało grozić jakiejkolwiek niebezpieczeństwo. Meksykanie kochają się w pięknych i wzruszających widowiskach, a nade wszystko cenią odwagę. Opadły lufy strzelb, noże wyleciały w powietrze i tysiące głosów zawołało: Niech żyje senorita!

Tłum popłynął dalej porywając za sobą Małego. Jonesa ogarnęło uczucie niepojętego szczęścia; rozumiał, skąd ono pochodzi: dowiedział się bowiem, że dziewczyna była córką, a nie żoną Alverada!

Posuwali się dalej, coraz więcej osób szło za nimi. Kilku miejscowych patrycjuszów za przykładem Alverada, wstrzymało się od wszelkiej akcji, ale większość przyłączyła się do pochodu, a entuzjizm ich był równie żywiołowy i równie głośny jak entuzjizm ludu.

Młodzi i starzy jeźdźcy rozpychali końmi tłum i zbliżali się do Małego, chcąc wziąć go w ramiona lub uściskać dłoń - w oczach ich świeciły łzy, z ust wydobywały się radosne okrzyki i Jan Jones zrozumiał, że zdobył już San Triste, a wraz z nim pałac Verealów i wielki skarb.

Jednak nie myślał teraz o pięćdziesięciu mułach, które należało objuczyć srebrem, ani o dwudziestu mułach potrzebnych do przewiezienia złota, ani o skrzynce pełnej po brzegi cudownych klejnotów. Myślał ciągle o balkonowej zjawie. Nie lśniła ona ni złotem, ni klejnotami i cieszył się z tego niezmiernie. Dziewczyna miała pęk żółtych kwiatów przy piersiach, a suknia obciskająca jej wysmukłą postać czerwona była i żywa jak płomień, włosy miała ciemne i mieniące się jak woda w leśnym źródle. Mały dojrzał w niej coś więcej niż piękność. Czuł, że dane mu było rzucić okiem w głębię jej serca i duszy: wszystko co tam zobaczył, było czyste, świeże i godne miłości.

XII - Mały spotyka Cabrilla

Posuwali się na północ. Pół San Triste ogołocone już było z mężczyzn, a drugie pół dosyłało galonem rekrutów. Nie było już teraz mowy, żeby garstka obrońców pałacu Verealów mogła im stawiać opór. Mały przekonał się o tym widząc, jak jego armia wysypała się z północnej części San Triste i jak zaczyna wspinać się na wzgórze.

Setki świateł drżało i chwiało się ponad głowami długich szeregów, tworząc na czele pochodu zbitą masę ognia i rozsypując się jak ogon komety ku jego końcowi. Jan Jones widział wszędzie te same dzikie twarze i morderczy błysk obnażonej stali.

Ci ludzie nie będą w ogóle brali udziału w walce, w pierwszych szeregach skupiła się wokół arystokracja San Triste, kilkudziesięciu jadących na wspaniałych koniach mężczyzn, świetnie uzbrojonych w rewolwery i karabiny, z błyskiem bohaterstwa w oczach. Przedstawiali się Małemu, rozumiejąc dobrze, że minionych dwanaście lat mogło wymazać ich nazwiska z jego pamięci. Na przodzie jechał stary Antoni Mendoza, który zaprzysiągł, że zanim kula dosięgnie ukochanego Vereala, będzie musiała wpierw przejść przez jego ciało; towarzyszył mu piękny syn Michał. Dalej jechali Cornejosowie, Hinojosowie, Cepadesowie, cała długa lista nazwisk, które Mały musiał dobrze zapamiętać przed nadejściem świtu.

W połowie drogi na szczyt wzgórza pochód zatrzymał się; należało omówić szczegółowo plan ataku.

- To zmije - mówił Jan Cepade, a jego mała, szpakowata bródka drżała z chęci do walki. - Trzeba, panie, zwrócić baczną uwagę na to, by nikt nie uszedł z życiem z pałacu Verealów. W przeciwnym razie będą mogli kasać nas w pięty.

- To prawda - dodał Lope Cornejos, a zęby jego błysnęły w sarkastycznym uśmiechu. - Dopóki będzie można prawo kupować i sprzedawać, dopóty Cabrillo będzie niesłychanie niebezpieczny dzięki zrabowanym pieniądzom, wyciśniętym z pańskich dóbr. Nie można pozwolić Cabrillovi na wszczynanie kroków prawnych. Opasz, panie, kołem pałac Verealów, tak jak się zarzuca pętlę na szyję zbrodniarza. Zaciśniemy koło i wydusimy z nich ducha.

Mały popatrzył na Halseya, ten zacny towarzysz potakiwał entuzjastycznie głową. Nie zadowolilo to jednak Jana Jonesa.

Namiętnie lubił się bić, ale tu zapowiadała się rzeź, a nie bitwa. Pozwolił jednak na wydanie odpowiednich rozkazów i wyjący, rozentuzjasmowany motłoch otoczył szerokim pasem wielki dom.

Przez cały ten czas pałac milczał. Z obu stron padło tylko kilka ślepo oddanych strzałów. Skoro zbity wał ludzi opasał już posiadłość, zamknęły się drzwi pułapki. Mały wydał rozkaz pozostania na miejscu, a sam w towarzystwie starego Antoniego Mendozy, który nie chciał go opuścić ani na krok, oraz młodego Hermandera Hinojosa, podjechał do bramy wjazdowej pałacu. Za nim tłoczyło się dwudziestu, gorąco protestujących jeźdźców.

- Zobaczą pana i jedną kulą wygrają sprawę - krzyczał Cornejos.

- Pan się myli - mówił Mały spokojnym tonem, choć w gruncie rzeczy nie czuł się wcale pewnie. - Oni wiedzą dobrze, że o ile mnie zabiją, nikt z nich nie ujdzie stąd żywy. Choć służą Cabrillovi, nie są jednak zupełnie pozbawieni rozumu.

Nie znaleźli odpowiedzi na ten argument, a tymczasem Mały podjechał do wielkiej bramy o potężnych kratkach.

- Proszę posłać po pana Cabrilla - rozkazał Mały - i oznajmić mu, że przyjechał Jose Vereal i chce się zobaczyć z drogim kuzynem.

Tłum roześmiał się cicho.

- Ja jestem Cabrilo - odparł zza krat bramy niski, nieprzyjemny głos. - To pan pretenduje do nazwiska Verealów?

- Ja jestem Jose Vereal - odparł z prostotą Mały.

- Diabeł jesteś, a nie Vereal! - ryknął tamten.

W tej chwili otworzyła się furtka w bramie i wypadło przez nią pół tuzina policjantów. Odziani byli pięknie: w kurtki ze złotymi szamerunkami i takimiż epoletami, w białe spodnie z taniutkiego perkalu, a nogi mieli owinięte w zwyczajne onuce. Biegli w kierunku Małego. Byli to ludzie odważni, uzbrojeni w krótkie, ciężkie szable i rewolwery i zdecydowani doprowadzić do końca powierzone sobie zadanie.

- Stój - krzyknął Mendoza trzymając strzelbę w pogotowiu. - Policja, stój!

- W imię prawa - darli się policjanci. - Odstąpcie.

Zatrzymali się jednak widząc kilkudziesięciu uzbrojonych jeźdźców, gotowych do obrony swego dowódcy.

- Nie bójcie się - mówił Mały. Zbliżcie się do mnie. Nic wam nie grozi.

Policjanci otoczyli go natychmiast, a Mendoza patrzył na niego zdumionym wzrokiem.

- Czego chcecie ode mnie, towarzysze? - spytał Mały.

- Panie, to szaleństwo! - krzyknął ktoś z tylnej straży.

- Nie lękam się niczego - odparł głosem pełnym godności Mały. - Prawo to mój sprzymierzeniec, a nie wróg.

Jego pewność siebie ochłodziła animusz policji i gdy powtórzył swoje pytanie, po co tu przyszli, jeden z nich wyjąkał, że doniesiono im, jakoby on nie jest prawdziwym Verealem, tylko oszustem.

- Osądźcie sami - mówił wesoło Mały. - Nie jesteście przybyszami, widzieliście Verealów. No to przypatrzcie mi się przyjaciele i powiedzcie, czy wyglądam na oszusta?

Gapili się na niego.

- Róbcie, co do was należy, idioci - ryczał z ukrycia Cabrillo.

- Powiedzcie mu, że nie jemu służycie, a prawu - odparł Mały. - Nie wątpię, że to Cabrillo świadczył przeciwko mnie; własne wasze oczy powiedziały wam, że kłamie.

Może policjanci od samego początku nie mieli wielkiej ochoty na tę robotę, dość, że po krótkim wahaniu przeszli na stronę Vereala.

- A teraz, panie Cabrillo, przychodzę do pana z pewnymi propozycjami - mówił Mały zbliżając się coraz bardziej do bramy. Przez dwanaście lat korzystał pan z mojej własności. I pan, i pańscy przyjaciele mieszkali tu. Teraz powróciłem i nie mam zamiaru wytaczać przeciwko panu żadnych pretensji. Co pan zabrał i wydał, to ofiarowuję panu z dobrej woli. Żądam tylko jednego: natychmiastowego zwrotu własności.

W furtce stanęła ogromna postać Cabrilla. Patrzył spode łba na przeciwnika. Ogarnęła go nieprzytomna wściekłość i choć starał się opanować, głos jego drżał i załamywał się jakby pod wpływem strachu.

- Przyjaciele, przyjaciele... - zagrzemiał Cabrillo. - Zacni panowie... Czyście poszaleli? Czy rzeczywiście uwierzyliście w kłamstwa tego oszusta?

- Jakim prawem zarzuca nam pan szaleństwo? - spytał Antoni Mendoza. - Niech pan nam dowiedzie, że on nie jest Verealem? Tylko o to prosimy.

- Chcecie dowodów? Dowodów? - zawył Cabrillo.

Krew ścięła się w żyłach Małego. Spojrzał w bok i zobaczył chłodny wzrok Halseya; trochę dalej stał Marmont: błądy, z zaciśniętymi zębami. Oni również zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa chwili. Jeśli oszustwo Małego zostanie rzeczywiście ujawnione, życie jego nie będzie warte złamanego szeląga w oczach tych na wszystko zdecydowanych ludzi. Bez śladu litości rozerwą go na strzępy.

- Proszę o dowód, panie Cabrillo - zdołał jednak wykrztusić Jan Jones.

Cabrillo był nieprzytomny ze złości, patrzył prosto w twarz Małego, wciągał ze świstem powietrze w płuca i prychał jak rozszłoszczony kot. Z ust wyrwał mu się potok obelg.

- Ty parszywy szcurze - ryczał - każę cię za to powiesić.

- Widzę, że mam do czynienia z grzeczną osobą - rzekł Mały do towarzyszy. - Nauczono mnie - zwrócił się znowu całą postacią do Cabrilla - że na takie słowa jest tylko jedna odpowiedź: ta, którą się daje znarowionemu koniowi.

Kary ogier posunął się kilka kroków i Mały z całej siły uderzył Cabrilla szpicrutą po twarzy. Ryk wstydu i wściekłości raczej niż bólu wyrwał się z ust grubasa. Wyciągnął z pochwy duży rewolwer. Na szczęście dla Manuela Cabrilla ruchy jego były powolniejsze od ruchów Małego. Ten ostatni z szybkością błyskawicy chwycił swoją szpicrutę za odwrotny koniec i w chwili gdy Cabrillo wyjmował z pochwy rewolwer, ciężką rączką uderzył go po ramieniu.

Uderzenie odjęło władzę dłoni i broń upadła na ziemię, a dwudziestu doskonałych strzelców opuściło lufy karabinów i zdjęło palce z cyngłów.

Cabrillo zdumiony i oszołomiony pocierał obolałe ramię i patrzył: to na leżący na ziemi rewolwer, to na uśmiechniętą twarz Małego.

Dobry humor Małego denerwował go bardziej niż widoczne dookoła lufy karabinów.

- Musimy dojść do jakiegoś porozumienia - mówił łagodnie Mały. - Niech mnie pan posłucha. Daję panu dziesięć minut na zabranie pańskich papierów i gotówki. Po upływie tego czasu moi przyjaciele z San Triste wejdą do tego domu i nie mogę już wówczas odpowiadać za niczyje bezpieczeństwo.

- Jeśli odejdziemy, jaką mamy gwarancję, że nie zostaniemy wymordowani? - spytał ponuro Cabrillo.

- Jaką gwarancję? - odparł natychmiast Mały. - Honor dżentelmena i słowo Vereala.

Mówiąc to, raz jeszcze uśmiechnął się do Cabrilla. Widział, że twarz tamtego stała się purpurowa i nabrzmiała wściekłością, ale nawet Cabrillo nie był pozbawiony pewnej przezorności. Zawrócił na pięcie i oddalił się w stronę domu.

Małego spotkały burzliwe protesty przyjaciół.

- Jeśli Cabrillo będzie żył, będzie stanowił wieczne niebezpieczeństwo dla pana - mówił Hinojoso. - A co do innych mieszkańców pałacu...

Mały podniósł rękę. Przypomniał sobie cierpliwie szeptane mu do ucha opowiadanie Józefa Simona o Verealach.

- Uciszcie się panowie - odezwał się. - Pomiędzy zwolennikami Cabrilla jest z pewnością dużo łotrów i opryszków, ale może się znaleźć między nimi i kilku zacnych obywateli San Triste. Nie mogę ryzykować życia nawet jednego z moich dzieci, choćbyśmy się mieli za tę cenę pozbyć setki nieprzyjaciół.

XIII - Król

Najśłodsze i najbardziej miękkie tony można wydobyć tylko z jednego instrumentu: z głosu ludzkiego; nic jednak nie mogło dorównać delikatności dźwięków wdzierających się poprzez opary tłumu do świadomości Jana Jonesa. Były one częścią składową sennego marzenia, brzmiały jak szum niewidocznego oceanu; łagodnie, bez wysiłku doprowadzały go do progu świadomości. Otworzył oczy, a czyjś głos powtarzał od dawna i cierpliwie dwa słowa:

- Don Vereal! Don Vereal!

W nogach jego łoża stał Emil Fleuriet. Kamerdyner uważał, że o tak wczesnej godzinie nie należy raczej być widzianym. Mały milczał. Leniwym ruchem oparł się na łokciu: natychmiast podłożono mu pod plecy i ramiona odpowiednich rozmiarów poduszkę, a na ręce wciągnięto rękawy cieniutkiego, zielonego, przetykanego złotem jedwabnego, chińskiego szlafroka, delikatnego jak pajęczyna, a kosztownego jak olejny obraz starych mistrzów.

Emil Fleuriet trzymał w kościstych palcach tacę, na której dymiła filiżanka czekolady. Broń Boże nie za gorąca ani za zimna, tylko akurat taka, jaki powinien być napój podawany wczesnym rankiem, mający za zadanie ogrzać nas w przyjemny sposób i otrząsnąć ze snu. Mały brał powolnym ruchem filiżankę z tacy, wypijał spory łyk czekolady i zamykał oczy czując, jak przenika go całego rozkoszne ciepło. Myśl jego była aż nadto obudzona i czujna jak węch głodnego, gotowego do mordu wilka, opuszczającego kryjówkę po trzydniowym poście, ale Emil Fleuriet nie powinien się o tym dowiedzieć. Służył już trzeciemu pokoleniu w tej rodzinie i będąc w ciągu siedemdziesięciu lat osobistym służącym dwóch Verealów, musiał prawdopodobnie wiedzieć, w jaki sposób ci ludzie żyli i lubili żyć. Od tygodnia już obserwował Mały, uważnie i ostrożnie, Emila. Intuicyjnie wyczuwał, czego się po nim spodziewano. Jemu, człowiekowi zdrowemu na ciele i umyśle, wystarczyło sześć godzin snu, ale to było niestety nie do przeprowadzenia. Verealowie lubili długo sypiać. Dlatego Mały musiał codziennie o dziesiątej wieczór udawać się na spoczynek. Zasypiał i spał do północy. Budził się, gdy zegar bił dwunastą, wyslizgiwał się z domu bezszelestnie jak kot i szedł, dokąd go oczy poniosły. O trzeciej wracał do łóżka, o siódmej budzono go. Ten program ustalił się już. Nie mógł jednak nie chodzić spać o dziesiątej, bo to zgorszyłoby Emila, a tego musiał unikać.

Podświadomie odczuwał, że stary służący żywi wobec niego jakieś podejrzenia. Tego ranka patrzył ostrożnie spod przymkniętych powiek na profil starego człowieka. Była to surowa twarz. Czas zniszczył mięśnie i ułożył skórę w głębokie bruzdy. Dół twarzy i oczy pod zmarszczonymi, krzaczastymi, siwymi brwiami tonęły w cieniu, jasną plamą odcinały się kości policzkowe. Oczy Fleurietu zaciekawiały zawsze Małego, choć kryły się tak głęboko w

oczodołach, że trudno im się było przyjrzeć z bliska. Małemu zdawało się zawsze, że to najsmutniejsze, najbardziej zmęczone oczy jakie kiedykolwiek widział, były one niezwykle myślące, tak jak myślące było wysokie, szerokie czoło Fleurieta. Mały czuł, że ten służący, trzymający przed nim tacę z czekoladą, to filozof.

Z chwilą gdy rozeszła się wiadomość, że Vereal powrócił do San Triste, cała stara służba, a raczej wszyscy ci, co jeszcze byli przy życiu, powrócili na dawne miejsca. Emil na przykład zostawił swoje gospodarstwo w dolinie Rodanu, rodzinę, wnuki, konie, psy i białe ścieżki wijące się wśród ulubionych wzgórz. Bez chwili namysłu opuścił wszystko, choć smutno mu było rozstawać się z tym i wrócił do syna zmarłego pana. Według istniejącej w San Triste legendy Verealowie nie umierali, ale jak królowie, z chwilą zejścia do grobu, oddawali następcy wszystko co do nich należało. W pałacu nie oddalano służby, z biegiem czasu przechodziła na emeryturę.

Pierwszy powrócił zgarbiony, siwy marszałek dworu Vasco Corteno. Rozplakał się na widok młodego pana, a potem zaczął obchodzić pałac i grunty należące do Verealów, nie przestając przeklinać rodziny Cabrillów aż do dziesiątego pokolenia za zmiany, które porobili w starym porządku rzeczy. Z chwilą powrotu Cortena znikły wszelkie innowacje. Za jego sprawą wszystko znów działało się tak jak za dawnych dobrych czasów. Na miejsca, które zajmowała stara służba, zatrudnił nową. W tych sprawach nikt się nie pytał Vereala, czego sobie życzy. To, co zdecydował Corteno dla niego i dla jego domu, uważane było za święte. Nie mógł kazać zasadzić nowej rabaty kwiatów w ogrodzie, nie przeprowadziwszy przed tym poważnej i rzeczowej dyskusji z marszałkiem dworu. Krótko mówiąc, jeżeli Jones królował w San Triste, to w każdym razie był odpowiedzialny - w najściślejszym znaczeniu tego słowa - wobec swoich ministrów, którzy zezwalali mu tylko na bardzo ograniczoną swobodę działania. Nie mógł sobie obstalować posiłków, bo wytłumaczono mu delikatnie, że Vereal nie powinien się zniżać do takich drobnostek. Nie mógł jeździć konno na swoim karym ogierze, bo poinformowano go, że Vereal nie dosiadał jednego i tego samego konia dłużej niż przez tydzień. A przede wszystkim nie mógł się ubierać w co chciał, bo temu codziennemu obrządkowi gust i wolę narzucał Emil Fleuriert.

Cabrillo znikł. Nie wniósł do sądu spodziewanej skargi. Mały dzierżył dotąd bez niczyjego sprzeciwu to, co zdobył siłą.

Na naradzie z Halseyem i Dennyem doszli do wniosku, że Cabrillo został jednak przekonany, pomimo wątpliwości, jakie miał, o powrocie prawdziwego dziedzica. W innej i ważniejszej sprawie dostali odpowiednie dyrektywy od Józefa Simona. Kiedy szyfrowany telegram doniósł Simonowi o zwycięskiej wyprawie, odpowiedział natychmiast, że nie należy działać pośpiesznie i że zanim Mały nie ugruntuje należycie swego autorytetu, nie powinni nawet zaglądać do skarbcza. Całe przedsięwzięcie osiągnie jeszcze większe rozmiary niż pierwotnie przypuszczano.

Może Mały nie tylko wywiezie skarb z pałacu Verealów, ale jeszcze pozostanie dozgonnym właścicielem wszystkich dóbr. Trzeba się wstrzymać z jakąkolwiek akcją. Józef Simon miał zamiar przyjechać osobiście do San Triste i objąć dowództwo. Sądził, że mieszkańcy miasta zdążyli przez dwanaście lat zapomnieć o swej nienawiści do niego.

- Jeśli ten wariat tu się zjawi, wszystko przepadnie - mówił Marmont poinformowany o tych nowinach.

Pomimo to zastosowali się ściśle do jego rozkazów. Zdecydowali stopniowo zacieśnić zażyłość pomiędzy sobą. Rozeszła się wieść po mieście, że uprzejmości, które wyświadczył Vereal tym "przybłędom", zawdzięczali oddaniu, z jakim poparli jego stanowisko w dniu powrotu do San Triste. Stopniowo Marmont, Denny i Halsey zaczęli coraz częściej przychodzić do pałacu, dotychczas nie mieszkali w nim. Pobyt ich w tych stronach tłumaczono jakimiś udziałami w przedsiębiorstwach handlu oliwą i długimi staraniami w kierunku odpowiedniego ulokowania tych udziałów. Tak stały sprawy owego ranka, kiedy to Mały przypatrywał się przez spuszczone rzęsy surowej twarzy służącego i rozmyślał: do jakiego stopnia Emil Fleuriet uznaje go za swego pana? Od tygodnia starał się zgadnąć, co myślał w głębi duszy ten stary sługa i od tygodnia nie udawało mu się tego dociec.

- Postaw tacę - powiedział do Emila - skończywszy pić czekoladę. - Nie potrzebujesz stać i trzymać jej. Stół wystarczy.

Na twarzy Fleurieta ukazały się ciemne plamy rumieńców.

- Prawda, panie, że nie jestem młody - odparł - ale dzięki Bogu wystarczy mi jeszcze sił do trzymania tacy.

Takie już miał zasady. Postępował ściśle według przepisów ustalonych pół wieku temu i najmniejszą zmianę uważał za osobistą obelgę.

Tymczasem w łazience słychać już było tupot nóg i plusk nalewanej wody. Pałac Verealów pogardzał nowoczesnymi udogodnieniami i bieżącą wodą. Co rano grzano na ogniu wodę na kąpiel dla pana i wnoszono ją do łazienki konwiami.

Wypiwszy czekoladę Mały usiadł. Fleuriet natychmiast postawił tacę na stół, ukląkł na jedno kolano i włożył pantofle na zwisające z boku olbrzymiego łoża nogi Małego. Łoże to było raczej wyczynem sztuki architektonicznej niż meblem. W czterech jego rogach stały cztery kolumny podtrzymujące sklepienie baldachimu, od którego zwisały ciężkie draperie z drogiego brokatu. Wieczorem chcąc wdrapać się nań, trzeba było wejść na wysoki stołek, a rano schodziło się z niego przy pomocy Fleurieta.

Mały wstawszy w ten sposób z łożka, otulił się w szlafrok i wolnym krokiem skierował się do łazienki; nogi jego tonęły w jedwabistej puszystości dywanu. W innej, mniej wspaniałej

rezydencji, łazienka ta mogła śmiało służyć jako sala jadalna: taka była olbrzymia. Wanna miała dziesięć stóp długości i pięć szerokości, zrobiona z białych marmurowych płyt i umieszczona poniżej poziomu posadzki. Obok stała niska marmurowa ława okryta grubymi kocami, na której kąpiący się mógł usiąść i wycierać się. O ile rano było chłodny, na kominku paliły się wesołym płomieniem potężne kłody drewna.

Mały przypatrywał się temu wszystkiemu z widoczną przyjemnością, po czym ziewnął, rzucił z siebie szlafrok i nocne ubranie, przeciągnął się i napiął jak łuk swoje młode, wysmukłe ciało, wreszcie wszedł do ciepłej wody, wyglądającej w obramowaniu wanny jak błękitna mgiełka. Wytarłszy się, przeszedł do ubieralni, gdzie czekał na niego Fleuriet i przygotowane do włożenia ubranie. Nie miał wyboru. Musiał nakładać to, co chciał Fleuriet. Tego ranka nałożył granatową marynarkę, miękką koszulę, granatowy krawat o delikatnym purpurowym odcieniu, jedwabne czarne skarpetki i półbuty na niskich korkach.

Przeszedł do pokoju, w którym podawano mu pierwsze śniadanie. Następne posiłki miały charakter reprezentacyjny, zasiadał do nich w towarzystwie co najmniej tuzina miejscowych notablów i innych ważnych osób znajdujących się przypadkiem w mieście. Gości tych zapraszał rzadko osobiście.

Zaproszenia były układane i wysyłane przez marszałka Vasco Cortena, który wypisywał je na kartonikach: "Jose Vereal ma zaszczyt prosić takiego a takiego pana na obiad lub śniadanie". Takie zaproszenia mogły być wręczane nawet cudzoziemcom przyjeżdżającym do San Triste, byleby zajmowali odpowiednie stanowisko w hierarchii społecznej; brzmiały one jak wezwanie na królewski dwór, nie odmawiało się im nigdy.

Pokój do śniadań składał się niemal z samych okien wychodzących na niewielki ogródek pełen róż, otoczony niskim murem, po którym widać było kwitnące pnącza. Stół był nakryty na dwie osoby, choć zasiadała przy nim tylko jedna. Nawet jeżeli w pałacu byli goście, Vereal jadł śniadanie sam; uważano jednak za stosowne nakrywać dla dwóch osób. Zwyczaj ten trwał już od przeszło wieku. Podczas śniadania zaczynały się codzienne obowiązki. Przy stole stał już żwawy i młody sekretarz Ferdynand Moya - nie można go było prosić, by usiadł - i wyłuszczał wiadomości o zdarzeniach natury politycznej, które przynosiły ostatnie pisma z miasta Meksyku.

Vereal bowiem nie powinien narażać się na wstrząs przeczytania rano gazety, a ponieważ do jego obowiązków należało orientowanie się w subtelnościach miejscowej polityki, przetrawiał je dla niego czyjś zdolny umysł i podawał w jasnej, przystępnej formie. Mały wysłuchiwał tego raportu z wielką powagą. Po skończonym śniadaniu wchodził marszałek i kłaniał się nisko w drzwiach, po czym odczytywał listę petentów, którzy pragnęli przedstawić swoje prośby panu domu.

Więc najpierw rzeźnik Puerillo, zrujnowany przez rozliczne zobowiązania, którym nie może sprostać. Kilkaset pesos zbawi tego człowieka i umożliwi mu prowadzenie sklepu na przyzwoitej stopie. Mały rozkazał je wypłacić. Następnie Moreno, drobny dzierżawca przymierający niemal głodem, błagał o pomoc aż do przyszłych zbiorów; Vasco nie popierał tej prośby.

- To łotr. Jeśli mu dziś pomożemy, będziemy musieli pomagać i nadal. Nie odczepimy się już od niego.

- Czy ma rodzinę? - spytał Mały.

- Żonę i siedmioro dzieci.

- Trzeba się zaopiekować żoną i dziećmi i pilnie uważać, żeby ani grosz nie trafił do rąk Morena.

- Odradzam, źle na tym wyjdziemy.

- Taka jest moja wola.

- Odradzam.

- Proszę się zastosować do moich życzeń - odparł chłodno Mały, a Vasco Coreno, purpurowy ze złości, musiał, zaciskając zęby, zrobić odpowiednią notatkę.

Po czym czytał dalej listę. Z kilkunastu mężczyzn i kobiet, którzy zwrócili się tego ranka o pomoc do Vereala, tylko trzy odesłano z niczym.

- Jest jeszcze ktoś - mówił marszałek kończąc swoje czytanie.

- Któż to taki?

- Cabrillo przyjechał tu przed świtem, nie chcąc, by zauważono go w mieście. Czeką teraz na pana w pokoiku obok biblioteki.

XIV - Duch don Pedra

Kiedy Jan Jones, czyli Mały, czyli Jose Vereal usłyszał tę nowinę, wstrząsnął nim dreszcz na myśl, co przyszłość przyniesie. Ten powrót Cabrilla mógł być zwiastunem bardzo nieprzyjemnych rzeczy.

Jones bardzo pragnął zobaczyć Cabrilla i dowiedzieć się, co go sprowadza do pałacu Verealów, musiał jednak natychmiast załatwić pewną sprawę, która mu nie dawała spokoju.

- Proszę powiedzieć panu Cabrillovi, że zobaczę się z nim po powrocie z San Triste. Muszę teraz odwiedzić pana Alverado.

Choć Vasco Corteno był z pewnością człowiekiem litościwym, zapaliły mu się złośliwe błyski w oczach na myśl, że będzie miał przyjemność zakomunikowania lekceważącej odpowiedzi dawnemu panu tego domu. Ukłonił się więc podwójnie nisko i wyszedł z pokoju.

Skończywszy w ten sposób poranne zajęcia, Mały oddał się znów w ręce Fleurietta i wyszedł z nich ubrany do konnej jazdy. Skierował się ku stajniom. Stajnie były olbrzymie i wspaniałe, tworzyły blok budynków nieomal tak imponujących jak sam pałac; stadnina Verealów została założona przed trzydziestoma laty, dzięki fachowym znajomościom i rozrzutności don Diego, który był świeżo powrócił z terenów wyścigowych we Francji i Anglii. Od tego czasu konie pełnej krwi z Verealowskiej stadniny odnosiły zwycięstwa na niejednym torze i nawet Cabrillo nie śmiał skasować kosztownych stajen. Stadnina ta była największą dumą San Triste i wszyscy zaprotestowaliby z wściekłością przeciw wszelkim innowacjom w tej dziedzinie. Nawet kierownik stadniny nie został zmieniony przez Cabrilla. Był nim Anglik, za młodu dżokej, następnie trener wyścigowy, a obecnie bezkonkurencyjny hodowca.

Za czasów dżokejstwa nazywano go "Czerwonym Tomem", teraz nosił z godnością tytuł pana Tomasza Lewena. Zgasła czerwień jego włosów i zamieniła się w kolor popiołu. Z biegiem lat ubywało mu jeszcze na wadze. Był to mały, chudy człowieczek, ruchliwy jak świerszcz, głos miał ostry i żałosny, głos ten stawał się uprzejmy tylko w rozmowie z końmi, wówczas potrafił być dziwnie miły i łagodny.

- Chcę jechać na karym koniu - rozkazał Mały Tomaszowi Lewenowi.

- Pan jeździł już na nim pięć dni temu - odparł nieprzyjemnym tonem Lewen.

- To była tylko malutka przejażdżka - nalegał Mały. - Pierre mógłby się śmiało przebiec pięćdziesiąt mil dziennie.

- Za dużo kurzu - zaprotestował Lewen tonem znużonym i jednocześnie bezapelacyjnie stanowczym. - Za dziesięć minut jechałby pan na białym koniu, zamiast na czarnym.

- No to wezmę kasztana.

- Jakiego kasztana?

- Ogiera El Rojo.

- Nie chce jeść od kilku dni.

- To karą klacz.

- Nie może chodzić - odparł ponuro Tomasz Lewen. - Ostatni raz, jak pan na niej jechał, nałykała się za dużo wiatru.

- Dajcie mi wobec tego coś innego - odparł zniecierpliwiony Mały. - Nie mam już specjalnych życzeń.

Lewen wydał odpowiednie rozkazy: wyprowadzono natychmiast już osiodłanego, wspaniałego muskularnego wałacha. Wdychał drżącymi nozdrzami wiatr, grzywa mu się rozwiewała, miał minę buldoga, który wie, że stoi przed sędzią.

- Niech będzie i ten. - Mały jednym susem znalazł się na koniu.

- Powoli - warknął Lewen, jak gdyby zwracał się do chłopca stajennego, a nie do pana. - Ten koń to nie zabawka, którą można popychać; to istny diabeł. I broń Boże żadnych ostróg! Obejdzie się bez nich.

To mówiąc położył rękę na szyi pięknego gniadosza. Wałach uspokoił się natychmiast.

- Z drogi - krzyknął Mały, czując, że koń drży pod nim i że zanosi się na zaciętą walkę. - Ja i koń musimy się wzajemnie poznać. Lubię używać ostróg.

Dotknął nimi konia: gniady wyleciał w powietrze jak raca. Może w żyłach jego płynęła kropla krwi "broncho"? Może widział występy mustangów? W każdym razie Cesarz, bo tak się nazywał, przez kilka minut wściekał się jak zły kot, kręcił w kółko i wił jak owad, parskał i szalał. Pół tuzina chłopców stajennych stało w pogotowiu, by na skinienie biec na pomoc i schwycić oszalałego konia za uzdę, ale Tomasz Lewen wstrzymał ich.

- Z Verealami to tak zawsze - mówił ponurym głosem. - Dopiero się wtedy czegoś nauczą, jak połamią sobie kości. Ten zrobi to samo. Hola! Hola!

Okrzyk ten wyrwał się z ust Lewena na widok Cesarza, który dawszy ostatniego, ogromnego szczupaka, spokojnie dotknął kopytami ziemi, otrząsnął się cały jak pies wyłazący z wody i oddalił umiarkowanym galopem. Drogę zagradzała niska furtka. Zanim zdążono ją otworzyć, Mały dotknął ostrogami konia, wałach przeskoczył furtkę i obaj znikli na drodze wiodącej do San Triste. Słyszał tylko echo kopyt końskich, uderzających o kamienie.

- To nie wygląda na połamanie kości - zawołał któryś z chłopców stajennych.

Tomasz Lewen gapił się wciąż jeszcze za nimi, choć zwykle nie dziwił się zbytnio niczemu. Zapomniał mówić po hiszpańsku i mruczał w ojczystym języku.

- Niemożliwe. Cesarz to paskudne bydlę, a ten chłopak chyba nie mógł... A jednak zrobił to. Pierwszy jeździec urodził się w rodzinie Verealów.

Mały nie myślał o zdziwieniu, które wywołał. Cieszył go wiejący w twarz wiatr. Gnał w takim tempie, że koń przy wjeździe do miasta okryty był pianą. Choć przeleciał szybko przez ulice San Triste, mieszkańcy zdążyli dojrzeć jego elegancką postać i uśmiechali się z zadowoleniem na jej widok. Gruby sklepikarz wybiegł ze straganu, gapił się i uśmiechał, jakiś przechodzień zdjął kapelusz i długo nim powiewał, dziewczyna posłała jeźdźcowi całusa. Ulicami San Triste pędziła radosna wieść. Stare miasto budziło się pod łagodnymi promieniami porannego słońca: Vereal był między nimi, należało więc wstać i zabrać się do roboty.

Pod szerokim sklepieniem bramy wiodącej do domu Alverada zadudniły kopyta gniadego wałacha. Jeździec zeskoczył z konia, rzucił lejce służącemu, roześmiał się widząc, z jakim nadludzkim wysiłkiem stara się utrzymać narowistego konia i wszedł do domu.

Zaprowadzono go od razu do Alverada, który siedział w bibliotece i palił cygaro. Fryderyk Alverado był kimś w rodzaju uczonego i surowa jego twarz nabierała jedynie wówczas wyrazu miękkości, gdy trzymał w ręku otwartą książkę. Poczęstował pana Vereala cygarem, ale Mały zapalił papierosa, rzucił zapałkę do popielniczki i natychmiast przystąpił do wyjaśnienia celu swojej wizyty.

- Prosiłem pana na obiad do pałacu Verealów. Pan nie przyszedł. Proszę mi powiedzieć: dlaczego?

Choć Alverado domyślał się przyczyny, dla której przybył tu ten nowy Vereal, nie spodziewał się jednak takiego i w takiej formie zadanego pytania. Był zaskoczony, stracił na chwilę zwykłą pewność siebie.

- Obawiałem się, że nie wszyscy się tam ucieszą.

- Dlatego, że się pan nie przyłączył do nas tej nocy, kiedy tu przyjechałem? To przecież bagatelka. Szanuję ludzi, którzy postępują z namysłem. W pańskich oczach mogłem być po prostu awanturnikiem.

Roześmiał się.

Alverado milczał.

- A ja szukałem innych przyczyn, które tłumaczyłyby pańską, wobec mnie, oziębłość. I zdaje mi się, że trafiłem na nie. Stare przysłowie mówi: Źródłem wszelkiego zła jest pieniądz. Znalazłem kwit na jakieś pieniądze, które Cabrillo pożyczył panu z Verealowskich funduszków.

Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Alverado rozejrzał się po pokoju przerażonym wzrokiem. Nic nie mogło go uratować od uniknionej klęski. Gdzieś w głębi domu otworzono drzwi, świeży, dziewczęcy głos zanucił piosenkę.

- To prawda. Dług istnieje - odparł wreszcie, zwracając się w stronę gościa.

- Myli się pan. Nie ma żadnego długu. Rzucimy to do ognia.

Mały podał papier i wrzucił go do kominka. Z całego kwitu został tylko biały rozek papieru.

Alverado zagryzł wargi.

- Istnienie czy zniknięcie kawałka papieru nie zmniejsza długu ani o grosz - powiedział surowo.

- Myli się pan, myli - odparł prędko Mały. - Verealowie nie pamiętają takich rzeczy, chyba że im o nich przypominają kwity. Dług przestał istnieć. W San Triste nie ma wiele nazwisk, które mogą się równać nazwisku Alveradów. Pan jest w kłopotliwym położeniu. Proszę nie zaprzeczać. Powiedział mi o tym Ferdynand Moya. Ten młodzieniec, to wcielony diabeł: wie wszystko to, co ludzie starają się przed nim ukryć. Mówił mi, że pan ma jeszcze inne długi. Biedny z pana człowiek! Ale to wszystko nie jest aktualne. Do San Triste powrócił Vereal, a jego majątek jest zarazem majątkiem jego przyjaciół.

Alverado zagryzł usta do krwi. Pod wpływem dumy, wstydu, strapienia, wątpliwości, bladł i czerwieniał na przemian.

- Dlaczego pan chce to zrobić dla mnie? - powiedział wreszcie, nie odrywając wzroku od podłogi.

- Gdyby słuchały nas czyjeś uszy, nie mógłbym mówić w ten sposób do pana - odparł Mały. - Ale nie ma tu nikogo i nie potrzebuję się liczyć z moją dumą. Zwracam się więc do pana z całą szczerością. Był pan najbliższym, najszczerzym przyjacielem mojego ojca, niech pan będzie i moim.

Mały widział, jak na wyniosłe czoło Meksykanina wystąpiły krople potu. Dojrzał, że wąska, spoczywająca na stole dłoń Alverada drży. W końcu dumny pan podniósł wzrok i popatrzył mu prosto w oczy.

- Muszę się panu przyznać, że do tej chwili wątpiłem we wszystko - powiedział. - Ale teraz wiem: Vereal powrócił do San Triste!

Uroczyście uścisnęli dłonie.

- Jeśli duch mego ojca patrzy na nas, musi się cieszyć z tej chwili - mówił Mały z zapalem.

- Młodzieńcze - odparł Alverado, a głos mu drżał ze wzruszenia - duch pańskiego zacnego ojca, a mego przyjaciela, stoi przede mną, wcielony w syna.

Po czym przeprosił gościa i wyszedł z pokoju. Powrócił natychmiast, prowadząc za rękę żonę. Sprytnego Jana Jonesa ogarnęło podejrzenie, że ta pani przysłuchiwała się w sąsiednim pokoju całej rozmowie.

- Moja droga, przestałem wątpić - mówił Alverado. - Duch jego jest zbyt podobny! Bóg widzi z jaką radością przedstawiam ci Josego Vereala.

Jan Jones nie bardzo słuchał odpowiedzi zacnej matrony; serce mu biło z radości, a w uszach brzmiały ciągle te same słowa.

- Mam ich w ręku. Teraz trzeba się zabrać do najważniejszego - myślał.

XV - Panna Alicja

- Może po powrocie do siebie potrzebuje pan jakiejś kobiecej ręki do zorganizowania gospodarstwa domowego? - mówiła Małgorzata Alverado. - Niech pan pamięta, że jestem zawsze do pańskich usług.

- Pani jest zbyt łaskawa dla mnie - odparł. - Zastanawiamy się teraz nad założeniem nowego ogrodu.

- W kwestiach ogrodniczych jestem tylko amatorką. Ale moja córka Alicja...

Serce Jana Jonesa zaśpiewało głośny hymn radości; jak mogli obecni go nie usłyszeć?

- Wobec tego pragnąłbym się z nią zobaczyć.

- Kiedy pan tylko zechce.

Wiatr przyniósł skądś zielonego kanarka - usiadł na ramie otwartego okna i zakołysał się leciutko.

- Czy może być miłszy temat rozmowy niż kwiaty, w tak cudowny ranek? Więc będę miał zaszczyt mówienia z panną Alicją?

Małżonkowie wymienili błyskawicznie spojrzenia. Niech sobie myślą, co chcą! Choćby przypisywali temu zdarzeniu jak najgłębsze znaczenie, sprawią mu tym tylko przyjemność.

Alicji należało szukać o tej godzinie w ogrodzie. Alverado przyznał się, że nie lubi kwiatów i przeprosił grzecznie gościa. Pozwolono mu wrócić do książek.

- Alicja jest zwyczajną, prostą dziewczynką - tłumaczyła Jonesowi pani Alverado. - W zgiełku dzisiejszego życia mało komu się będzie podobała. Otacza ją jeszcze atmosfera klasztornej skupienia.

Jones milczał. Nie był w stanie wymówić ani słowa. Widział oczami duszy tylko jedno: dumne i piękne zjawisko, które stanęło między ojcem a rozbestwionym tłumem. Czekąca go niespodzianka. Zobaczył dziewczynę stojącą w kącie ogrodu pośród grząd liliowych i niebieskich, wiatr okręcał wkoło jej wysmukłej postaci żółtą organdynową sukienkę w falbanki i odwijał brzeg dużego kapelusza, rzucający cień na jej twarzyczkę. Teraz szła ku nim uśmiechnięta, niosąc w jednej ręce niewielką motykę i przytrzymując drugą brzeg sukni; bała się zawadzić o jakąś wątłą łodygę kwiatu.

Nie była to już zdumiewająca, królewska wizja, która zjawiała się przed nim wówczas. Zdawała się żywcem wyjęta z jakiegoś obrazu, pełnego wiejskiej ciszy i samotności. Wydała mu się zaledwie ładna; lecz gdy stanęła blisko niego, poczuł, że płynie od niej jakiś bajkowy czar i bierze go w swe posiadanie.

- Alicjo, to don Jose Vereal - mówiła matka bardzo pompatycznie. - Rozmawiał przed chwilą z twoim ojcem, a teraz przyprowadziłam go tu, by mógł z tobą pomówić o kwiatach. Ma bowiem zamiar urządzić sobie nowy ogród.

Widok nieznanego starł uśmiech z warg Alicji, stała nieruchomo i patrzyła na Małego jakby w głąb niego, w tajemniczy i krępujący sposób, właściwy starym kobietom i bardzo młodym dziewczętom. Z chwilą gdy matka przestała mówić, uśmiech powrócił jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na policzku ukazał się dołeczek i ogromne oczy spojrzały z wielką prostotą.

Jones utonął w niej całkowicie, zagubił siebie bez reszty i cieszył się z tego. Kochał ją. Jak rozkosznie było pomyśleć, że nie przestanie nigdy jej kochać.

- Więc bajka okazała się prawdą - powiedziała - i pan jest Verealem.

- Pan chce mówić z tobą o kwiatach - przerwała jej ostrym tonem matka, jak gdyby przywołując ją do porządku. Obrzuciła przy tym Alicję znaczącym spojrzeniem.

- Twoja dola leży w twoich rękach - mówiły oczy matczyne. - Pokieruj nią dobrze.

I pani Alverado sprytnie wynalazła coś niezwykle interesującego w najodleglejszym kącie ogrodu i w mgnieniu oka znikła za różowo kwitnącymi krzakami pigw.

- Pod murem, w cieniu, jest ławka. Może byśmy tam usiedli? - zaproponowała Alicja.

Delikatnie, uważnie poprowadził ją do tej ławki. Obszedł z nią wkoło sadzawkę, do której wpadała woda z fontanny. Minęli długie, świeże rabaty błękitnych ostróżek i jaskrawe plamy purpurowych i różowych petunii. Wreszcie siedli na ławce, nad którą wieżokrzew rozpinał jasny baldachim kwiatów. Powietrze przesycone było odurzającym zapachem, nawet wiatr nie mógł rozproszyć mocnej woni. W pamięci Jonesa ten zapach został na całe życie, nierozdzielnie związany z postacią Alicji. Zappełniła sobą całe jego serce, aż do bólu.

- Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, jak duży ma być ten ogród?

- O taki... widzi pani? - narysował kształt ogrodu palcem na piasku. - Będzie miał sto stóp długości i więcej niż połowę tego szerokości.

- Można będzie tam pomieścić cały świat kwiatów.

- Ale co ma rosnąć w tym świecie? Niech mi pani powie. Mam papier i ołówek.

- Doprawdy sama nie wiem.

Oparła brodę o brunatną piąstkę i zadumała się. Srebrzyste kropelki fontanny szemrały cicho, a dziewczyna patrzyła na nie oczami pełnymi wewnętrznej wizji.

- Naturalnie pod murem zasadzi się ślaza. Bo będzie porządny mur, prawda?

- Oczywiście.

- Kamienny?

- Och, nie.
- Z cegły? Ze zwyczajnej czerwonej cegły? To najlepsze tło dla zieleni roślin.
- Stanie czerwony ceglany mur, a pod nim będą rosły ślazy.
- Na mur puścimy wino, żeby go częściowo zakryć.
- Ale jakie?
- Zwyczajne, dzikie? Czy może lepiej bluszcz? Ale bluszcz jest taki silny, wszystko inne zadusi. To prawdziwy zbój. Pod murem ślazy, koniecznie różowe.

- Koniecznie.
- Czy będzie wodotrysk?
- Oczywiście.
- Widziałam w górach skały zielone jak jaspis...
- Poślę po nie, niech pani będzie spokojna.
- Co za cudny ogród będzie pan miał!

Spojrzała na niego oczami pełnymi podziwu. Jan Jones zachłysnął się wonnym powietrzem.

- Nigdy nie widziałam mężczyzny, który by się tak interesował kwiatami!

Tuż przy nich na gałązce wieżokrzewu siadł zielony kanarek, którego przygnał wiatr, rozpostarł skrzydełka i zaświergotał.

- Cicho - szepnęła dziewczyna. - Niech pan patrzy, jaki on jest śmiały.

- Ten ptak przynosi mi szczęście - powiedział Jones. Raptem strzeliło mu do głowy, że to może ten sam wędrowiec, który niedawno temu siedział w domu na ramie okiennej.

Nie słuchała go. Z zapartym tchem i błyszczącymi oczami, pomalutku wyciągnęła rękę w stronę ptaszka; ptaszek przekręcił główkę na bok, popatrzył na nią podejrzliwie, ale nie odleciał. Przez ten czas mógł Jan Jones napawać się do woli pięknnością Alicji. Wszystko w niej było dla niego nowością.

Widzieć ją z daleka, to było nic w porównaniu z rozkoszą siedzenia koło niej, patzenie, jak pulsuje jej szyja, jak faluje pierś... Jak okrągłe i drobne jest jej ramię! Wieżokrzew roztaczał wokół nich niewyczerpane bogactwo woni bijącej do głowy jak wino.

Trzymając wciąż dłoń wyciągniętą w stronę kanarka, Alicja zwróciła się ku towarzyszowi.

- Ile to jeszcze rozmaitych roślin można zasadzić! Naturalnie muszą być duże żółte żonkile. I hiacynty, i astry, i fiołki. A czyż może być ogród bez gladiolusów? Będą też bratki i słodkie alissum i aksamitne petunie... Ależ panie... Pan nie zapisał ani jednego słowa.

Popatrzył zażenowany na biały kawałek papieru.

- Zapisałem sobie wszystko w pamięci.

- Będzie pan naprawdę wszystko pamiętał?

- Przysięgam pani...

Podniosła paluszek jak gdyby chcąc go przestrzec i uśmiechnęła się.

- No to jaki kwiat mieliśmy posadzić pod murem?

Zagryzł usta.

- Hiacynty? - szepnął z błyskiem nadziei w oczach.

Roześmiała się i Jones nie wiedział, czy przyjemniej było patrzeć na ten śmiech czy słyszeć jego dźwięk.

- Dlaczego pan tu przyszedł? Jestem pewna, że nie po to, by słuchać mojej gadaniny o kwiatach?

- Gniewa się pani?

- Któż w San Triste może się gniewać na Vereala?

- A teraz pani kpi ze mnie.

- Nie.

Uwierzył jej.

- A gdybym powiedział, że przyszedłem tu jedynie po to, by usłyszeć, jak pani rozmawia o kwiatach... lub o czymkolwiek innym?

Widział, jak twarz jej zalała fala krwi; cofnęła się trochę.

- Proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był tego mówić!

- Czy to coś złego? - spytała spokojnie. - Ja myślę, że to, co pan powiedział, było bardzo ładne. Czy pan tak naprawdę myśli?

Rozkoszą było słyszeć ją mówiącą o kwiatach, ale teraz nadeszła chwila, gdy uwaga jej skierowana została na niego... Zawrzała w nim krew, potęgujące się z każdą chwilą uczucie szczęścia i smutku nie pozwoliło mu wymówić ani słowa! wiedział, że ona czeka, oddałby rok życia za to, by potrafić wypowiedzieć choć kilka odpowiednich zdań; nic nie przychodziło mu do głowy. A nawet gdyby go nawiedziło natchnienie, nie potrafiłby nic wykrztusić... Nadeszła pani Alverado z pękiem kwiatów pigwy i Jan Jones powstał z miejsca.

- Czy ogród już urósł? - spytała.

- Zbudowaliśmy mur i posadziliśmy pod nim kwiaty - odparł jej niepewnym głosem. - Prawda, proszę pani?

Alicja zdawała się być głęboko zadumana.

- Tak, tak - szepnęła. - Będzie to bardzo dziwny ogród, mamó.

Skierowali się ku domowi. Po chwili Alicja szepnęła coś matce i przyspieszyła kroku, głowę miała spuszczoną, pogrążona snadź była w ciężkiej zadumie. Jones widział, że pani

Alverado zaciska usta, ale nie zorientował się, czy był to objaw podniecenia czy niezadowolenia. Wreszcie nie mógł się dłużej opanowywać i zwrócił się do niej po prostu:

- Byłem dotąd obcym przybyszem w tym domu. Mam nadzieję, że od dzisiejszego dnia będę mógł państwa częściej odwiedzać?

- Będziemy bardzo zaszczyceni - odparła, rumieniąc się lekko.

W oczach jej dojrzał pytanie, zaczerwienił się i on.

- Muszę jednak jeszcze porozmawiać w pewnej sprawie z panem Alverado.

Udał się więc wprost do niego i zastał go czytającego w bibliotece. Don Franciszek założył otwartą stronę książki chudym palcem i spojrzał na gościa.

- Kiedy obudziłem się dziś rano, byłem, jak to ludzie nazywają, człowiekiem bogatym - mówił Jan Jones - teraz jestem nędzarzem i przyszedłem powiedzieć panu, że wszystko co posiadam jest dla mnie niczym, o ile nie odda mi pan swej córki za żonę.

Don Fryderyk zbladł. Zamknął książkę, złożył na niej ręce i popatrzał na Jana Jonesa z głębokim smutkiem.

- Byłoby to dla mnie szczytem marzeń, ale niestety jest to niemożliwe!

- Na miłość boską, dlaczego?

- Alicja jest zaręczona.

- Nie jest jeszcze zameżna, więc wolno mi mieć nadzieję.

- Dałem słowo. Żaden ksiądz nie mógłby jej silniej związać.

Z ust Jana Jonesa wyrwał się jęk.

- Z kim?

- Z Manuelem Cabrillo.

XVI - Nowe posunięcia

Mówiono powszechnie, że młody Vereal jeździ konno jak piorun. On i koń zjawiali się przed ludźmi nagle, wyrastali z ziemi, a w chwilę później ginęli z oczu i słychać było tylko echo końskich kopyt.

Tego dnia Jones wypadł z San Triste pełnym galopem. Gniady wałach frunął na wzgórze.

Na dziedzińcu Mały zeskoczył i rzucił lejce chłopakowi stajennemu. Chłopcem tym okazał się Tomasz Lewen we własnej osobie, ale nawet on nie miał tu nic do powiedzenia.

- Na to by mężczyzna był prawdziwym mężczyzną, musi mieć w sobie coś z diabła - rozmyślał Lewen patrząc na oddalającego się w stronę pałacu Jonesa. Po czym skinął aprobusz głową, głęboko przekonany, że młody pan miał w sobie dostateczną ilość tego pierwiastka.

Zasepiony Mały wszedł do pałacu i w wielkiej sieni natknął się na Vasco Cortena.

- Czy Cabrillo siedzi jeszcze w tym samym pokoju? - spytał nie podnosząc oczu do góry.

- Nie ruszał się stamtąd - odparł Corteno przyglądając się z tajonym niepokojem twarzy pana.

Mały szedł dalej. Otworzył drzwi niewielkiego pokoiku, poprzedzającego dużą bibliotekę. Pokój ten kazał urządzić sobie na starość don Diego, gdy się przekonał, że ludzie obchodzą go coraz mniej, a książki coraz więcej. Odgrodził po prostu kąt biblioteki grubym przepierzeniem. W ten sposób powstał pokój mający cztery kroki długości, a trzy szerokości, a że sufit pozostał tam równie wysoki jak w bibliotece, wszystko razem robiło wrażenie wnętrza wieży.

Manuel Cabrillo starał się jakoś zabić czas, przyglądał się więc czterem brązowym statuetkom stojącym w ściennych niszach. Następnie przyjrzał się wiszącej lampie z brązu, bogato rzeźbionej, na mrocznym tle sufitu świeciły ozdabiające ją łańcuszki. Wreszcie ogarnęła go beznadziejna nuda; zwrócił nawet uwagę na książki, które stały w zwartych rzędach na półkach i sięgały aż hen powyżej jego głowy.

Ale umysł Cabrilla nie mógł się długo skupić na czytaniu, potrzebował do tego czegoś więcej niż czarnych znaczków na białym tle. Ziewał i kiwał się, aż w końcu odrzuciwszy książkę na bok, popadł w stan półdrzemki. Budził się od czasu do czasu dzięki gwałtownemu pragnieniu: szczytem jego marzeń byłby łyk ulubionego napoju: tequili.

W końcu zasnął tak głęboko, że ciche kroki Małego z trudem wyrwały go ze snu. Przez chwilę przedstawiło mu się wszystko w formie sennego widziadła, na które ciało jego nie reagowało. Ale kiedy Mały zamknął delikatnie drzwi za sobą, metaliczny dźwięk wystarczył, by wyrwać Cabrilla ze snu. Był już całkowicie obudzony i gotowy do czynu.

Mały przeszedł przez pokój i przytrzymał dłoń Cabrilla w długim uścisku. Cabrilla ogarnęło obrzydliwe uczucie: dotknięcie to odkryło w nim jakąś utajoną niemoc i napełniło go poczuciem, że cała jego siła jest rzeczą drobną i godną pogardy. Mały uśmiechał się do niego, tak jak olbrzym uśmiecha się do karła, choć z potężnej postaci Cabrilla wykroić można było dwóch takich młodzieniaszków. Świadomość własnej przewagi fizycznej pocieszyła go trochę, nie mógł jednak patrzeć na okrutny uśmiech nie schodzący z ust Małego. Uśmiech ten trafiał bezlitośnie do wszystkich zakamarków jego prostaczej duszy i mówił mu, że skazany jest na zagładę.

- Przyszedłem tu porozmawiać z panem o pewnej ugodzie, którą moglibyśmy zawrzeć.
- Doskonale - odparł Mały.

Siadł na brzegu kwadratowego stołu zajmującego środek pokoju; stół ten wypolerowały pięknie zamszowe, safianowe i welinowe oprawy grubych tomów. Mały opierał się jedną nogą o posadzkę, drugą kiwał w powietrzu i patrzył na Cabrilla błyszczącymi, ironicznymi oczami.

Cabrillo walczył w życiu niejednokrotnie i miał mocne nerwy, do dzisiejszego dnia nie przyszłoby mu nawet do głowy, że może się bać kogokolwiek, teraz jednak zwątpił w swoją odwagę. Miał w potężnych łapach wielką, druzgocącą siłę, ale patrząc na przeciwnika miał niemiłe uczucie, że niezmiernie trudno byłoby chwycić tę wysmukłą postać w żelazną obręcz ramion. Cabrillo zwątpił w siebie; przyglądał się Małemu z nienawiścią i trwogą, tak jak potężny brytan, który nie waha się napaść na pokojowego psa, ale z niepokojem przygląda się zwinnemu, sprężystemu ciału wilka.

Ten chłopak swymi delikatnymi rękami potrafi nabić strzelbę w mgnieniu oka, a jego spokojny i bystry wzrok umie dojrzeć cel. Wystarczy mu jedna kula.

- Jakaż to ugoda? - spytał Mały.
- Pan jest człowiekiem śmiałym, a ja odwagę podziwiam. Od czasu kiedy straciłem posiadłość Verealów, zastanawiam się oczywiście nad tym, jak znów wejść w jej władanie - mówił zupełnie szczerze Cabrillo.
- Oczywiście - potwierdził Mały.
- Przede wszystkim dlatego, że sam powrót do tego majątku ma dla mnie o wiele większe znaczenie niż pieniądze.

Stanął mu przed oczyma słodka jak sen twarzyczka Alicji. Westchnął.

Mały poruszył się. Cabrillo podniósł na niego oczy; wstrząsnął nim dreszcz, dojrzał bowiem w twarzy przeciwnika bezmiar nienawiści i wzdargy.

- Mogę odebrać panu cały majątek.
- Doprawdy?
- Ale gdybym go panu odebrał w wiadomy sposób, jednocześnie odebrałbym go i sobie.

Mały milczał. Szał gniewu minął i zastąpiła go chłodna, spokojna czujność. Cokolwiek by los przyniósł, gotów był wyżyć wszystkie siły w tej grze.

- Krótko mówiąc, mogę każdej chwili sprowadzić tu prawdziwego don Josego.

Piorun spadł na głowę Małego; ani jednym mrugnięciem powiek nie dał jednak znać po sobie, że czuje się nieswojo.

- To bardzo zabawna historia - powiedział tylko i czekał.

- Naturalnie ta rzecz musi być należycie wyjaśniona - mówił ostrożnie Cabrillo jak gdyby bojąc się wywołać gniew w niebezpiecznym przeciwniku. - Panu będę to mógł wytłumaczyć z łatwością, bo panu tak jak mnie chodzi o zdobycie ostatecznego celu, mniejsza o to, jakimi środkami.

Mrugnął porozumiewawczo i uśmiechnął się. Mały uporczywie milczał. Siedział nieruchomo i nie spuszczał oczu z Cabrilla, w ręku trzymał zapalony papierosa, na końcu którego gromadził się popiół i opadał pomału na podłogę.

- Musimy powrócić do dnia - mówił Cabrillo - kiedy na San Triste spadła burza rewolucji, która zabiła Vereala i zagarnęła pałac. Wkrótce potem przekonano się, że mały Jose znikł wraz z francuskim nauczycielem Ludwikiem Gaspardem. Z początku myślano, że ciała ich spłonęły wraz z kilkoma budynkami podpalonymi przez rewolucjonistów.

Nowina ta dotarła do mnie, a ponieważ byłem ich najbliższym spadkobiercą, zacząłem się wybierać do San Triste w celu objęcia tam moich nowych posiadłości. Zewsząd składano mi powinszowania. Tej nocy głowa mi pękała od różnorodnych myśli, nie mogłem usiedzieć w domu i doczekać się spokojnie świtu. Kazałem osiodłać konia i wyjechałem na samotną przejażdżkę. Przyniosła mi ona szczęście. Odjechałem właśnie dwie mile na północ od domu, gdy zobaczyłem dwóch jeźdźców jadących wolno na zmęczonych koniach. Łby koni były nisko zwieszane, musiały być bardzo znużone. Zobaczyłem, że jeden z jeźdźców był małym chłopcem, a drugi starym człowiekiem. Gdy zrównali się ze mną, poznałem w jednym z nich Ludwika Gasparda, a choć nie widziałem nigdy młodego Josego, domyśliłem się, że ten chłopiec to właśnie on. Gaspard na mój widok oszalał z radości. Mówił, że skończyły się już ich troski i Bóg wyratował ich po tej strasznej ucieczce. Mały Jose nie słuchał tego, co mówił nauczyciel. Skulił się w siodle i drzemał, na wpół przytomny ze zmęczenia. Nie zsiadali z koni od trzydziestu sześciu godzin. Lecieli przez tę połąkę kraju jak wariaci, przekonani, że wszędzie szaleje rewolucja i pewni, że po napadzie na pałac Verealów ogłoszono ich za banitów. Rodzina Verealów uważana była za zbyt bogatą, by członkowie jej mogli się czuć bezpieczni w czasie rewolucji.

Słuchałem tych opowiadań Gasparda i ogarnęło mnie mnóstwo przykrych myśli. Stali przede mną: stary człowiek i mały chłopak, dwie zupełnie bezbronne istoty. Gdyby się udało ich

usunąć, wieszano by mi w dalszym ciągu dziedzictwa Verealów. No cóż, takie i inne plany chodziły mi po głowie.

- Naturalnie - odparł spokojnie Mały. - Myślał pan, jak łatwo byłoby wsadzić w nich obu po jednej kuli i problem przestaje istnieć.

- Jasno się pan wyraża. Tak, myślałem i o tym. Ale chwile słabości przychodzą czasami i na silnego człowieka. Czułem niepokój spowodowany częściowo wyrzutami sumienia, a częściowo strachem przed skutkami, które by to posunięcie mogło za sobą pociągnąć. Człowiek śmiały i nie obarczony skrupułami jak pan, pewnie by się tym nie przejmował?

- Może i nie - odparł Mały i zapalił nowego papierosa. Manuel Cabrillo poszedł za jego przykładem. Palił prawdziwie po meksykańsku, to znaczy nie zwracając zupełnie uwagi na popiół, który sypał mu się na kamizelkę, na marynarkę, na kolana. Po pięciu minutach cały był poplamiony szarym pyłem.

- Ten człowiek był już bardzo stary - ciągnął dalej Cabrillo, tłumacząc dokładnie przyczyny swej słabości. - A chłopak bardzo młody. Przy tym znałem już od kilku lat Gasparda, zachowywał się zawsze wobec mnie uprzejmie i miło. Nie był podobny do innych Francuzów, których znałem i którzy mówią grzeczne słowa, a w głębi serca chowają pogardę. Tego się w nim nie wyczuwało. Gdyby był kimś więcej niż domowym nauczycielem, można by go uważać za dżentelmena.

Mały potakiwał głową.

- Krótko mówiąc, nie byłem w stanie wziąć ich na muszkę, choć palce mnie swędziły z wielkiej ochoty pociągnięcia za kurek. Wymyśliłem więc coś innego. Odciągnąłem na bok Gasparda i powiedziałem mu:

- Panie Gaspard, pan jest starym człowiekiem.

- Tak, jestem stary - odparł łagodnym głosem, przypatrując mi się spod siwych, krzaczastych brwi.

- Ale może pan jeszcze żyć wiele lat - mówiłem dalej. - Jest pan zupełnie zdrow. Wzrok ma pan równie bystry jak człowiek młody. Obyczaje pańskie są wzorowe. Nie nadużywa pan alkoholu, pali pan niewiele.

- Tylko jedno cygaro dziennie - odparł Gaspard. - Ale dlaczego pan o tym wspomina, panie Cabrillo?

- Bo mam pańskie dobro na względzie - odpowiedziałem. - Myślę, że praca pańska sprawia panu duże zadowolenie?

- A komuż by nie sprawiała? Są ludzie, którzy lubią tworzyć coś z błota, po którym stąpamy. Nawożą go, orzą, sieją ziarna, a potem sprzedają je. Drudzy skierowali całe swoje

zainteresowanie na hodowlę koni, bydła; a moja praca to co innego niż ziemia, którą się orze i zasiewa, tu się ma do czynienia z pewnym materiałem, który można zmusić do myślenia, a myśli są potęgą, która obraca naszą Ziemię. Moim obowiązkiem jest tak wykształcić umysł tego chłopca, aby stał się z czasem potężnym, światłym umysłem dojrzałego męża. Nie może być na świecie nic ważniejszego ponad to.

- Musi to panu sprawiać niemałą rozkosz? - spytałem.

Westchnął ciężko i pokiwał głową.

- Pomiedzy mną a moim zadaniem piętrzą się trudności. Oddawałem swoją pracę na usługi ludzi bogatych. Uczniami moimi byli synowie bogaczy. Ci wiedzą od dzieciństwa, że i tak wyjdą na ludzi, bez najmniejszego wysiłku ze swojej strony. Po co mają pracować? Po co się uczyć? Fortuny, które odziedziczą, zapewnią im dobre jedzenie, ładne ubranie, świetną służbę, a przede wszystkim szacunek bliźnich. To niewdzięczny grunt dla mojej pracy i tam gdzie sieję zdrowe ziarno, wyrastają często chwasty.

Ponosił go entuzjazm. Proszę się nad tym zastanowić. Ten Francuz przeszedł przez śmiertelne niebezpieczeństwo, wyratował z rzezi chłopca, jechał półtorej doby nie zsiadając prawie z konia o zapadłych oczach i drżących nogach, a teraz zapomniał o wszystkim i mówił jedynie o swojej pracy! Dziwiłem się wówczas temu tak, jak pan z pewnością dziwi się teraz.

Zorientowałem się, że Gaspard podsunął mi w tej rozmowie rozwiązanie, o którym marzyłem.

- Niech pan sobie wyobrazi - tłumaczyłem mu - że ten chłopiec stracił cały swój majątek, ale pomimo to pan będzie miał możliwość wychowania go odpowiednio: co by się wówczas dało z niego stworzyć?

Gaspard pochodził z Normandii, a Normandczyk myśli o pieniądzach tak chętnie jak kobieta o miłości.

- Gdybym miał możliwość wychowania go odpowiednio, gdybym miał kompletną wiedzę, zrobiłbym z niego wielkiego człowieka. Ale nad nim ciąży przekleństwo pochodzenia. Mówię to szeptem, bo z chwilą zabicia ojca, on teraz jest Verealem.

Zamyśliłem się nad tym przez chwilę. Gaspard był dziwakiem, a może jego równowaga umysłowa była trochę zachwiana? Mówiąc między nami, mnie się wydaje, że się to często zdarza ludziom, którzy zbyt wiele czasu siedzą nad książkami. Bo proszę tylko pomyśleć: czy nie oszalałby każdy z nas, gdyby był zmuszony ciągle słuchać, a nie mógł nigdy odpowiedzieć? Tak się też dzieje z tymi, którzy za bardzo lubią czytać. Godzinami przez oczy wlewają w siebie różne słowa i nie puszczą nawet pary z ust. W końcu przewraca się im w głowie i wariują. Z Gaspardem stało się to samo. Ale jego szaleństwo było mi ogromnie na rękę.

Więc powiedziałem mu tak: Ludwiku Gaspard, jest wyjście z tej sytuacji i będzie ono zupełnie po pańskiej myśli, bo pan jest człowiekiem uczciwym i pragnie dobra ucznia; wyjście to jest dogodne i dla mnie, choć nie jestem taki uczciwy jak pan i pragnę własnego dobra. Przypuśćmy, że pan zabierze tego chłopca i pojedzie z nim do innego kraju, powiedzmy gdzieś na południe. Tam zamieszka pan z nim i będzie pan wiódł szczęśliwy żywot. Dostanie pan ode mnie sute wynagrodzenie. Ile pan dotąd zarabiał? Trzy tysiące dolarów? Daję panu cztery razy więcej. Otrzyma pan dwanaście tysięcy dolarów rocznie i za to będzie pan musiał utrzymać siebie i don Josego.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Zrozumiał, że jestem łotrem i krew uderzyła mu do głowy, pomyślał o dwunastu tysiącach i stał się biały jak papier. Zresztą widział moją rękę spoczywającą na kolbie rewolweru i zrozumiał instynktownie, że o ile nie zgodzi się na moją propozycję, usunę ich obu z drogi. Przyglądał mi się przez dłuższy czas, aż odezwał się wreszcie tak, jak na prawdziwego Normadczyka przystało:

- Jaką otrzymam gwarancję, że pieniądze te będą mi naprawdę przysyłane?

- Daję panu na to słowo honoru.

Ten hycel miał czelność roześmiać mi się w nos.

- Więc dobrze. Otrzyma pan podpisaną umowę.

- Doskonale, w końcu wszystko to robi się w imię dobra małego Josego.

- Musicie obaj zmienić nazwiska.

Kiwnął potakująco głową.

- Wyjedźcie do miejscowości, którą wam wskażę. I tam osiedźcie na stałe. Wytłumaczy pan małemu, że z powodu rewolucji niebezpiecznie byłoby dla niego nosić nazwisko Vereal. Ma dopiero dziesięć lat i nie jest specjalnie bystry. O ile nie zdarzy się coś, co mu przypomni przeszłość, za kilka lat te przejścia wydadzą mu się snem. Czy może mi pan to zagwarantować? - spytałem. Odpowiedział, że bierze to na swoją odpowiedzialność i że za dwanaście tysięcy rocznie zagwarantuje coś więcej jeszcze; młody don Jose wyrośnie pod fałszywym nazwiskiem i przeszłość zatrze się zupełnie w jego pamięci.

- Niestety - westchnął Gaspard - zrobił pan ze mnie zbrodniarza.

- Pokazuję panu drogę do majątku i zadowolenia, nic więcej - odparłem.

W ten to sposób zdołałem przekonać Ludwika Gasparda. To był jednak wariat, nie uważa pan? Naraził chętnie życie dla uratowania małego Josego od rewolucjonistów, a potem sprzedał swoją uczciwość za dwanaście tysięcy dolarów rocznie obdarowując mnie jednocześnie milionami! Strasznie dziwny człowiek! Za procent od dwunastu tysięcy oddał mi cały olbrzymi majątek. Jak Boga kocham, on się prawdopodobnie wcale nad tym nie zastanawiał! Dla niego dwanaście tysięcy

równało się milionom! Za taką właśnie cenę można go było kupić! Domyśliłem się tego i przysły wszystkie jego zasady. Gdybym wymienił większą sumę, przestraszyłby się. Gdybym wymienił mniejszą, mógłby sobie wówczas pozwolić na oburzenie i może gotów by był złożyć życie na ołtarzu zasad i uczciwości. Ale wymieniłem właśnie odpowiednią: zafascynowała go. Nie mógł się już opierać.

XVII - Prawdziwy Jose

Cabrillo zacierał ręce i wzdychał z rozczuleniem, wspominając, jak zgrabnie wywiódł na pokuszenie i kupił biednego Ludwika Gasparda.

- A jednak dwanaście tysięcy rocznie to duża suma - mówił spokojnym głosem Mały.

- Naturalnie - odparł pośpiesznie Cabrillo. - Ale Gaspard był już wówczas bardzo starym człowiekiem. Któż mógł przewidzieć, że pożyje jeszcze dwanaście lat? Gdyby był umarł, zostawiłbym oczywiście małego Josego własnemu losowi, niechby sobie sam radził.

- Oczywiście - odparł rzeczowym tonem Mały.

- Niech pan przeczyta ten list i przekona się, jak rzeczy stoją - oddał Małemu kopertę.

List napisany był pięknym pismem, linie falowały z lekka, ale litery nakreślone były tak starannie, że mogły służyć za wzór kaligraficzny. List zawierał pokwitowanie ostatniej przesyłki pieniężnej i podziękowanie za zwykłą punktualność. Dalej następowało stwierdzenie faktu, że don Filip Carwajal robi postępy w naukach i ćwiczeniach fizycznych i stał się doskonałym wzorem tego, czym powinien być młody dżentelmen.

Co zaś tyczyło się jego samego, pisał o sobie Gaspard, miewał się coraz lepiej i niczego więcej sobie nie życzył. Dokonane już zostało doskonałe dzieło, na ołtarzu którego złożył życie. Dzięki swoim systemom wychowawczym stworzył skończony typ dżentelmena i człowieka wykształconego. Chciałby jeszcze dożyć tej chwili, w której świat doceni jego arcydzieło i stworzy odpowiednie dla niego ramy.

“Bo choć Filip wejdzie na arenę zdegenerowanego, okrutnego, bezwzględного i podejrzliwego świata, da sobie radę w życiu. Istnieje bowiem wśród ludzi zdolność rozpoznawania geniuszu i oceniania prawdziwych zalet.

Nie żałuję ani przez chwilę tego, że chłopiec stracił z mojej winy wielki majątek. Gdyby nie ta strata, umysł jego nie posiadałby skarbów wiedzy, które są obecnie jego własnością.

Co do jego wykształcenia, o którym zdawałem już panu kiedy indziej sprawę, to mogę zapewnić, że przez te dwanaście lat dokonałem cudów. Zna on świetnie grecką i rzymską literaturę, włada dobrze trzema obcymi językami oraz ojczystym, posiadał gruntowną znajomość filozofii, matematyki, muzyki i umie posługiwać się ołówkiem, choć nie tak dobrze, jakbym tego pragnął. Co do nauk przyrodniczych, to nie mogłem niestety kierować jego postępami, ale ludzie miarodajniejsi ode mnie twierdzą, że zaszedł daleko na trudnej drodze wiedzy ścisłej.

Co do nauk prawniczych, to czytał dużo poważnych dzieł z tej dziedziny i tak się interesuje tą gałęzią wiedzy, że wszelkie czytanie z tego zakresu traktuje jak rozrywkę. Piszę o tym

wszystkim, chcąc panu udowodnić, co można zrobić z umysłem dwudziestodwuletniego chłopca, który wielokrotnie przerósł już - pod względem intelektu - starego nauczyciela.

Pan myśli może, że zaniedbywałem rozwój fizyczny chłopca? Wręcz przeciwnie. Zwracałem baczna uwagę na jego zdrowie, bo zdrowie fizyczne wzmacnia aktywność mózgu. Ćwiczył się zawsze w gimnastyce, specjaliści instruktorzy nauczyli go boks i walki francuskiej. Jeździ konno niezwykle dobrze i odważnie, tworzy jedną całość z koniem, którego dosiada. Nauczono go obchodzić się z bronią palną, a że ma dobry wzrok i silne nerwy, doszedł w tej dziedzinie do zdumiewających rezultatów. Jednym słowem, gdy pan zobaczy młodzieńca, który myśli o sobie, że jest Filipem Carwajalem, ujrzy pan wcielenie mojej koncepcji człowieka doskonałego”.

Nad tą częścią listu zadumał się Mały przez jakiś czas, w końcu podniósł na Cabrilla swoje wielkie, ciemne oczy.

- Wszystko to prawda - powiedział spokojnie.

Cabrillo westchnął z ulgą, rad był, że dzięki temu listowi uwierzono w całość jego opowiadania. Bał się spotkać ze sceptyczną oceną.

- Wobec tego zrobiłem, co następuje - mówił Cabrillo. - Z chwilą gdy przekonałem się, że dzięki mądrym przeciągnięciu ludności w San Triste na swoją stronę, wyrzucił mnie pan stąd definitywnie, posłałem po Gasparda i młodego Josego lub raczej Filipa, bo tak się teraz nazywa.

Zamilkł, spodziewając się, że Mały zachwieje się pod tym ciosem. Mały nawet nie drgnął. Stał nieruchomo jak żołnierz prezentujący broń, lekko uśmiechając się, powiedział:

- Jak on przyjedzie, odbierze od nas obu swoją własność i zostawi nas z niczym.

- Myli się pan. Wobec mnie będzie miał dług wdzięczności, bo sprowadziłem go z powrotem do ojczyzny. Spodziewam się po tym bardzo wiele.

- Będzie panu również bardzo wdzięczny za to, że trzymał go pan bezprawnie przez dwanaście lat z dala od tego wszystkiego. Ma pan rację: może się pan spodziewać nie byle jakiego odruchu wdzięczności.

Cabrillo skrzywił się i machnął zniecierpliwiony ręką.

- Myślałem i o tym. Ale tymczasem chce mi się strasznie pić. Przyjacielu, każ mi podać szklankę tequili.

Przyniesiono tequilę i Cabrillo połknął ją jednym haustem. Mały dotrzymywał towarzystwa gościowi, maczając delikatnie usta w szklance napoju.

- No a tymczasem prawdziwy Vereal zbliża się szybko do San Triste.

Cabrillo poruszył się niespokojnie na krześle.

- Zbliża się! Ale może się jeszcze da coś zrobić.

Mały uśmiechnął się.

- Byłem pewny, że nie zechce pan powiesić siebie i mnie na jednej gałęzi.

Cabrillo zaczerwienił się i uśmiechnął.

- Krótko mówiąc, oto co zrobiłem. Wyzaczyłem Gaspardowi i Jose Verealowi miejsce spotkania. Gdybym się nie mógł tam osobiście stawić, czekać na nich będzie mój list. List ten zawiera polecenie dla Gasparda, by powiedział Verealowi, kim jest i jakie są jego prawa. W liście tym wytłumaczę mu dokładnie, dlaczego nie mogłem przybyć osobiście: skoro się nie zjawiłem, to znaczy, że padłem ofiarą kogoś, kto wiedział, iż mam zamiar wyjawić całą prawdę młodemu Verealowi.

Mówiąc ostatnie słowa Cabrillo oparł się wygodnie o poręcz krzesła. Ale Mały nie miał ochoty na niedomówienia i insynuacje. Uśmiechnął się tylko ironicznie.

- Wobec tego nie powinienem pana zabijać?

- Cieszy mnie, że pan to zrozumiał - odparł Cabrillo. - Niech pan się zastanowi: Gaspard i Jose zbliżają się do pewnego, dobrze mi znanego miejsca. A my tu tymczasem zawrzyjmy układ. W pańskim ręku jest San Triste, a w moim karta, która uniemożliwi panu grę. Zastanówmy się. Wariactwem byłoby z naszej strony rezygnować z wielkiej fortuny. Niech się pan zadowoli pewną sumą pieniędzy. Niech pan zahipotekuje ją na majątku. I proszę się nie niepokoić. Sumka może być okrągła. Nie będę się spierał o jakieś marne kilkadziesiąt tysięcy. Ta przygoda wzbogaci pana. Ale musi się pan zgodzić na jedno: zabierze pan odpowiednią sumę w gotówce, zapewni sobie resztę hipotecznie i wyjedzie pan z San Triste. Posiadłość Verealów zwróci pan mnie. Będzie pan miał wówczas pieniądze, po które pan tu przyjechał, a to co zostanie, zadowoli mnie w zupełności.

- A cóż na to Jose?

- Spotkam go. Powiem Gaspardowi, że posłałem po nich dlatego, bo zdecydowałem, że muszą się przenieść do innego kraju, na przykład do Francji albo do Hiszpanii. Ot i wszystko. Oni wyjadą. Pan weźmie pieniądze, ja zostanę w majątku ziemskim i cały interes zakończy się szczęśliwie.

- Cudownie - szepnął Mały - ale przypuścimy, że to ja ofiaruję panu pieniądze, a sam zostanę w tym majątku? Czy to by panu odpowiadało?

- Nigdy! - ryknął Cabrillo, a twarz jego stała się ciemnopurpurowa.

Mały przypatrywał mu się uważnie i rozumiał wreszcie, o co chodzi. Cabrillo nie mogąc nosić nazwiska Verealów, chciał jednak za wszelką cenę korzystać z ich socjalnej pozycji. Otaczała go ona nimbem splendoru w oczach miasta, choć miasto nienawdziło go. A przede wszystkim pozwalało mu pretendować do ręki wykwintnej panny Alicji de Alverado.

Mały stał się zimny i nieugięty jak stal.

- Tak być nie może. Niech pan będzie rozsądny i weźmie pieniądze, obciążę majątek hipotecznie, tak jak mnie to pan proponował. Przywiązałem się do starego domu. Znaczy on dla mnie więcej niż pieniądze.

- Powoli, powoli! - krzyczał Cabrillo. - Czy pan oszalał?

Mały wzruszył ramionami. Widział, że Cabrillo drży z hamowanej wściekłości, ale stara się panować nad sobą.

- Powtarzam to, co powiedziałem przed chwilą.

- Wariat! - zawołał Cabrillo. - Odrzuca pan wszystko, nic pan sobie nie zostawia?

- Czy pan nie postąpiłby tak samo?

- Och, ja mam dosyć własnych pieniędzy. To tutaj stanowi dla mnie zbytek życiowy, a nie konieczność. Ale pan? Cóż pan ma poza nadziejami, jakie wiązał pan z tą imprezą?

- Konia i strzelbę - odparł spokojnie Mały.

Cabrillo zzieleniał.

- To wszystko? Jest pan zupełnie zdecydowany?

- A pan?

- Przysięgam, że o ile nie będę mógł zatrzymać dla siebie tego majątku, powróci on do prawdziwego Vereala.

- No to do widzenia.

Nieopisany dźwięk wyrwał się z ust Cabrilla: gardłowy, zwierzęcy ryk nienawiści. Otyła jego postać znikła w drzwiach. Słychać było, jak stawia ciężkie, niezgrabne kroki na posadzce holu i na kamiennych płytach podwórza.

Mały nie poszedł za nim. Chwilę jeszcze siedział na stole, przez otwarte okno doleciał z ogrodu cudowny, słodki, niezapomniany zapach wieżokrzewu. Wydało mu się, że Alicja jest tu blisko, że wchłania jej obecność, stanęła przed nim jak duch... niewypowiedziane piękno. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo mu się stała droga.

Stracić wszystko, to głupstwo, ale stracić Alicję, to była naprawdę straszna rzecz! Godzinę temu czuł, że jej zaręczyny z Cabrillem stanowiły między nimi zaporę. Ale teraz, w świetle katastrofy, która mu groziła, wydawało się to drobnostką. Powolnym krokiem wszedł do biblioteki. Na środku pokoju stała wyniosła postać Emila Fleuriet; stary sługa miał bladą, surową twarz. Co go tu sprowadziło? Po co tu stał? Dreszcz wstrząsnął Małym i uczucie niepokoju nie rozwiąło się nawet wówczas, gdy Fleuriet oznajmił mu, że pan Marmont przyszedł i chce się z nim widzieć.

Po chwili wszedł do pokoju Piotr Gaston Marmont. Ubrany był w białą marynarkę, w butonierce miał czerwony kwiat, na rękach grube rękawiczki, opierał się na lasce tak cienkiej, że ugięła się pod ciężarem jego postaci.

- Czy miałeś sposobność rozmawiać z tutejszymi pannami? - spytał cicho Jonesa.

Wiatr przyniósł znów znajomy zapach kwiatów i Mały poczuł, że blednie. Ziewnął więc i zakrył usta ręką.

- Nie tracę czasu na kobiety - oznajmił.

- Ja również nie - zapewnił go pośpiesznie Marmont. - Choć świetnie się nimi wypełnia wolne chwile. Bez nich rozklekotałbym się zupełnie, działają na mnie jak oliwa. Pięć minut szaleństwa dziennie - na to zdoła się zawsze namówić kobietę. Więc nie można powiedzieć, żeby były niepotrzebne.

Popatrzył na Jonesa i roześmiał się.

- Kochałem się - plótl dalej - w Madrycie, w Nicei, w Oksfordzie, w Pradze, w Neapolu, w Moskwie, ale zanim przyjechałem do Meksyku, nie widziałem prawdziwie pięknych kobiet. Tu, w San Triste, pod tymi wielkimi szalami kryją się skarby, które by mogły zawrócić w głowie wszystkim koronowanym głowom Europy.

- Pewnie znów nie masz pieniędzy? - spytał sucho Mały.

- Wystarczy mi pięćset pesos. Oddam ci sześćset z mojej części zysku. Zaufaj mi, kochany Jonesie, dobrze?

Mały wyjął portfel i wy dostał z niego kilka banknotów.

- Masz tu trzysta pesos - powiedział.

- Tylko trzysta? - Marmont zachmurzył się. - Czyżbyś mi nie wierzył?

Na ustach Małego ukazał się błądy uśmiech.

- Jutro znów dostaniesz dwieście.

Marmont poczerwieniał i roześmiał się wesoło.

- Masz rację - przyznał się dobrodusznie.

- O ile w ogóle będę mógł ci ofiarować cokolwiek. Może być, że nim nadejdzie jutrzejszy wieczór, będziemy jechali szybko w stronę granicy.

- Dlaczego?

- Zawołaj Denny'ego i Halseya. Musimy porozmawiać.

- Halsey powróci dopiero jutro rano.

- Musimy poczekać na niego.

- Ależ Jonesie! - Marmont zrobił rozpaczliwy ruch rękami.

- Ani słowa o tym. Ach, zapomniałbym. Pójdź do sąsiedniego pokoju, zamknij drzwi do biblioteki, stań koło stołu i powiedz głośno kilka słów.

Marmont obrzucił go badawczym spojrzeniem, położył laskę na krzesło i w milczeniu wykonał rozkaz. Po chwili otworzył drzwi od pokoiku.

- Nic nie słyszałem - powiedział Mały. - Wróc jeszcze raz.

Drzwi się zamknęły, Mały zbliżył się do nich. Nie przytknął ucha ani do dziurki od klucza, ani do żadnej szpary, a jednak słyszał głos Marmonta:

- Jest bardzo gorąco.

Mały zrozumiał prawdę tych słów: pot wystąpił mu na czoło. Otarł go. Stał się ponury i zamyślony: wszystko zależało od miejsca. O ile służący stał na środku pokoju, to mógł nic nie słyszeć, o ile znajdował się blisko drzwi, słyszał wszystko.

XVIII - Przechodnie

Wieczór już nadszedł i Mały chodził niespokojnym krokiem po swoim ogrodzie, gdy wtem wiatr przyniósł mu z miasta miłe echo jakiejś przenikliwej, meksykańskiej melodii; gdzieś daleko grano na flecie, wysokie cieniutkie tony dotarły aż tu.

Mały przypomniał sobie, że o tej godzinie wszyscy mieszkańcy San Triste spacerują po Plaza Municipale. Urwała się melodia, nie było już nic słyszeć, nie minęło jednak pięć minut, a Mały siedział już na koniu, galopował w stronę San Triste. Zsiadł z konia przy Plaza Municipale i zmieszał się z tłumem przechodniów.

Olejne lampy oświetlały bulwar obsadzony wielkimi drzewami, w porównaniu z którymi człowiek wydawał się mały jak Pigmiej. Rzeka ludzi płynęła podwójnym korytem: na jezdni szedł gęsty tłum składający się z niższych warstw społecznych, na trotuarze spacerowali dobrze urodzeni, dumni patrycjusze miejscy. Nawet ta przechadzka unormowana była ścisłymi przepisami. Po wewnętrznej stronie trotuaru spacerowały otulone w czarne koronkowe szale panie i panienki pod opieką "duegn", po zewnętrznej szli starzy i młodzi kawalerowie; nigdy mężczyzna nie szedł obok kobiety. Kochankowie spotykali się tam na jedno mgnienie oka, fala niosła ich bowiem w odwrotnym kierunku. Spacerujący na jezdni plebs naśladował dokładnie sposób bycia panów; od czasu do czasu jednak jakiś śmiały chłop przebijał się przez kordon i towarzyszył przez kilka chwil pani swego serca, nie zwracając uwagi na uśmiechy, dowcipy i gestykulację towarzyszków. Od dwunastu lat, po upalnym dniu, spacerowali po tym placu mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta, a kroki ich wyźłobiły głębokie wklęsnięcia w kamiennych taflach bulwaru. Mały czuł, że roztapia się w tych dwóch stuleciach szczęśliwych wywczasów. Już kiedyś spacerował po tym placu i przekonał się, że było to jedyne miejsce, gdzie nikt go nie śledził i nikt nie napastował, gdzie nie ciążyło na nim kłopotliwe przywiązanie i szacunek ludności. Podczas tych wieczornych spacerów znikła ważność i stanowisko, a zostawały tylko osobiste walory. Walory te nie były mierzone miarą dnia wczorajszego lub jutrzejszego: po prostu ceniono człowieka za wesołość, za minę, za gest. Tak więc wystarczyło poważnemu i zamyślonemu Jonesowi otulić się w płaszcz i utkwić wzrok przed siebie, a nikt nie zwracał na niego uwagi. Mężczyźni niechętnie spotykali jego ponury wzrok i trzymali się od niego z daleka; był to z ich strony objaw szacunku dla Vereala. Atmosfera przesiąknięta była hamowaną wesołością. Mówiono półgłosem, szmer rozmów tłumiły dźwięki orkiestry grającej pośrodku placu, a przysłoniętej kępą krzewów i drzew. Ostry dźwięk fletu, ulubionego instrumentu Meksykanów, głęboki bas wiolonczeli, brzęknięcie gitary, wysoki liryczny ton skrzypiec zlewały się w jedną harmonijną całość. Przy dźwiękach tej muzyki mężczyźni i kobiety szeptali między sobą, plotkując i żartując zawzięcie. W dwóch przeciwnych

kierunkach płynęły dwie fale ludzkie: wzrok kobiet utkwiony był przed siebie, mężczyźni nie spuszczaali oczu z niewiast. Nic tu nie wychodziło z ram najsurowszej przyzwoitości, a jednak atmosfera przesiąknięta była dziecinnym rozdokazywaniem.

Jones pomimo zamyślenia przypatrywał się jakby niechęcący, a bardzo uważnie, każdej mijającej go kobiecie. Choć widział dużo zgrabnych postaci i uroczych twarzączek, nie przestawał wciąż szukać. Aż wreszcie znalazł. Mdle światło oliwnej lampy padło na jej twarz i serce Jonesa zabiło. Zauważył, że ona również jest poważna i smutna, że ukradkiem i jakby z trwogą przyglądała się twarzom przechodniów. Wydała się Jonesowi różą w ogrodzie pełnym chwastów. Czy widziała go?

- Musi na mnie popatrzeć - powiedział sobie pełen trwogi i szaleństwa.

I rzeczywiście, gdy mijał ją, odwróciła głowę; na jedną sekundę spotkały się ich oczy. Zadrżeli oboje. Jones pijany radością wycofał się z szeregu spacerujących i zobaczył w tej chwili panią Alverado pomagającą sianiającej się Alicji wydostać się z tłumu. Za nimi szli pośpiesznie dwaj służący. Zobaczył, że pani wydaje jakieś rozkazy i że jeden ze służących oddala się szybko. Serce Jonesa oszalało z dumy: wiedział dobrze, jaki był powód dziewczęcej słabości. Jemu też kręciło się w głowie, krew waliła mu w skroniach i siły go opuszczały. W jednej chwili znalazł się przy paniach, zamiatając kapeluszem bruk ulicy.

- Alicji zrobiło się słabo - mówiła pośpiesznie matka. - Posłałam po powóz. Może pan będzie tak uprzejmy i pomoże mi zaprowadzić ją na ławkę.

Ujął Alicję pod ramię i uczył, że drży cała.

- Już dobrze się czuję - szepnęła - nie potrzebuję pomocy.

Opierała się jednak na nim, bezwładnie niemal. Na końcu placu, z dala od przechodniów, stała kamienna ławka; poprowadził ją tam. Stroskana matka pochyliła się nad Alicją serdecznie.

- To jej się nigdy nie zdarza - tłumaczyła Jonesowi. - Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Co to może być?

- Noc jest bardzo ciepła i duszna - odparł Jones. - To pewnie jest powodem.

- Może być. Moje dziecko kochane, czy lepiej się czujesz?

- O wiele lepiej.

- No to doskonale. Nawet wróciły ci kolory. Co za szczęście, panie Vereal, że spotkałyśmy pana!

Alicja schyliła głowę; zrobiła się bardzo różowa i Jones widział, jak pośpiesznie oddycha. Ktoś zbliżył się do nich; matka obróciła się, tłumacząc przybyszowi, że osłabienie Alicji już minęło.

- Niepotrzebnie pan tu siedzi - usłyszał Jones cichy szept. - Jestem już zupełnie zdrowa.

- Zostanę tu.
- Ale muzyka...
- Słyszę ją stąd.
- I wszyscy ludzie...
- Nic mnie nie obchodzą.

Mówił to bardzo gorąco; słyszał coraz bardziej przyspieszony oddech panienki.

- Kiedyś to panu wytłumaczę. Ale teraz błagam, niech się pan na mnie nie gniewa i niech pan odejdzie.

- Czuję się nieswój i dziwnie osłabiony. Błagam panią, niech mi pani pozwoli tu zostać, aż przyjdę do siebie.

Spojrzała na niego wystraszona, kompletnie wytrącona z równowagi. Słyszał, że matka jej rozmawia i śmieje się z jakimś nieznanym. Słowa wezbrały w sercu Jonesa, wypełniły je aż do bólu, zerwały tamy i wbrew woli wyrwały się z jego ust.

- Alicjo - szepnął pochylając się nad nią.

Robiła wrażenie kogoś, kto czuje, że grozi mu niebezpieczeństwo porwania, a jednak nie wie sam, czy chce być wolny.

- Alicjo - powtórzył delektując się słodyczą tego imienia. - Bóg już rozporządził moim życiem.

Z daleka doszedł do ich uszu ostry dźwięk fletu; drgnęli oboje.

- Nie, panie. Nie, nie... Jose.

Cudze imię wymówione jej ustami, zdało się Jonesowi mistycznym chrztem, nadało mu prawo do nazwiska. Czuł dziwne uniesienie: jej wiara zrobiła z niego Vereala.

Zajechał powóz, służący zeskoczył z kozła.

- Bóg rozporządził moim życiem - szepnął raz jeszcze Jones. - Od pierwszego spojrzenia jestem twój. Powiedz: czy mogę mieć nadzieję?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Matka i służący pomogli jej wstać i usadowić się w powozie. Jones przypatrywał się temu, mnąc w dłoniach brzeg sombrera; był bardzo blady. Furman ściągnął lejce, powóz ruszył. Dziewczyna obróciła głowę i spojrzała na niego wzrokiem pełnym szczęścia i ufności. Zrozumiał, że skarb jego serca będzie należeć do niego, o ile potrafi go osiągnąć.

Przeżycia tego dziwnego wieczoru nie skończyły się jednak dla Alicji.

- Moja droga, gdzież to się podziela twoja choroba? Uśmiechasz się jak dziecko do nowej zabawki - odezwała się do niej po chwili matka cierpkim tonem. Mówiła szeptem, bojąc się, aby siedzący na kozle służący nie dosłyszał jej słów.

- Dobrze mi zrobił ten chłodny wiatr, który się nagle zerwał.

- Posłuchaj mnie, moje dziecko. To nie wiatr, to echo słów pana Vereala.

Alicja wtuliła się w głąb powozu i szepnęła coś niewyraźnie.

- Przyznaj się, co on ci powiedział?

- Nic. Wyraził nadzieję, że prędko wyzdrowieję.

- Nadzieja ta sprawdziła się dziwnie szybko - odparła ostro matka. - Alicjo, proszę cię, bądź ze mną szczerą.

- Mamo, mamó - szepnęła dziewczyna - nie miałam wyobrażenia, że można być aż tak szczęśliwą!

Pani wyprostowała się i oczy jej zabłyśły. Twarz jej jednak nabrała surowego wyrazu, sądzić było można, że ogarnęło ją raczej uczucie gniewu niż radości.

- Wielkie nieba! - szepnęła. - Oświadczył ci się?!

- Kocha mnie, mamó.

- Po dwukrotnym widzeniu? On bawi się tobą! Nie można się tak prędko zakochać!

- On jest rzetelny jak stal!

- Cóż ty, dziecko, możesz wiedzieć o mężczyznach?

- O innych nic, o nim wszystko.

- A to ładna historia! Twój ojciec zaręczył cię przecież z Cabrillum!

Alicja zrobiła niewyraźny ruch rękami.

- Czy ci to jest obojętne?

- Nie wyjdę za Cabrilla, nigdy nie mogłabym go pokochać. Teraz kiedy Jose powiedział mi tych kilka słów, należę do niego.

- Jak to dobrze, że twój ojciec cię nie słyszy! Oszalałby!

- Mamó, czy ty też tego pragniesz? Chcesz żebym została żoną Cabrilla?

- Tego wieprza? - wykrzyknęła matka. - Niech Bóg broni! - wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia. - Ale skąd wiesz, czy ten ognisty, dziki jeździec, ten Vereal, o którym nikt nic nie wie, nie żartuje z ciebie?

- Wiem tylko jedno - bardzo spokojnie odparła Alicja - jeśli on się ze mną nie ożeni, nie wyjdę nigdy za mąż. Jeśli mnie nie zechce - umrę.

Pani Alverado nie skwitowała tego już ani słowem. Gdy dojeżdżały do domu, matka szepnęła:

- Bądź cierpliwa, Alicjo, i pozwól mi działać. Nie umrzesz, kochanie. Sprawę z ojcem postaram się jakoś załatwić. Ze wszystkim na świecie można sobie dać radę - nawet z dumą mężczyzny.

XIX - Przyjazd Simona

Z północnego pasma wzgórz schodził stępa wysoki, silny koń. Siedział na nim krótkonogi, niezgrabny jeździec; kręcił się w siodle, chciał widocznie znaleźć wygodniejszą pozycję, w końcu dał temu spokój.

Jechał prawie całą noc, a teraz dochodziło już południe. Siwy koń, mocny jak żelazo, dzielny i pełen animuszu, ciągle przyśpieszał, jeździec z trudem zmuszał go do stępa. Nawet taka jazda była torturą dla tego niedoświadczonego kawalerzysty, a o klusie nie śmiał nawet myśleć. Zesztywniał mu kark i wszystko miał obolałe.

Wjechał na szczyt wzgórza i ściągnął lejce. U jego stóp leżało San Triste, lśniące najczystsza bielą w promieniach porannego słońca. Jeździec zatarł ręce i byłby się dłużej oddawał temu miłemu zajęciu, gdyby nie ujrzał przed sobą, na zakręcie, chmury kurzu. Chciał zatrzymać konia, jednak pojechał dalej, blady, ale zdeterminowany. Obłok kurzu rósł, nabierał jasnej barwy, w końcu wyłonił się z niego mężczyzna na koniu. Skórę mustanga pokrywały ciemne plamy potu, piana szła mu z pyska; jeździec zmuszał go jednak do forsownej jazdy pod górę.

Wjechawszy na szczyt wzgórza, pozdrowił nieznanego grzecznym gestem ręki. Simon oddał mu ukłon i minął go. Nagle poczuł, że właściciel mustanga przypatruje mu się bacznie. Puścił się więc lekkim klusem. Zorientował się po chwili, że jeździec zatrzymał konia, potem go zawrócił i jechał trop w trop za nim.

Simon zbladł jeszcze bardziej, ale nie zatrzymywał się. Tym razem zbliżało się ku niemu trzech jeźdźców. Pozdrowili go wesołymi okrzykami, ale przyjrząwszy mu się z bliska, dwóch z nich zatrzymało nagle konie.

- Józef Simon! - krzyknął czyjś głos pełny zdumienia.

Simon potrząsnął głową, spróbował się uśmiechnąć i pojechał dalej, nie zatrzymany przez nikogo. Po chwili odwrócił głowę: trzej jeźdźcy spotkali teraz tego, który go pierwszy zaczepił. Serce Józefa Simona biło jak oszalałe.

- Nie zapomnieli o mnie - mruknął. Opuściły go nagle wszystkie fizyczne dolegliwości.

Czterej ludzie porozumieli się szybko za jego plecami i zawrócili konie, ale Józef Simon nie czekał już na nich. Pochylił się nisko, krzyknął coś do ucha siwka: koń dał tak olbrzymiego susa, że o mało nie zrzucił go z siodła. W tej samej chwili dzikie wycie wyrwało się z ust jadących za nim.

Simon poprawił się w siodle, zdecydowanym ruchem umocnił nogi w strzemionach i obejrzał się. Pędzili za nim jak dzicy Indianie, w ręku każdego z nich widać już było strzelbę. Broń błyszczała w świetle porannego słońca. Simon przerażony tym widokiem, zmusił konia do jeszcze

szybszego biegu. Wiedział, że pogoń nie nadąży za nim. Bo choć siwek zmęczył się długą podróżą, lecz był to koń wysokiej krwi, miał długie nogi i przewaga była po jego stronie. Przestrzeń między siwkami a goniącymi zwiększała się z każdą chwilą. Pałac Verealów leżał już niedaleko i choć wierzchowiec zaczynał robić bokami, Józef Simon zbliżał się do celu. Dopadł mostu na rzece Sabrinie. Uderzenie kopyt końskich rozniosło się szerokim echem. Siwek mknął dalej, po chwili wspinał się z wielkim wysiłkiem po skalistym wzgórzu.

Za nim przeleciały przez most cztery mustangi z przekrwionymi z wysiłku oczami, starając się prześcignąć jeden drugiego, przestrzeń między nimi a upragnioną zdobyczą zmniejszała się z każdą chwilą. Ale była jednak dość znaczna. Nawet ci oszaleli z gniewu ludzie rozumieli, że nie mogą wygrać. Zaszczekał karabin, pocisk przeleciał koło Simonowego ucha; jęknął z przerażenia i położył się na szyi konia.

Odezwały się znów głosy karabinów, kule jak osy brzęczały nad Simonową głową. Wreszcie zobaczył tuż przed sobą bramę pałacu Verealów i wpadł na dziedziniec. Nie spotkał tam nikogo prócz Vasco Cortena, zajętego gromieniem skonfundowanych ogrodników, którzy widocznie zaniedbali się nieco w swoich obowiązkach. Na widok przybysza starzec przerwał swoją przemowę.

- Simon! - wykrzyknął ze złością. - Nastaną znów złe czasy! - Józef Simon!

Simon zsunął się z siodła i potknął, mało brakowało, a byłby upadł na kamienie.

- To zbójce... mordercy... gonili mnie... Zawołajcie Vereala... obrońcie mnie... wybawcie... poczciwy, kochany Corteno!

- Psie! - warknął Corteno przez zaciśnięte zęby. - Nie będą śmieli ścigać pana w pałacu Verealów - dodał głośno. - Niech pan posłucha rady uczciwego człowieka i wyniesie się z San Triste. Tu pięć tysięcy mężczyzn weźmie pana chętnie za cel swoich strzałów.

Simon warknął coś po cichu, przyglądał się podejrzliwie ogrodnikom, a oni patrzyli nieufnie na niego; byli między nimi bowiem i starzy oficjaliści, których kiedyś wyrzucił ze służby.

Corteno go nienawidził, ale mówił prawdę. Zgodził się też zaanonsować go panu domu. Po chwili wrócił na dziedziniec z wiadomością, że Vereal będzie wkrótce wolny.

- Wkrótce? - spytał wściekłym głosem Simon. - Z daleka przyjechałem, żeby się z nim zobaczyć.

- Nie wątpię w to - odparł Corteno, starając się ukryć złośliwy uśmiech.

Minęło pół godziny, zanim przysłano po Simona. Wprowadzono go do biblioteki, gdzie czekał na niego Mały.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Cortenem, Simon wybuchnął:

- Panie Jones, co to wszystko ma znaczyć?! Kazał mi czekać na dworze jak jakiemuś idiocie, pan... pan... pali tymczasem papierosy?

- Panie Simonie - odparł bardzo łagodnie Mały - w San Triste jestem Jose Vereal.

Simon wyprostował się.

- Niech i tak będzie - odparł z uśmiechem - szczęściem te ściany są bardzo grube. No, przyjechałem w końcu. Bóg widział, jak w ciągu ostatniej pół godziny groziła mi kilkanaście razy śmierć. Pragnę o tym zapomnieć. Naprawdę ważne jest to, że pan wszystko cudownie załatwił. Słyszałem o tym co nieco w czasie mojej podróży. Tylko o tym się mówi: do San Triste wrócił prawdziwy Vereal, hojniejszy, lekkomyślniejszy, bardziej dobroczynny niż jego przodkowie.

Roześmiał się i padł na fotel.

- A to, pod domem? - spytał z nie tajonym niepokojem wskazując palcem na podłogę.

- Nie zaglądaliśmy tam. Czekaliśmy na pana. Uważam, że tylko w ostateczności należy zejść do skarbcza.

- Bardzo mądrze - odparł Simon. - A tamci trzej?

Mały zamiast odpowiedzi przeszedł przez pokój i otworzył drzwi do sąsiedniego, niewielkiego pokoiku. Wyszli z niego kolejno: Halsey, Marmont, Silas Denny. Widać było po ich ubraniu i sposobie bycia, że pieniądze Verealów płynęły przez ich ręce. Przywitali Simona każdy po swojemu: Marmont się uklonił, Halsey posłał pozdrowienie ręką, a Silas Denny zaszczyił go mocnym, łamiącym kości uściskiem dłoni.

- Teraz kiedyśmy się wszyscy zebrali - mówił Mały - mogę wam zakomunikować, że nasza zabawa wkrótce się skończy.

Popatrzyli zdumieni jeden na drugiego. Józef Simon śmiertelnie blady zerwał się z krzesła i poruszał wargami, nie mogąc wydobyć z gardła żadnego dźwięku.

- Cabrillo przyjechał do mnie - mówił Mały. - Chciał mi dać mnóstwo gotówki i hipotek pod warunkiem, że oddam jemu majątek i zniknę z tego kraju. W jego ręku ważny atut: ma w zanadrzu prawdziwego Vereala, trzyma go w pogotowiu, w każdej chwili może go wszystkim pokazać.

- A pan, a pan? - szeptał Józef Simon drżąc z podniecenia.

- Ja zaproponowałem mu te same warunki, o ile usunie gdzieś daleko swego Vereala i będzie go tam hodował.

- Po co? - spytał Halsey. - Czy pan zamieniłby milion na piękny dom, o ile by pan wiedział, że dom ten mogą panu w każdej chwili odebrać?

- Zrobiłbym to - odparł Mały.

- Czy dowiedział naprawdę, że Jose istnieje? - spytał Simon.

- Owszem.
- I będzie mógł udowodnić całemu światu jego autentyczność?
- Z Josem jest też Ludwik Gaspard.

Simon jęknął.

- Nie chciał wziąć pieniędzy?
- Nie. I odszedł wściekły.
- Jak prędko może tu sprowadzić Josego? Czy będziemy mieli czas wywieźć skarb poza granice Meksyku?
- Nie wiem.

Józef Simon biegał tam i z powrotem po pokoju. Od czasu do czasu podnosił złączone dłonie ponad głowę, po czym uderzał się nimi po czole. Wreszcie odwrócił się gwałtownie w stronę Małego.

- Panie Jones, czy pan miał prawo decydować o tym sam? Czy pan nie jest moim człowiekiem? Gdyby nie ja, czy dostałby się pan kiedykolwiek do tego domu?

Nic nie mogło zachwiać spokoju Małego. Usiadł cicho na progu pokoju, chcąc mieć wszystkich czterech współników przed sobą, a oni wyczuli natychmiast, że w ten sposób akcentował swoją niezależność. Odtąd cokolwiek by przedsięwzięli, Mały będzie z nimi tylko połowicznie. Kierował się własną logiką i szedł do własnego celu.

- Wysłał mnie pan tutaj - mówił wolno Mały. - Nie miałem nic prócz podobieństwa do rodziny Verealów. Wszystko co zdobyłem, zdobyłem sam. Ani Marmont, ani Denny, ani Halsey nie pomogli mi w niczym. Ja wygrałem grę: zmobilizowałem tłum, wypędziłem Cabrilla z pałacu Verealów, osiadłem w nim i zdobyłem San Triste. Ale teraz, panie Simonie, pragnę zatrzymać to, co zdobyłem. Zanim Cabrillo opowiedział mi o istnieniu prawdziwego Vereala, połowa szans w tej grze była moja. Obecnie zostaje mi najwyżej jedna dwudziesta. Mam jednak zamiar nie ruszać się stąd i zaryzykować. Ot i wszystko.

- Wariat - wyrwało się z ust Józefa Simona.

- Być może - odparł Mały. - Ale o ile pańskie pieniądze są jeszcze w tym domu, to niech je pan zabiera i wywiezie z Meksyku. Mój udział w zysku oddaję tu obecnym trzem współnikom. Zapewnię wam transport i ochronę. A ja zostanę tu i będę się starał wstrzymać pańskich nieprzyjaciół od pogoni.

Odwrócił się do Simona i uśmiechnął bezlitośnie.

- O ile panowie uważacie, że dostałem więcej niż mi się należy, możecie zostać ze mną i zaryzykować. Doczekacie się powrotu prawdziwego Vereala.

Patrzyli na niego jak na obłąkanego. Józef Simon liczył z wściekłością na palcach punkty przegranej.

- Mógł pan spokojnie i bezpiecznie wywieźć te pieniądze z Meksyku. Mógł pan dostać to, co panu obiecałem, do śmierci nie potrzebowałby pan pracować. A zamiast tego pozwala pan Cabrillovi szczuć nas tym psem i psuje pan cały interes. Potrzebujemy czasu. Nie możemy w jednej chwili zmobilizować siedemdziesiąt mułów, załadować na nie towar, wyjechać z San Triste i przejść granicę. A tymczasem Vereal może się tu zjawić w każdej chwili. Panie Jones, czy pan oszalał?

- Może - odparł Mały.

- La belle femme immortelle! - wykrzyknął Marmont. - W tym tkwi jakaś kobieta. A jak się kobieta w coś wmiesza, któż się może z nią zmierzyć?

- A poza tym nie jesteśmy w ogóle pewni, czy te pieniądze znajdują się w pałacu - odezwał się Halsey.

- Secre bleu - mruknął Marmont. - Jones, jeżeli te pieniądze znikły...

Oczy jego spojrzały groźnie na Małego.

Mały z obojętnością odwzajemnił to spojrzenie, choć wiedział dobrze, że o ile skarb się nie znajdzie, wspólnicy oskarżą go o defraudację.

W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak zaproponować całej czwórce zejście do podziemia pałacowego i odszukanie skrzyni ze skarbami.

Droga krętymi skalnymi korytarzami pochłonęła sporo czasu, poza tym nie natrafiono na żadne przeszkody.

W końcu stanęli przed wejściem do nie znanego dotąd pomieszczenia. Simon otworzył drzwi. Weszli, oświetlając latarkami niedużą komorę. Skrzynia stała nietknięta. Patrzyli na nią przez chwilę w milczeniu. Simon drżącymi rękami dobierał klucze. Wkładał, wyjmował, znów wkładał, starał się przekreślić zamek, używał siły, mamrotał coś pod nosem. Pozostali czekali w skupieniu. Wreszcie oporny zamek zgrzytnął. Simon popatrzył spode łba na towarzyszy. Chciał od razu podnieść wieko skrzyni. Nie udało się. Bezradnie rozejrzał się wokół. Opodal leżał kawałek drąga. Chwycił go, podważył wieko, które drgnęło. Marmont podszedł i zdecydowanym ruchem szarpnął je do góry. Simon na moment zastygł, wypuszczając latarkę z rąk. Szybko jednak zreflektował się. Chwycił latarkę i zajrzał do skrzyni. Na widok jej zawartości zaczął się śmiać i płakać jak dziecko! Zanurzał w niej ręce i pozwolił płynąć między palcami purpurowemu, zielonemu, błękitnemu, przezroczystemu strumieniowi klejnotów.

Nagle znieruchomiał i nadśluchiwał przez chwilę.

- Zamykajcie wszystko - rozkazał ochrypłym głosem. - I chodźmy stąd, zanim nas wyśledzą. Śpieszcie się, śpieszcie.

Gdy znaleźli się znów w bibliotece, zauważyli, że Józef Simon stał się całkiem innym człowiekiem, jak gdyby widok skarbu dodał mu nagle sił. Nie miał już zgarbionych pleców. Wyprostował się gwałtownie, marynarka ułożyła się na nim w dziwne fałdy. Oczy mu zapalały blaskiem. Nagle stał się ośrodkiem wszystkiego.

- Widzieliśmy, panowie, przedmioty wartości trzech milionów, cenniejsze od gotówki. Musimy się namyślić, w jaki sposób można to bezpiecznie wywieźć z San Triste. Może któryś z panów ma jakiś pomysł?

Pomysł mógł być tylko jeden: zgromadzić nazajutrz muły i poganiaczy, załadować wszystko należycie i ruszyć ku granicy.

- Przypuśćmy nawet, że będziemy mieli dość czasu, by tego dokonać - mówił Simon. - Zaledwie wyruszymy do San Triste, przyjedzie tu Jose Vereal, dowiedzie swej autentyczności i pięciuset jeźdźców na doskonałych koniach puści się natychmiast w pogoń za nami w celu odebrania tego, co według ich mniemania ukradliśmy. Nad tymi pieniędzy ciąży przekleństwo, należą uczciwie do mnie, ale nie mam możliwości dowiedzenia, że mam do nich prawo. Dogonią nas na pewno, zmuszą do powrotu. Stracimy skarb. Zamkną nas w meksykańskim więzieniu, gdzie zgnijemy żywcem.

Zamilkł. Otaczały go pochmurne, zadumane twarze; milczeli.

- Wyjście z sytuacji jest tylko jedno - powiedział nagle zdecydowanym tonem. - Musimy schwytać Vereala.

- Gdybyśmy wiedzieli, dokąd on jedzie, to można zaryzykować - mówił Halsey.

Cel podróży wyznaczył Cabrillo. Musi to być zatem miejscowość, którą zna dobrze. A jaką okolicę zna dobrze Cabrillo? San Triste i swój własny majątek. Na pewno nie kazał mu się zbliżyć do miasta, to byłoby zanadto niebezpieczne. Przekonał się osobiście, że Jan Jones jest człowiekiem, z którym należy się liczyć. Na pewno wyznaczył im miejsce spotkania gdzieś niedaleko swojej posiadłości. Kazał przyjechać Ludwikowi Gaspardowi do jakiejś miejscowości leżącej w pobliżu jego własnego domu. Przyjaciele, zastanówcie się, musimy bezwzględnie spotkać Vereala i Gasparda nim dojadą do miejsca spotkania.

Wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i pośpiesznie naszkicował na nim mapkę.

- Tu między górami leży dom Cabrilla. Można tam dojechać czterdziestoma drogami. Jeśli Vereal i Gaspard przyjadą od północnej strony, nie złapiemy ich i jesteśmy zgubieni. Ale jeśli przyjadą z południa... Widzicie? Tu jest tylko jedna przełęcz przez góry. Do tej przełęczki pojedziemy i tam poczekamy na nich. Jak się ukażą, otoczmy ich. Na pewno będą jechać bez

żadnej eskorty. Pamiętam Gasparda. Za bardzo lubi pieniądze, by wyrzucać je na wynajmowanie przewodników lub służby. A was jest czterech... i bić się umiecie świetnie. Jakże zdoła Vereal pokonać was czterech? Szczęście musiałyby mu dziwnie sprzyjać.

Trzech mężczyzn spojrzęło na siebie błyszczącym nadzieją wzrokiem i uśmiechnęło się. Zamajaczyła im przed oczami zdobycz, która przypadnie każdemu z nich w udziale, otrzymana w postaci przedmiotów "cenniejszych od gotówki".

Mały przez cały czas rozmowy miał wzrok uparcie utkwiony w podłogę.

- Istnieje tylko jedna trudność - odezwał się.

- Jaka? - ostro zapytał Simon.

- Nie możemy się sprzysiąc przeciwko niemu.

- Co takiego?

- Nie powinno dojść do morderstwa - mówił Mały wolno, jakby z trudnością dobierał słowa.

Podniósł oczy na towarzyszy i westchnął.

- Jeżeli może być mowa o uczciwej walce, to co innego. Ale trzech na jednego... to zwykłe zabójstwo.

Simon śmiał się i klaskał w dłonie w paroksyzmie wściekłości.

- Ten diabeł będzie nam tu gadać o uczciwej walce! Słyszycie go!

Trzej mężczyźni wpatrywali się tak uważnie w twarz Małego, jak gdyby zapomnieli o istnieniu Simona.

- Masz rację - odezwał się Halsey. - Ale sam powiedziałeś, że o ile będzie sposobność uczciwej walki, to wszystko w porządku. Chciałbym dostąpić zaszczytu zmierzenia się z nim pierwszy. Jeśli da sobie radę ze mną, to będziecie mogli wy pokazać, co potraficie.

Chrząknął skromnie i dłonią wskazał swój lewy bok.

Wisiał tam futerał, a w nim małe, precyzyjne narzędzie śmierci. Gdy naciskało się cyngiel, wypuszczało siedem czterdziestopięciokalibrowych kul. Na to, by pozbawić życia nieprzyjaciela, potrzeba tylko pewnej ręki, a ręka Halseya była niezachwiana jak skała.

Zdecydowali się więc działać. Wszyscy czterej mieli wyjechać natychmiast w kierunku gór, wśród których leżała posiadłość Cabrilla, i tam mieli czyhać na podróżnych.

Józef Simon został w pałacu Verealów, gdzie stosownie do rozkazów wydanych przez Małego, miano go gościnnie podejmować. Każdy wyjeżdżał osobno i inną drogą; nikomu nie powinno było przyjść na myśl, że jadą na wspólną wyprawę. Marszrutę ich opracował niezmiernie starannie Simon. Mogli jechać różnymi drogami. Gaspard i mały Jose dwanaście lat temu

błąkali się półtora dnia między wzgórzami, nim dotarli do celu. Znając drogę, można było tam dojechać na dobrym koniu w osiem godzin.

Rozeszli się wreszcie, a Mały poszedł do Vasco Cortena.

- Do pałacu przyjechał stary sługa mojego ojca. Trzeba go przyjąć tak, jak gdyby mój ojciec jeszcze żył. Mówię o Józefie Simonie.

Vasco Corteno skłonił się.

- Widziałem go, panie. Smutne czasy nastały znów dla San Triste.

Mały oznajmił mu, że wyjeżdża na dwa lub trzy dni i poszedł wybrać sobie konia. Od dawna nie kwestionowano już w stajniach jego decyzji. Od czasu tej jazdy na gniadym wałachu, nawet Tom Lewen zrozumiał, że teraz nastał pan, który się na koniach "rozumie". Osiodłano więc natychmiast czarnego ogiera Pierre'a i po chwili Jan Jones puścił się wyciągniętym galopem poprzez wzgórze w kierunku gór, których wielki, chłodny, błękitny łańcuch, ciągnął się z południa na zachód.

XX - Trzej wrogowie

- Jedna chwila poświęcona głębokiemu, spokojnemu rozmyślaniu jest więcej warta niż wszystkie skarby tego świata, niż złoto i diamenty - mówił Ludwik Gaspard.

- Ma pan rację, drogi mistrzu - odparł młodzieniec z westchnieniem. - Trudno jednak zebrać myśli, jadąc na tak trzęsącej kobyle.

Gaspard zmarszczył brwi i spojrzał na chłopca, który myślał o sobie, że się nazywa Filip Carwajal.

Na jakich koniach mógłby on jeździć, gdyby posiadał to, co mu się jako Verealowi prawnie należało! Po raz tysięczny zaczął się zastanawiać nad tym, dlaczego Cabrillo zawezwał jego i chłopca do Meksyku. Może bezpośrednim lub pośrednim celem tej wyprawy będzie powrót Josego do jego dziedzictwa, a wówczas jakie zmiany zajdą w stosunku do niego w uczuciach Filipa?

Tymczasem jechali szybko w północnym kierunku i zbliżali się do przełęczy górskiej, która miała ich zaprowadzić do miejsca spotkania wyznaczonego przez Cabrilla.

- Czy można nazwać prawdziwym człowiekiem tego, który przywiązuje wagę do modnych strojów? - spytał Gaspard.

- Oczywiście, że nie - odparł uczeń.

- Czy możemy nazwać szczęśliwym tego człowieka, który ma piękny dom, dużo służby i rozporządza wielką fortuną?

- Według pańskiej nauki - nie.

- A ty sam wątpisz w to?

- Nie, nie wątpię.

- Cóż więc w życiu jest najcenniejsze?

- Sądzę, że jasny, logicznie myślący umysł.

- Całe życie pracowałem nad tym, by taki umysł wyrobić w tobie.

- Był to dowód pańskiej wielkiej dobroci.

- Starłem się uzbroić twój umysł w wiedzę, którą ludzkość zdobywała od wieków, a przede wszystkim wpoić w ciebie męstwo, bez którego najlepszy nawet mężczyzna jest zerem. Jeśli mi się to udało, będę uważał, że dzieło mego życia jest skończone.

- Mistrzu, jakże bym śmiał krytykować cokolwiek? - mówił chłopak. - Byłem nędzarzem, kiedy mnie pan znalazł i tylko dzięki pańskiej nieskończonej dobroci i hojności miałem zawsze co jeść i w co się ubrać. Dostałem wykształcenie i wychowanie. Cóż mógłbym temu zarzucić?

Nauczyciela nie zadowoliła ta odpowiedź; miała ona niestety tak mało wspólnego z prawdziwym stanem rzeczy.

- Synu mój, gdybym był wiedział, że możesz odziedziczyć miliony, przeciwstawiłbym się temu wszystkimi moimi siłami, zabrałbym cię z sobą i zrobiłbym z ciebie takiego człowieka, jakim jesteś dziś - głos starca brzmiał donośnie i energicznie.

Filip kiwnął potakująco głową i ruchem ręki przyznał rację mówiącemu.

- Proszę zapomnieć o tym, co mówiłem o koniu - powiedział pokornie. - To była tylko taka sobie myśl bez znaczenia. Niewątpliwie, jeśli z takiego konia jak ten potrafię wydobyć maksimum jego możliwości, nauczę się przez to obchodzić odpowiednio z prawdziwym wierzchowcem, o ile kiedykolwiek będę miał takiego. Chciałbym na przykład mieć takiego jak ten, tam...

Ścieżką leżącą pod kątem prostym do ich drogi zbliżał się rączy kasztan kierowany niezawodną ręką Piotra Gastona Marmonta. Na skrzyżowaniu dróg spotkał się ze starcem i chłopcem.

- Ten człowiek jedzie na pięknym koniu, z niedbałą swobodą porusza się w siodle, ale nie wiadomo, co kryje się w jego duszy. Czy jego samotne godziny obfitują w spokojne, piękne myśli?

Marmont zatrzymał konia, pozdrowił podróżnych i bardzo pracowicie grzebał coś przy siodle.

- Wystarczy mu, gdy w wolnych chwilach będzie myślał o sobie - odparł domniemany Filip Carwajal, bo doprawdy obiekt jest wart zastanowienia.

Roześmiał się. Nagle Marmont obrócił się ku niemu wściekły jak tygrys; śmiech zamarł na ustach chłopca.

- Jak pan śmie wyśmiewać się ze mnie? - ryknął Marmont.

Filip pochylił się na siodle w niskim ukłonie.

- Przepraszam tysiącrotnie. Nie z pana się śmiałem.

- A z kogo? Z kogo?

Marmont groźnie zbliżył się do Filipa. Stary nauczyciel odjechał trochę na bok, nie jak ktoś, kto obawia się sprzeczki, ale jak ktoś, kto chce się wygodnie i z bliska przypatrzeć widowisku. Bezzębne jego usta rozchylił uśmiech.

- Ostrzegam pana: niech pan z nim nie zaczyna. Ten, z którym pan szuka bójki, nie jest bezbronnym dzieckiem.

- Szczenie, które na równej drodze napada na ludzi - zagrzemiał Marmont i podniósł lewą rękę uzbrojoną w szpicrutę. Prawą trzymał na rękojeści rewolweru.

Marmont nigdy nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co nastąpiło potem. Lewe jego ramię zostało uderzone dłonią Filipa, ciężką jak żelazo, i uderzenie to odjęło mu od razu władzę w rękę. Jednocześnie Filip wbił ostrogi w chude boki konia i zmusił nieszczęśliwe bydlę do szarżowania wprost na pięknego Marmontowego wierzchowca. Kasztan stanął dęba. Marmont

chcąc utrzymać równowagę, chwycił za siodło, rewolwer upadł na piaszczystą drogę, a mocna pięść uderzyła go w szczękę.

Marmonta ogarnęły ciemności. Gdy przyszedł wreszcie do siebie, przekonał się, że tamtych dwóch już nie było, znikł również piękny kasztan. Zamiast niego, stało w pobliżu wychodzone zwierzę ze spuszczoną głową, to samo, na którym jechał zacny Ludwik Gaspard. Z oczu Marmonta trysnęły łzy gniewu i upokorzenia, klęknął u boku konia, podniósł ręce w górę i przysięgał namiętnie, że pójdzie za tropem chłopca, aż do śmierci, i szukać będzie zemsty.

Mamrotał te słowa półgębkiem, bowiem druga połowa jego twarzy była tak spuchnięta, jak gdyby uderzono w nią młotem kowalskim.

- Ten wariat powinien się nauczyć lepiej jeździć konno i lepiej walczyć, zanim będzie szukał następnej okazji do bójki - mówił nauczyciel, rozkoszując się jazdą na kasztanie, którego trzeba było ciągle wstrzymywać, bo koń Filipa nie mógł za nim nadążyć.

Policzki Filipa Carwajala zarumieniły się lekko i oczy mu błyszczały. Byстрым wzrokiem rozglądał się dokoła, miał widocznie ochotę na jeszcze jedno podobne spotkanie.

- Nie był pewny swej broni. W przeciwnym razie kula zakończyłaby prędko walkę - mówił spokojnie Filip.

- Dlaczego ryzykowałeś? Dlaczego nie wzięłeś strzelby do ręki?

- Miałem wrażenie, że skutkiem gwałtownego ataku on i koń stracą równowagę. Ale czy naprawdę mieliśmy prawo zabrać mu konia?

- W tym kraju nie skazałby nas za to żaden sędzia - uśmiechnął się starzec, gładząc jedwabistą szyję konia. - Na skrzyżowaniu dróg napada na nas nieznajomy i wyciąga rewolwer, chcąc ciebie zamordować. Odnieśliśmy zwycięstwo i zabraliśmy mu konia po to, by tym skuteczniej uciec od jego zemsty.

Roześmiał się głośno i zatarł ręce; w głębi duszy obliczał cenę zdobycznego konia. Następnie bieg jego myśli stał się jeszcze pogodniejszy. Wiedział zawsze, że najwybitniejsze talenty marnują się, jeśli człowiek obdarzony nimi nie ma kardynalnej cnoty męstwa. Wielokrotnie umysł Filipa wychodził zwycięsko z różnych prób w jego obecności, ale nigdy dotąd nie widział go walczącego. Był zadowolony.

- Ten chłopak to prawdziwy Vereal - myślał starzec - należy do rasy ludzi nie wiedzących, co to strach.

Droga skręciła ostro w prawo i nagle znaleźli się oko w oko z barczystym mężczyzną jadącym na wspaniałym dereszku, jeszcze piękniejszym niż kasztan, na którym siedział nauczyciel. W ręku mężczyzny widniał automatyczny rewolwer, którego lufa skierowana była na Filipa.

- Muszę, niestety, panów zatrzymać - mówił Halsey. - Proszę podnieść ręce. O tak.

Posłuchali w milczeniu. Kasztan stanął, a brzydkie zwierzę, na którym siedział Filip posunęło się kilka kroków naprzód.

- Trzymaj konia - ostro rozkazał Halsey.

Filip krzyknął na konia, by stanął, ale jednocześnie dotknął niewidocznie ostrogą jego prawego boku. Koń znów przybliżył się.

- To bydlę jest głuche - wołał Filip. - Nie mogę nic na to poradzić, skoro muszę trzymać rękę do góry.

- Lewą ręką niech pan schwyci lejce. Może ją pan spuścić i zatrzymać konia.

Filip stosownie do rozkazu pomalutku, ostrożnie położył rękę na cuglach, zdawało się, że strach sparaliżował jego ruchy.

Halsey widząc, jak bardzo łatwe ma przed sobą zadanie, uśmiechnął się, a Gaspard z grymasem wstrętu patrzył na ucznia; to bezmyślne tchórzostwo zatarło wspomnienie męstwa, które Filip wykazał przy pierwszym spotkaniu.

Wtem lewa ręka Filipa gwałtownym ruchem wyrwała kolt schowany w olstrach koło kolan. Rewolwer wystrzelił.

Ruch ten był tak błyskawiczny, a Halsey tak zaskoczony nim, że nie zdążył nawet nacisnąć na cyngiel strzelby. Kula trafiła go w prawą rękę, między łokciem a ramieniem, i broń upadła na ziemię. Nie miał czasu zebrać myśli. Schwyciły go żelazne ramiona Filipa i z całych sił rzuciły na zeschniętą trawę. Padając uderzył głową o kamień i zemdlał. Tak jak Marmont wrócił po jakimś czasie do przytomności i zobaczył, że nie ma już przy sobie deresza i że jego miejsce zajęło niezdarne bydlę, na którym jechał Filip.

Tamci dwaj odjechali dawno. Droga już nawet nie kurzy się. Przed odjazdem dokonali jednak miłosiernego czynu. Halsey spostrzegł, że jego prawy rękaw został wyrwany i że wkoło zranionego ramienia założono prymitywny, ale porządny opatrunek. Halsey nie przysięgał nikomu zemsty, rana dokuczała mu bardzo; zdecydował przeczekać pierwszy ból. Usiadł więc w cieniu drzewa, oparł się plecami o pień i zapalił papierosa.

- Starzeję się widać i głupieję. Może jednak spotkamy się jeszcze - mruzczał cichutko wypuszczając gęste, bure kłęby dymu.

Filip i Gaspard jechali tymczasem wyciągniętego klusa. Chude szkapki zamienione zostały na wierzchowce wysokiej krwi. Zostawili za sobą dwóch pokonanych wrogów i Filip podśpiewywał sobie wesoło. Gaspard przyglądał mu się pełny głębokiego przekonania, że od początku świata nie było cudowniejszego chłopca.

Duma jego przewyższała dumę rodzicielską. Czuł, że stworzył tego pięknego ducha niemal tak, jak Pan Bóg stworzył pierwszego człowieka.

- Prócz serca - myślał. - Bo on ma prawdziwe serce Verealów: szlachetne, dobre i przede wszystkim nieustraszone.

Wjechali na szczyt niewielkiego wzgórza i spojrzeli w dolinę. Przez krzewy zagajnika mignęła im wysoka postać trzeciego mężczyzny, jadącego ku nim na równie pięknym koniu jak tamci dwaj, którzy chcieli przerwać im podróż.

- Teraz, Filipie, nie możemy już wątpić - mówił Gaspard. - Czyhają na nas wszędzie nieprzyjaciele. Przysiągłbym, że ten trzeci też do nich należy. Bez wątpienia dałbyś sobie z nim radę, ale nie trzeba kusić losu. Może to trzecie spotkanie, po tamtych zwycięstwach, przyniosłoby ci porażkę.

Filip westchnął.

- Dlaczego, mistrzu, w tak szczęśliwym dniu miałibyśmy się obawiać kogokolwiek.

- Dostyc gadania - warknął Gaspard. - Jedź za mną.

Wjechali w gęsty zagajnik i zza krzewów przyglądali się Silasowi Denny'emu, który przejechał mimo nich, ogromny, ponury, wzbudzający lęk.

- To trzeci - szepnął Filip, gdy Denny zniknął mu z oczu. Ilu ich jeszcze będzie?

- Już niewielu - odparł Gaspard wjeżdżając na pagórek i wskazując na leżącą u jego stóp dolinę. - Tu jest cel naszej podróży i nic już teraz nie może nam przeszkodzić w osiągnięciu go.

XXI - W niewoli

Dzień chylił się ku schyłkowi, zapadał zmrok, nie ten ponury, ciężki, ale taki, co obdarza niebo i ziemię uroczym, różowym światłem. Gaspard pokazał uczniowi chatę o bielonych ścianach, zawieszoną hen, daleko na brunatnej górskiej ścianie. Pojechali w tamtym kierunku. Dojechawszy, zsiadli z koni i weszli do chaty.

A tymczasem górską przełęczą pędził Marmont tak szybko, jak tylko pozwalały nogi lichego konia. Po jakimś czasie natknął się na Halseya z podwiązaną ręką, zbierającego się do powrotnej drogi.

- Spotkałem diabła - uśmiechnął się Halsey. - I diabeł zwyciężył. A z tobą co się stało?

- Byłbym go posiekał na kawałki - wykrzyknął Marmont, ale w krytycznym momencie mój koń stanął dęba jak wariat...

- Dalszego ciągu tej historii domyślam się - dokończył Halsey patrząc na opuchniętą twarz Marmonta.

- Nie rozumiesz, że...

- Rozumiem. Miałeś pecha. Ja również. W każdym razie na to, by mnie zmóc, musiał użyć broni palnej, a nie pięści. Marmoncie, bądź szczerzy: pobito nas obu dokumentnie. Przyznaj się!

Zrozpaczony, upokorzony Francuz mruknął coś niewyraźnie.

- To był pech: koń mi stanął dęba. Ale ja się jeszcze z nim spotkam!

- Mam nadzieję, że ten przywilej i mnie przypadnie w udziale. A może w ogóle byłoby lepiej, gdyby się nam obu nie udało? Ten chłopak, Marmoncie, to tygrysiątko.

- Obetnę pazury tygrysowi - mruknął Marmont.

Jechali wąską ścieżyną opowiadając sobie o swoich przygodach i nagle na jakimś zakręcie spotkali Denny'ego na spienionym koniu. Powitali go okrzykami radości i dowiedzieli się, że on przynajmniej nie padł ofiarą Vereala. Chłopak wywiódł go po prostu w pole, więc był jeszcze bardziej zły niż tamci.

- Wydawało się nam, że zapolujemy na królika, a trafiliśmy na lwa - podsumował sytuację Halsey. - Marmonta i mnie bezczelnie przechytrzył i pobił, a z ciebie po prostu zakpił. Zachowaliśmy się jak durnie. Co do mnie, to przyznam szczerze, że zamieniłbym z przyjemnością mój udział w tych trzech milionach, schowanych w pałacu Verealów, na bilet do Nowego Orleanu.

- Dzięki Bogu, jest nas jeszcze tu dwóch i pół mężczyzny. W imieniu tego, co macie najdroższego błagam was: jedźmy jak najprędzej w dolinę i starajmy się ich dopędzić.

- Na tych koniach? - spytał Halsey.

Marmont zaklął, ale Denny poparł jego projekt.

- Jest jedna szansa na sto.

Ale jedna setna szansy w interesie trzymilionowym jest też coś warta. Najlepiej będzie zajechać do tego domku. O tam... Może okaże się nie zamieszkanym, w każdym razie będą mieli dach nad głową. O ile chata jest zamieszкана, zostaną na pewno gościnnie przyjęci.

Przejechali już pół drogi wiodącej z doliny do chaty, gdy do uszu ich dotarł dźwięk świadczący wyraźnie o tym, że domek ma właściciela. Wysoki, dźwięczny, męski głos śpiewał z wielką swobodą, wesołością i pewnym artyzmem, przy akompaniamencie gitary.

- Mówię wam, tu nam dadzą alkoholu - mruknął Halsey, zwilżając językiem zeschnięte wargi i popędzając konia. Nie skarżył się ani słowem na ból w ranie, ale szalał wprost na myśl, że będzie się mógł czegoś napić. Towarzysze jechali spieszenie za nim; przed samym domem zsiadli z koni i zbliżyli się ostrożnie do otwartych drzwi, przez które widać było drgające płomienie rozpalonego w chacie ogniska. W drzwiach zatrzymali się.

Na kominie buchał i syczał ogień, oświetlając wnętrze domu złożone z jednej izby. W trzech jej rogach siedziało na prymitywnej, brudnej podłodze trzech mężczyzn, ręce i nogi mieli związane sznurkami. Naprzeciw tamtych trzech siedział śpiewak; trzymał na kolanach gitarę i głowę odrzucał w tył, chcąc pełnym głosem wziąć wysoki ton. Był to Jan Jones, czyli Mały. Trzej towarzysze byli tak zdumieni, że w milczeniu i bez ruchu wysłuchali piosenki do końca. Wówczas wtargnęli do środka chaty z okrzykiem triumfu.

Mały nie wstał na ich powitanie. Uśmiechnął się tylko do przybyszów i dalej przebiegał palcami struny gitary. Wspólnicy zareagowali na tę nagłą odmianę fortuny w charakterystyczny sposób.

- Szczęście mnie opuściło i przeszło na stronę tego młokosa - mówił Francuz, raczej zmartwiony niż rad z obrotu rzeczy. - To diabelska sprawa.

- Jones, wygrałeś sprawę dla nas wszystkich - powiedział Silas Denny.

A Halsey milczał. Swoim zwyczajem oddalił się nieco i patrzył na towarzyszy jak gdyby obserwował jakąś rodzajową scenkę, która nie ma nic wspólnego z jego osobą.

- Co zrobimy z nimi? - spytał wreszcie.

Mały wstał. Czterej wspólnicy skupili się koło drzwi i zaczęli się półgłosem naradzać nad losem jeńców. Więźniowie nie mogli słyszeć tego, co tamci mówią, ale wiedzieli dobrze, że ważą się ich losy.

- Umarli milczą - odezwał się Denny.

- To prawda - szepnął Marmont.

- Chciałby ich zabić... tak na zimno...? - spytał Halsey.

- Nie... na gorąco - odparł Marmont. - Przypuśćmy, że zdarzyłby się pożar...

Nie skończył zdania i wzruszył ramionami. Bezwiednie wszyscy czterej obrócili się pełni litości i przerażenia ku jeńcom. Tamci zrozumieli z ich spojrzeń, na co się zanosi. Twarz Cabrilla nabrała brudnożółtego odcienia, policzki stały się masą obwisłego tłuszczu, szczęka mu opadła, a oczy latały niespokojnie. Wyglądał jak zwierzę, które prowadzą na ubój.

Stary Gaspard jęknął cicho i popatrzył na ucznia; widać było, że stanęła mu przed oczami zniweczona tym ciosem praca dwunastu lat, wszystkie związane z nią nadzieje; o swoje życie nie dbał na pewno.

Jedynie Jose Vereal zachował się bez zarzutu i nie okazał cienia trwogi. Zrozumiał sytuację równie dobrze jak tamci, ale podniósł głowę i patrzył bez drgnienia powiek na wrogów.

Ten wzrok przeważył szalę w sercu Małego.

- Jeśli macie zamiar urządzić tu rzeź, będziecie musieli dać sobie radę nie z trzema osobami, ale z czterema. Tym czwartym będę ja.

- Słuchaj, chłopcze, napracowałeś się dziś rzetelnie i udało ci się - perswadował mu Si Denny. - Nie wiadomo, jaki obrót weźmie cała sprawa, ale jeśli w końcu wygramy, ty dostaniesz z nas wszystkich najwięcej. Czy chcesz wyrzucić do błota to, co zdobyłeś dla siebie i dla nas?

- Ma rację - przerwał mu Halsey. - Ja proponuję coś innego. Zostanę tu z nimi. Jestem ranny w rękę i w walce małą mogę przynieść korzyść. Marmont może pozostać ze mną. Jones i Denny niech wrócą do San Triste i załatwią tam wszystko jak najprędzej. Trzy dni powinny wystarczyć. Po trzech dniach Marmont i ja damy nura i dopędzimy was. Wówczas ci trzej niech się postarają zerwać swoje sznury. I niech spróbują mieć z nami do czynienia.

- Dogonią nas zanim dojedziemy do rzeki - mówił bardzo poważnie Denny. - Nie będziemy w stanie doprowadzić do granicy karawany złożonej z siedemdziesięciu mułów.

- Należy wymyślić coś dowcipniejszego. W porcie Ulloa stoi mały okręt towarowy. Nawet mułami możecie dojechać z San Triste do Ulloa w dobę. Zatelegrafujcie do Ulloa, wynajmijcie tam stateczek. Nazywa się "Rachel" i jedzie z Nowego Orleanu - zaproponował Halsey. - Jest to statek trzystatonowy, ale pędzi tak szybko jak jacht. Możecie go dostać prawie za darmo. Po trzech dniach, o ile nie przyślecie nam jakichś wskazówek, zostawimy tych drabów i pojedziemy do Ulloa. Nim tam dobrniemy, już będziecie na statku, gotowi w każdej chwili do wypłynięcia w morze.

Marmont położył dłoń na ramieniu Małego.

- Zastanów się - mówił tonem perswazji - jedna kula wykończy tego prawdziwego Vereala i zrobi z ciebie na zawsze właściciela całego majątku. Czy ty też okażesz się takim idiotą, jak Halsey?

Należy przyznać, że w danej chwili Mały nie pomyślał o olbrzymich bogactwach Verealów, a jedynie o piękności Alicji Alverado. Serce w nim zadrzało. Czasem się mówi, że są chwile, kiedy przez oczy ludzkie spogląda szatan, jeśli tak jest, popatrzył on przez jedną straszną sekundę płomiennymi oczami Małego na Vereala. Jose zniósł ten wzrok spokojnie, bez drgnienia powiek. Gdyby siedział u siebie, w gronie gości, nie mógłby być bardziej opanowany. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, w końcu Mały obrócił się do towarzyszy. Był bardzo blady. Zwycięzca został zwyciężony.

- Marmont, ty jesteś diabłem, a nie człowiekiem - szepnął ochryłym głosem. - Vereala nie możemy tknąć. I nie ma o czym gadać. Szczęście odwróciło się od niego, a on nie szepnął ani słowa skargi. To mężczyzna.

Denny i Marmont mruknęli coś niewyraźnie, a Halsey pokiwał potakująco głową. Cofnął się o kilka kroków i przypatrywał się rozmawiającym. Byli tak podobni, że mogli śmiało uchodzić za braci. Mały miał trochę bardziej wystającą szczękę, trochę szersze i wyższe czoło. To były jedyne znaczniejsze różnice między nimi. Poza tym mieli identyczne rysy twarzy i sylwetki.

Silas Denny machnął ręką z rezygnacją i powiedział:

- Jones, wyrzuciłeś precz pięć milionów dolarów.

XXII - Pakowanie skarbu

Nazajutrz rano, jak tylko poczta zaczęła funkcjonować, Silas Denny zabrał się do roboty. Nadał telegram o treści: "Kapitan statku "Rachel", Ulloa. Chcę wynająć "Rachelę" na miesiąc. Proszę podać telegraficznie warunki. Silas Denny. Hotel Rzeczypospolitej". San Triste".

Linia telegraficzna do miasteczka Ulloa nie była tego ranka przeładowana pracą, bo odpowiedź nadeszła prawie natychmiast: "(Rachel" zajęta. Macpherson".

Denny przeczytawszy, wzruszył ramionami.

- Szkot - mruknął - łatwo z nim targu nie dobijemy.

"Potrzebuję "Racheli" koniecznie. Czy niemożliwe jest zerwanie obecnego kontraktu i zawarcie nowego ze mną?" - zatelegrafował.

"Nie" - tak brzmiała krótka, piękna w swej lapidarności odpowiedź.

"Za wynajęcie na miesiąc "Racheli" ofiaruję tysiąc dolarów więcej niż obecny kontrakt" - zadeszczował zgrzytając zębami. I z niecierpliwością czekał, co z tego wyniknie, aż w końcu doczekał się następujących słów: "Za mało".

Widocznie Macpherson zwęszył dobrą gratkę i był gotów zerwać swój kontrakt.

"Ofiaruję dwa tysiące".

Odpowiedź nadeszła momentalnie. Niewątpliwie kapitan Macpherson nie miał zamiaru opuszczać urzędu telegraficznego w Ulloa, zanim nie dobieje targu.

"Moja cena dziesięć tysięcy".

"Pięć tysięcy" - Denny jęknął na myśl o tej sumie.

"Do widzenia" - odparł Macpherson.

"Zgadzam się na dziesięć tysięcy. Zadek gotówką" - zatelegrafował Denny.

"Czekam na rozkazy" - odpowiedziano uprzejmie.

"Załadujemy żywność. Przygotować wszystko do natychmiastowego odjazdu".

"Spodziewałem się tego" - nadeszła ostateczna i nie pozbawiona dowcipu odpowiedź.

- On w ogóle jest za sprytny - mruczał Denny, idąc wieczorem z urzędu pocztowego ulicami San Triste prosto pod górę do pałacu Verealów.

W pałacu rozwinięto dziś nie byle jaką aktywność. Mały wydał odpowiednie rozkazy: z okolicznych ferm i wzgórz sprowadzono trzydzieści pięć mułów. W ostatniej bowiem chwili zdecydowano, że głupstwem byłoby ruszać z miejsca srebro, które stanowiło objętościowo trzy czwarte skarbu, choć wynosiło jedną dziesiątą jego wartości.

Aby przewieźć wszystko to, co ukrył przed dwudziestu laty w podziemnej kryjówce Józef Simon, potrzebowano siedemdziesiąt mułów. Obecnie Mały i Simon ważyli i ładowali w worki jedynie złoto; dwadzieścia dwa muły zupełnie swobodnie mogły przewieźć ten ciężar.

Osiem dodatkowych mułów było w rezerwie - gdyby się któremuś z objuczonych mułów zdarzył jakiś wypadek, cenny ekwipunek przeładowano by na rezerwowe zwierzęta. To była tylko drobna część koniecznych przygotowań. Należało jeszcze zmobilizować dwunastu tęgich, wyborowych chłopów, którzy by doprowadzili muły do Ulloa i pomogli szybko przenieść worki na czekającą w przystani "Rachelę". Niełatwo było znaleźć odpowiednich ludzi.

Oczywiście w okolicach San Triste dużo było chłopów na schwał, ale Józef Simon potrzebował do tej roboty ludzi, którzy by za wynagrodzenie dwukrotnie czy trzykrotnie większe od normalnego, gotowi byli zaryzykować życie. Pod koniec pierwszego dnia znalazł tylko czterech, którzy odpowiadali jego wymaganiom i umówił ich.

Tymczasem nadeszły muły, w porcie Ulloa czekała już "Rachel" i drugi dzień zużyli wyłącznie na wyszukanie ośmiu potrzebnych poganiaczy i na objuczanie zwierząt. Po południu wyjechali.

Przeszło dwie tony złotego piasku zostało wsypane w małe worki z gęstego płótna. Zawartość każdego worka równała się pięćdziesięciu funtom angielskim. Złoto w ten sposób podzielone można było nie tylko równomiernie ładować w worki przytwierdzone do siodeł, ale także potem dawało się szybko przenieść na statek. Mały i Józef Simon nosili te worki z tajemnej kryjówki do pokoju znajdującego się nad nią. Mały widział, jak Simon rzucił ostatni raz okiem na srebro, które musiał zostawić, nie mogąc go dostarczyć na statek, jak oparł się o ścianę i ukrył twarz w dłoniach. Wyszli obaj z kryjówki. Ciężkie drzwi wróciły na swoje miejsce w ścianie. Sprowadzono poganiaczy, wpuszczono ich do pałacu i kazano znosić ładunek.

Domyślali się na pewno, co się tu święci - nie mogło być inaczej. Jedna tylko rzecz na świecie jest równie ciężka, a nawet cięższa od ołowiu i przy tym miękka jak piasek. Nim umocowano na mułach pół tuzina worków, już poganiacze mówili cicho i jakby trwożnie jeden do drugiego:

- Złoto.

- Złoto dla Simona - dodał ktoś widząc, że Józef Simon z niepokojem przypatruje im się z daleka.

Wieść o morderstwie nie biegnie szybciej od wiadomości o ukrytych skarbach. W tajemniczy sposób wydostała się ona poza mury pałacu Verealów. Stoczyła się ze wzgórza i wpadła do San Triste. Jak ogień pędziła ulicami. Zwaliała się na kupca w chwili, gdy wyciągał rękę

po pieniądze klienta, nie pozwoliła kobietom gotować obiadu, przeszkodziła dzieciom w zabawach ulicznych.

- Z pałacu Verealów ma wyjechać dwadzieścia mułów naładowanych złotem dla Józefa Simona.

Tego właśnie chciał uniknąć Simon. W tym celu rozkazał urządzić zbiórkę mułów i poganiaczy, przygotować juki i dopiero gdy wszystko już będzie gotowe, załadować małe worki i pośpiesznie ruszyć w stronę morza. Zanim jednak głowa pierwszego muła wyrzała z pałacowej bramy, wieść o tym obiegła już całe miasto.

- Pałac Verealów wpadł znów w łapy Simona - mówili mężczyźni.

Kobiety kiwały głowami.

- Niechby już lepiej Cabrillo mieszkał tam na wzgórzu niż Simon! Teraz znów przyciśnie nas porządnie.

Simon bojąc się konkretnych rezultatów podobnej gadaniny, chciał otoczyć karawanę jak najściślejszą strażą, ale Silas Denny wytłumaczył mu, że liczna straż będzie miała akurat tyle siły, ile potrzeba na to, by obrabować ich i zatrzymać na miejscu. Wobec tego nie dyskutowali już więcej nad tą kwestią i zgodnie omawiali ostatnie szczegóły.

Biorąc nawet pod uwagę stromość górskiej drogi i konieczność odpoczynkowych postojów, te trzydzieści mil mogły muły przejść w ciągu najwyżej piętnastu godzin.

Wyjechali z San Triste o czwartej i mieli iść całą noc, mogli więc mieć nadzieję, że dotrą do Ulloa najpóźniej na siódmą rano. A tam trzeba będzie oczywiście jak najszybciej przenieść skarb na pokład "Racheli". "Rachela" czekała na nich, nie było co do tego wątpliwości. Dziś jeszcze otrzymał Denny telegram od Macphersona: "Czy życzy pan, aby zwiększyć załogę?"

"Obecna załoga wystarczy. Robota prosta" - telegraficznie odpowiedział Denny.

- W przeciwnym bowiem razie ten Szkot Macpherson, który wydaje się kuty na cztery nogi, zaopatry się w bandę jakichś drabów i wykorzysta sytuację - tłumaczył Simonowi.

Jeśli wszystko pójdzie według ułożonego planu, znajdą się w Ulloa wcześniej niż się tego spodziewają. Prawdopodobnie druga połowa ich kompanii puści się w drogę przez pasmo górskie nocą, oni zaś już przedniego ranka dotrą do Ulloa. Gdy dojadą, statek już dawno będzie pod parą i gotów do natychmiastowego wyjścia w morze. Gdyby podczas podróży dowcipny Macpherson miał ochotę położyć rękę na ładunku wiezionym przez statek, napotkałby opór w postaci czterech świetnych strzelców. Mały oczywiście musiał zostać w San Triste, żeby nie wzbudzać swoim wyjazdem podejrzeń, ale miał nazajutrz po północy wyjechać cichutko z pałacu i popędzić co koń wyskoczy w kierunku Ulloa. Cały ten plan miał według Simona jedno wielkie "ale".

- Za dużo osób działa na własną rękę, a potem wszyscy chcą się spotkać o jednej godzinie w umówionym miejscu. Moi drodzy, to się nie może udać.

- Ta cała heca jest w ogóle niepotrzebna - ponuro zawtórował Denny. - Ale w ostatniej chwili Mały dostał ostrego ataku wyrzutów sumienia. Nie mógł się zdecydować na usunięcie tego szczura Vereala.

I Denny, i Simon patrzyli na Małego wściekłymi oczami, on jednak nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Od czasu powrotu do pałacu w ogóle ani słowem nie skomentował planu. Lojalnie pomógł zorganizować karawanę, muły, pakować złoto. Ale poza tym nie można było nic z niego wydobyć.

- Myślałby kto, że pan nie jest zainteresowany tą wyprawą! Wynająłem nie tylko pańskie ręce, ale i pański mózg.

Siedli już na konie, karawana miała ruszyć. Simon nie mógł się powstrzymać od tych słów, które wypowiedział.

Twarz Małego objął płomień gniewu.

- Niech diabli wezmą pana i pański kontrakt, i wszystko - usłyszeli zdumiewającą odpowiedź. - Skoro już wlałem w to, pomagam uczciwie, ale - na Boga - byłbym najszcześniejszym człowiekiem, gdybym was nigdy nie spotkał!

Cofnęli się przerażeni jak gdyby wymierzył w nich nabitą broń. Jechali dłuższy czas w milczeniu. Daleko, w dolinie, słychać było dzwonki mułów.

- Marmont ma słuszość - powiedział Denny - jeśli mężczyzna szaleje bez żadnej widocznej przyczyny, to jest dziewięć szans na dziesięć, że przyczyną tego kobieta.

XXIII - Jose działa

Pierwszy dzień niewoli Cabrilla i jego dwóch towarzyszy przeszedł bez poważniejszych trudności. Korzystali oni ze względnej swobody. Jedzenia dostarczał im stary pastuch, właściciel chaty. Zastał on pewnego wieczoru dom pełen obcych ludzi, ale Halsey za niewielką sumkę kupił go całego, z ciałem i duszą.

Od tego czasu nie istniał dla niego nikt poza Halseyem.

W ciągu kilku minut dostał sumę pieniędzy odpowiadającą jego rocznemu zarobkowi, wobec tego czuł, że żyje w krainie baśni i że obcuje z czarownikiem.

Marmont i Halsey zapewniwszy w ten sposób aprowizację więźniów, nie mieli zamiaru okazywać im zbyt surowości. Więźniowie mieli ręce związane, ale wolno im było przechadzać się w pobliżu chaty, Marmont i Halsey lub jeden z nich, siedzieli zawsze w pobliżu ze strzelbą gotową do strzału w razie napaści lub próby ucieczki.

Halsey powiedział im szczerze, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Przetrzymają ich tu kilka dni, a potem mogą sobie iść, gdzie im się żywnie podoba, ale Cabrillo i jego towarzysze nie ufali swoim strażnikom.

Ile razy spojrzeli na Piotra Marmonta, którego ładna twarz i postawa przypominała anioła mściciela, tyle razy ogarniały ich poważne wątpliwości.

Jasne było, że nie życzył sobie, by odzyskali wolność, a on tu miał głos decydujący, po prostu dlatego, że Halsey był ranny. Rana jego była czysta i goiła się prędko, kość nie została naruszona, ale gdyby doszło do jakiejś ostatecznej rozgrywki, okazałby się nieprzydatny.

To właśnie zakomunikował Cabrillo towarzyszom spacerującym przed chatą w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. O tej samej godzinie w San Triste muły wiozące skarb schodziły brzęcząc dzwoneczkami ze wzgórza. Gaspard zgadzał się ze zdaniem Cabrilla. Filip Carwajał, stosownie do wskazań nauczyciela, milczał, pouczano go bowiem zawsze, że człowiek młody nie powinien nikomu narzucać swego zdania.

- Panie Vereal! - zawołał Marmont, który pełnił wartę na progu chaty i strzelbę trzymał na kolanach.

Słyszając to wezwanie Filip drgnął i obejrzał się z przerażeniem. Szmata czasu, nowe nazwisko i nowe życie nie wymazały całkowicie z jego pamięci przeszłości.

Patrzył to na Gasparda, to na Marmonta.

- Do kogo on mówi? - szepnął wreszcie.

Gaspard zbladł jak płótno. Wiedział, że spadł na niego okropny cios i strach obezwładnił go zupełnie.

- Do pana! - powtórzył ostrym głosem Marmont.
- Do mnie? - spytał chłopiec.
- Tak jest.
- Nazywam się Filip Carwajal.
- Obecnie. Ale kiedyś było inaczej. Kiedyś nazywał się pan Jose Vereal.

Przeżony Filip spojrział na Gasparda. Wychowano go w mniemaniu, że w Meksyku nie można wymawiać nazwiska Vereal bez narażenia się na wielkie niebezpieczeństwo i że z tego powodu nie mogą nigdy wrócić do ojczyzny.

- Czy pan rzeczywiście nie zna całej tej historii?! - krzyczał Marmont. - Te dwa łotry jeszcze jej panu nie opowiedzieli? Szkoda, bo to ładna opowiadka! Pozwoliliby panu umrzeć bez dowiedzenia się o ich niegodziwości!

Marmont był człowiekiem okrutnym. Przypatrywał się uważnie umęczonym twarzom tych dwóch ludzi i w końcu roześmiał się wesoło.

- Popatrz pan na nich! - rozkazał.

Filip, a raczej prawdziwy Jose, popatrzył bardzo uważnie na swego nauczyciela i zarumienił się: twarz starca wyrażała wstyd i upokorzenie.

- Ten łotr Cabrillo przekupił pańskiego nauczyciela - mówił Marmont. - Dwanaście lat temu mógł pan objąć swój majątek i nikt nie podniósłby ręki na pana. Ale Cabrillo znalazł cenę, za którą można kupić Gasparda i od tamtego czasu płacił mu pensję. Dlatego właśnie nosi pan nie swoje nazwisko. W jaki sposób potrafił Gaspard wytłumaczyć panu konieczność zmiany nazwiska, tego nie mogę zrozumieć. Ot i cała historia opowiedziana pokrótce. Niech pan podziękuje Gaspardowi za to, co zrobił. Słyszałem, że pan go nazywał swoim dobroczyńcą.

Pochylił się i grymas złośliwego oczekiwania wykrzywił mu usta. Jose zwrócił się ku Gaspardowi z okrzykiem przerażenia i wstrętu. Gaspard nie potrzebował potwierdzać prawdy tych słów. Głowa opadła mu nisko, krew waliła w skroniach jak młotem.

Nie wiadomo, jakie zmiany zaszły w uczuciach młodego Vereala, w każdym razie opanował szybko tamtą reakcję. Podszedł do Gasparda i związanymi rękami ujął zwiędłe palce starca.

- Mistrzu, proszę na mnie popatrzeć. Nie trzeba się wstydzić.
- Jose - jęknął Gaspard - zdepcz mnie nogami, przeklnij! Zrobiłem straszną rzecz! Zdradziłem bezbronne dziecko!

- Nie, nie - odparł Jose. - Czy myślicie, mistrzu, że zapomniałem o kuli, która mnie wówczas trafiła i o tym, że pan mnie podniósł i uniósł daleko? - Uratował mi pan życie i miał pan prawo nim dysponować. Nie potępię pana nigdy za to, że pan mną w ten sposób rozporządził.

Przez dwanaście lat był pan moim nauczycielem i ojcem. Czyż mogłem być szczęśliwszy posiadając wszystkie bogactwa Verealów?

Łzy skruchy, radości i ulgi popłynęły po policzkach starca.

- Jose - szepnął - ciężiej mi znieść przebaczenie niż oskarżenie.

Marmont patrzył na tych ludzi ze zdumieniem graniczącym z trwogą. Kilka razy przetarł ręką oczy; wreszcie przekonał się, że nie śni. Przebaczenie nie leżało w jego naturze.

- Czy pan przebacza również Cabrillovi? - spytał zniecierpliwiony.

- Nie prosiłem o przebaczenie - cierpko odparł Cabrillo. - Jeden fakt przemawia na moją korzyść: ja ciebie zaważwałem, Jose, chcąc ci oddać z powrotem majątek. Pamiętaj o tym.

- Zrobił pan to wówczas, gdy już ktoś pana z tego majątku wyrzucił - wtrącił Marmont.

- Nie mam prawa ani ochoty wydawać pośpiesznie sądów o pańskim postępowaniu - mówił Jose do Cabrilla. - Będzie jeszcze na to czas.

Słyszając te słowa, pełne godności i prostoty, Cabrillo mienił się na twarzy; czerwone jego policzki pokryły się krwistymi plamami, zająknął się i nie był w stanie wykrztusić żadnej odpowiedzi. Marmont dał folgę swoim uczuciom zakławszy kilkakrotnie siarczyście, po czym zapadł w ponure milczenie. Miał uczucie myśliwego, który pędził długo za rozszalałą sforą psów goniącą zdobycz i w końcu zastał zwierzynę i psy obcuające ze sobą w braterskiej zgodzie. Zawołał Halseya i spędził z nim wiele czasu na cichej rozmowie.

Trzej spacerujący przed chatą więźniowie słyszeli, jak Marmont tłumaczył coś coraz dobitniej i z coraz większym zapalem Halseyowi i jak ten ostatni protestował.

- Przekonał się, że nie jesteś takim samym dzikim człowiekiem jak on i oszalał do reszty! - mówił Gaspard. - Boję się, przyjaciele, że zbliża się nasza ostatnia godzina. Jeden Bóg mógłby nas wybawić. Jose, Bogu dziękuję za to, że dowiedziałeś się prawdy przed śmiercią i że przebaczyłeś mi.

- Przestań jęczeć, starcze - odezwał się Cabrillo. - Ważne jest to, coś powiedział przedtem. Widzę, że ten diabeł majstruje coś przy swojej strzelbie. Wracajmy do domu. Tu nic nie możemy zdziałać. Wracajmy do domu i jeśli nadejdzie zła godzina, rzucimy się na nich i walczyć będziemy związanymi rękami.

Cabrillo mówił cicho, ale w głosie jego brzmiała determinacja człowieka, któremu nie zależy na życiu. Towarzysze wrócili za nim do domu, nie umieli bowiem wymyślić nic lepszego. Pod kotłem, w którym gotowano zupę, palił się ogień. Jose podniósł żelazny pręt służący za pogrzebacz, uderzył nim kilkakrotnie po płonących kłodach, tak jak zwykli to czynić ludzie zatopieni w myślach i mimo woli zafascynowani blaskiem ognia. Jose niezgrabnie poruszał pogrzebaczem, miał zatamowany dopływ krwi do palców skutkiem ściśnięcia rąk sznurami. Wrócił

wreszcie do swojej ojczyzny, do okolicy, w której byłby niemal królem i właśnie w chwili, gdy miał sięgnąć po te dobra, wpadł w zastawione sidła i grozi mu niechybne zniszczenie. Tak, trudno było w to wątpić. Halsey i Marmont odeszli od drzwi chaty. Słysząc ich podniesione głosy: kłócili się zajadle.

- Wobec tego zrobię to sam! - krzyczał Marmont.

Po brzmieniu głosu Francuza Jose zrozumiał, że zapadł na niego wyrok śmierci. Znowu dotknął kilka razy pogrzebaczem płonących kłód i spostrzegł, że koniec żelaznego prętu, leżący od dłuższego czasu między zwęglonym drewnem, stał się ciemnoczerwony. Na chwilę ukazał się w drzwiach Marmont, trzymając strzelbę w ręku.

- Jeśli będziemy długo czekali, ten stary lis Simon zostawi nas tu, a sam ucieknie - mówił do Halseya, odwracając głowę. - Denny poprze ten plan. Już ja ich przejrzałem. Nie mam zamiaru pozostawić za sobą iskry, od której zajmie się momentalnie cały kraj.

Halsey biegł za nim, chwycił go za ramię i starał się zatrzymać. Słyszeli, jak Anglik mówił coś błagalnym, zrozpaczonym głosem i Ludwik Gaspard, który znał język angielski równie dobrze jak własny, padł na kolana.

- Moi drodzy, wkrótce umrzemy - szepnął. - Jose, dziecko moje, poleć swoją duszę Bogu. Powiedz mi...

Jego drżący głos zamilkł nagle, zobaczył bowiem, że Jose wyjmuje z paleniska żelazny pręt. Z rozżarzonego do najjaskrawszej czerwieni końca pogrzebacza posypały się iskry. Jose skinął na Cabrilla. Grubas zrozumiał to skinienie, zbliżył się, wciągnął mocno w płuca powietrze i pełen nadziei wyciągnął ręce. Sznur krępujący ręce Cabrilla zawiązany był na mocny węzeł. Do tego węzła Jose przytknął gorące żelazo. Wzniósł się cieniutki słupek dymu. Pochylił się nad nim Cabrillo i potężnym oddechem zamienił go w gęstą chmurę.

Coś cichutko trzasnęło raz i drugi, ręce Cabrilla rozłączyły się, sznur opadł na podłogę. Nie wymówiono ani słowa. Marmont zbliżał się do drzwi ciągnąc za sobą Halseya. Sprzeciw towarzysza doprowadził go do paroksyzmu furii. Jednym susem znalazł się Cabrillo pod ścianą pokoju i z wiszącej tam pochwy wyrwał rewolwer. Obrócił się ku Josemu i przytknął lufę rewolweru do sznurów, które związywały jego ręce i zakończone były, pomiędzy dłońmi, ogromnym węzłem. Wystrzał z kolta rozerwał sznury, które opadły na ziemię i w chwili gdy Marmont z okrzykiem grozy stanął w drzwiach, Jose zdążył już schwycić za broń.

We wnętrzu domu znajdowało się dwóch uzbrojonych mężczyzn, świetnie umiejących się bić, o sprawności jednego z nich miał już okazję przekonać się. On sam był uzbrojony tylko w strzelbę, broń niestosowną do walki na tak bliską odległość, a za nim stał Halsey, ranny, więc mało przydatny. Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Marmonta w ciągu ułamka sekundy, gdy

stanął w drzwiach chaty; błyskawicznie skoczył w bok: dzięki temu uniknął kuli Cabrilla, która utknęła w ścianie, tuż przy drzwiach. W jednej chwili znalazł się Marmont poza narożnikiem domu, obok niego stanął Halsey. Nie było czasu na słowa. Nie trzeba się było porozumiewać. Dwa strzały wewnątrz domu wyjaśniły wszystko. Szczęściem dla nich trzymali zawsze w pogotowiu osiodłane dwa najlepsze konie. Wskoczyli na nie, spięli ostrogami, położyli się na łbach wierzchowców. Mknęli jak strzały po spadzistym zboczach góry, a spod kopyt końskich leciały kamienie i odłamki skał.

Cabrillo tymczasem wypadł na próg chaty. Gdyby się był domyślił i spojrzął na strzelbę zostawioną przez Marmonta, ucieczka tamtych dwóch nie trwałaby długo, ale oślepiiony radością nagłego zwycięstwa strzelał za nimi z rewolweru dopóty, dopóki starczyło naboju. Rewolwer nie był odpowiednią bronią do użycia na tę odległość i do tak szybko mknącego celu.

W końcu z dzikim okrzykiem rzucił rewolwer i chwycił za strzelbę. Ale nieprzyjaciele znajdowali się już na końcu górskiego zbocza. Pomimo to uważnie skierował ku nim długą lufę i wziął ich na muszkę. Już miał nacisnąć na cyngiel, gdy wtem czyjaś ręka popchnęła gwałtownie strzelbę, która wypaliła w górę.

Cabrillo popatrzył na Josego Vereala.

- Jeden z nich okazał się w ciężkiej chwili naszym przyjacielem - mówił Vereal. - Mogłeś trafić w niego; ryzyko było zbyt wielkie.

XXIV - Grenacho

Jechali we trzech: Cabrillo, nauczyciel i Vereal. Dziwnym zdarzeniem losu cel, do którego dążył Cabrillo był jednocześnie celem, ku któremu zmierzał tak bardzo przez niego skrzywdzony człowiek. Obecnie pragnął tylko jednego: pobić Małego i jego trzech towarzyszków. Chcąc to osiągnąć, służył całą duszą i sercem prawdziwemu Verealowi. Galopując, układali plany. Zatrzymując się w posiadłości Cabrilla, zmieniają konie na lepsze i prędko przejadą przez pasmo wzgórz, pragnąc możliwie jak najwcześniej stanąć w San Triste.

Z majątku Cabrilla zabiorą z sobą kilku wybranych ludzi, prawdziwie dzielnych, bitnych chłopów. W San Triste ustalą dzięki świadectwu Gasparda tożsamość Josego, choć będzie to wielkim upokorzeniem dla starca, i powiększą swoje siły. Najważniejszą sprawą był pośpiech i jeszcze raz pośpiech, bo tymczasem Marmont i Halsey pędzili ciemną nocą do San Triste, aby ostrzec tam kogo należy. Tak sobie kombinowali. Nie mogli bowiem wiedzieć, że dwaj zbiegowie jadą w kierunku Ulloa. Gdyby ich celem było San Triste, Cabrillo byłby ich z pewnością dopędził, znał bowiem doskonale wszelkie ścieżki znajdujące się między jego posiadłością a San Triste i jadąc odpowiednimi skrótami mógł zaoszczędzić wiele mil drogi.

W majątku Cabrilla zatrzymali się tylko na pięć minut, dostali nowe konie, napili się wódki i pogalopowali zabierając z sobą trzech ludzi z Cabrillowej służby. Właściciel wydał rozkazy, żeby spośród jego ludzi z okolicznych chłopów wybrano wszystkich tych, którzy chcieli zaryzykować życie dla pieniędzy lub dla miłości przygód. W ten sposób można było zmobilizować około pięćdziesięciu, a może i stu dobrze jeżdżących konno i świetnie strzelających chłopów. Gdyby w San Triste doszło do walki, a było to bardzo prawdopodobne, ci ludzie mogli stanowić siłę rozstrzygającą o całości sprawy.

Przez pasmo wzgórz jechał teraz malutki szwadronik złożony z sześciu osób, a choć tempo jazdy było dość szybkie, Ludwik Gaspard nigdy nie pozostawał w tyle. Stary już był, to prawda, ale przez połowę swego życia był doskonałym jeźdźcem, a tej nocy dodawała mu sił dziwna mieszanina uczuć, składająca się ze wstydu, żalu i radości. Nie myślał o starości i zmęczeniu. Wiedział jedno: Bóg zesłał mu sposobność walczenia w sprawie młodego pana i gdyby sądzone mu było paść z wysiłku, czułby się najszcześniejszym z ludzi.

Jechali już bez wytchnienia od czterech godzin, popołudnie zamieniło się w piękny wieczór i mrok pokrył błękit i purpurę gór. Posuwali się krętymi ścieżkami, często niewidocznym prawie szlakiem, bo Cabrillo, wierny danej obietnicy, prowadził ich skrótami, co zaoszczędziło im wiele mil drogi.

Pędzili na przełaj wzgórzami, gdy wtem spoza skał wysunęli się jacyś jeźdźcy. Cabrillo i jego towarzysze ściągnęli z okrzykiem trwogi uzdy koniom i rzucili się w prawo. Wyrósł przed nimi szereg jeźdźców. Zawrócili w miejscu i chcieli się cofać, ale inna grupa konnych zatarasowała im drogę. Krótko mówiąc, wpadli w pułapkę, która zatrzasnęła się nad nimi ze wszystkich stron. Nim zdolali się opamiętać, z gardła dwudziestu bandytów wyrwał się dziki indiański okrzyk: Grenacho!

Ten bojowy zew sparaliżował zupełnie trzech Cabrilloych ludzi. Zbili się w kupę i krzyczeli ze strachu. Cabrillo zachowywał się podobnie. Z całego tego towarzystwa tylko dwóch ludzi stawiało godnie i odważnie czoło niebezpieczeństwu: Gaspard i Jose Vereal. Starzec szybko i zręcznie podjechał do ucznia.

- Jose, czy pamiętasz z dziecinnych czasów nazwisko Grenacho?

- Jak koszmar. To morderca i złodziej, prawda?

- Tak, ale życie zawdzięcza twemu ojcu. Grenacho nie jest niewdzięcznikiem. Pamięta to na pewno. Zawołaj go, Jose, i zapoznaj się z nim.

Zbóje otoczyli tymczasem ciasnym kołem swoje ofiary, lufy ich strzelb błyszczały w świetle księżyca. Nie było mowy o żadnym oporze. Na dany rozkaz towarzysze Josego podnieśli sztywno ręce do góry. Jose podniósł je również, ale zmusił konia do zajęcia pierwszego miejsca na czele oddziału.

- Grenacho! - zawołał. - Czy nie ma tu między wami Grenacha?

- Jestem - odezwał się niski głos. - Kto mnie woła? - Ku Verealowi podjechał mężczyzna tak potężnych rozmiarów, że zwinny mustang, na którym siedział, wydawał się kucykiem. Podjechał bliźutko i pomimo głębokiego cienia, który rzucało mu na twarz szerokie rondo sombrera, Jose dojrzał jego brutalne, odpychające rysy.

- Nazywacie się Grenacho?

- Tak. A kim pan jest?

- Pańskim przyjacielem.

- Jestem przyjacielem każdego podróżnego, który ma dobrego konia i pełną kiesę - roześmiał się Grenacho. - Lubię z podróżnymi rozmawiać i dlatego zatrzymuję ich na drodze. Jak się nazywacie, przyjacielu?

- Jose Vereal.

- To kłamstwo! - wykrzyknął zniecierpliwiony Grenacho. - Jose Vereal odesłał Simona i śpi spokojnie w San Triste. Pan jest odważnym człowiekiem, ale ja jestem dobrze poinformowany.

- Ten, którego nazywacie Verealem jest oszustem.

- Każdy w San Triste umrze chętnie za niego - rzekł Grenacho. - Lubię sobie pożartować tak jak i inni ludzie, ale pan trochę za wiele gada. Ten, który nazywa Vereala kłamcą, obraża i mnie; niech pan sobie to zapamięta.

- Mówię prawdę i mam na to dowody - odparł spokojnie Jose.

- Nie jestem uczony i czytać nie potrafię.

- To nie papiery. To ludzie, których trzeba wysłuchać.

- Jacy ludzie?

- Manuel Cabrillo.

Grenacho roześmiał się znowu.

- Cabrillo narobił dosyć zła Verealom i może ich jeszcze raz zdradzić! Cóż warte jest słowo Cabrilla? Tyle co to! - Głośno trzasnął palcami.

- Jest tu jeszcze ktoś, w którego słowo nie możecie wątpić.

- Jak się nazywa?

- Powiedźcie mi, Grenacho, kto dwanaście lat temu, gdy zaatakowano pałac Verealów, znajdował się u boku Josego Vereala?

- O tym wie cały świat: stary Francuz.

- Czy poznalibyście jego twarz?

- Jak własną.

- Gaspard - zawołał Jose.

Nauczyciel podjechał wolno.

- Mistrzu zdejmijcie kapelusz i pozwólcie blaskowi księżycy oświetlić wasze rysy.

Gaspard posłuchał rozkazu i podniósł ku niebu wychudzoną, starczą twarz.

Stłumiony okrzyk wyrwał się z ust Grenacha:

- Madre di Dios! - zawołał. - Umarli zmartwychwstają i chodzą! To Gaspard.

- Czy uwierzycie, Grenacho, jego słowom?

- Głupi bym był, gdybym mu nie uwierzył! Ale to chyba sen. Gaspard umarł dwanaście lat temu. A jednak to on!

- Proszę mu opowiedzieć wszystko - rozkazał Jose.

Nauczyciel z wielką prostotą i spokojem opowiedział prawdę. Gdy skończył, Grenacho przeżegnał się.

- Niech dobry Bóg raczy mnie oświecić - powiedział. - Jeśli to oszustwo, nim ranek nadejdzie będą tu same trupy. Chciałbym jeszcze zobaczyć pańską twarz.

Jose zdjął sombrero. Oczom Grenacha ukazał się pokrzwawiony bandaż, delikatne rysy, spokojny uśmiech człowieka pewnego siebie i słuszności swojej sprawy. Grenacho podjechał bliżej. Jedno spojrzenie wystarczyło mu.

- El Vereal! - wykrzyknął.

Okrzyk ten odbił się echem w sercach jego podwładnych, którzy nie otrzymawszy pozwolenia dowódcy, wstrzymali się dotąd od grabieży. Zachowali się posłusznie.

- Czy wierzycie mi? - spytał Jose.

- W pałacu Vereala mieszka brat pański, a może duch?

- To oszust, Grenacho.

- Ale ludzie w San Triste kochają go. Nauczył ich tego. W głowie mi się kręci.

- Tak, to człowiek mądry i odważny. Spotkałem go już - mówiąc to podniósł rękę do bandaża, opasującego mu czoło.

- Czy pozwolił panu tak swobodnie odjechać?

- Zostawił mnie pod strażą. Dzięki niebu i sprzyjającym okolicznościom uciekliśmy wszyscy trzej. Przyznaję, że to dzielny człowiek. Przyznaję, że atakować go jest rzeczą niebezpieczną. I dlatego właśnie cieszę się, że was spotkałem, Grenacho. Pytam się was w imię pamięci mego ojca: pojedziecie dziś w nocy ze mną do San Triste?

- Pojadę - zawołał Grenacho, którego ostatnie wątpliwości rozwiały się pod wpływem prostoty i szczerości tych słów.

- Pojadę tam z moimi ludźmi i jeśli dojdzie do walki, przekona się pan, co potrafi Grenacho i jego towarzysze. Prowadź nas, panie. Wydadź ludziom odpowiednie rozkazy. Zawyją jak wilki w zimie, gdy natrafią na trop zwierzyny. Jedźmy! Przede wszystkim musimy złapać tego człowieka w pałacu Verealów. A potem musimy odzyskać skarb, który on wysłał dziś z Simonem. Do stu tysięcy diabłów! Gdybym był wiedział, że to są pieniądze prawdziwego Vereala!

- Grenacho, jeśli mi pomożecie wrócić do mojego domu w San Triste i odzyskać to, co prawnie należy do mnie, cały ten skarb jest wasz, aż do ostatniego peso, choć nie wiem, jaką przedstawia wartość.

Zbój wydał ochryply okrzyk zachwyty i zawrócił konia. Na jego wezwanie podwładni natychmiast skupili się koło niego. Jose i Gaspard odjeżdżając słyszeli poza sobą grzmiący głos, którym Grenacho tłumaczył swoim towarzyszom, o co chodzi. Nie mogło być wątpliwości co do rodzaju uczuć, które ci ludzie żywią do Vereala.

Grenacho dotrzymał obietnicy: przeraźliwy ryk towarzyszył zakończeniu jego przemowy. Było to więcej niż się Jose mógł spodziewać: krew zastygła mu w żyłach. Ten okrzyk przypominał rzeczywiście wycie pędzących za zdobyczą wilków.

Zjeżdżali teraz ze wzgórza, a za nimi toczyła się lawina złożona z wyrzutków społeczeństwa, ze zbójów i złoczyńców.

XXV - Jedyny przyjaciel

Córka Alverada obudziła się nagle. Od niedawna spała dziwnie lekkim snem, a tej nocy leżała cichutko z otwartymi oczami i krew pulsowała jej w skroniach. Umysł odzyskał natychmiast pełnię świadomości, zdawała sobie doskonale sprawę z tego, dlaczego sen jej został przerwany.

Obudził ją stuk kopyt końskich i następująca po nim nagle cisza.

Błahsze przyczyny budziły ją od kilku nocy, od tego pamiętnego wieczoru, kiedy to jej ojciec spokojnym, chłodnym głosem powiedział następujące słowa:

- Wyjdzie za mąż za tego, któremu została obiecana: poślubi Cabrilla lub umrze dziewicą. Bóg mi dopomoże w dotrzymaniu mego słowa. A co do tej urojonej sympatii, musi o niej zapomnieć.

Głos ojca brzmiał jak wyrok losu. Od tego czasu spokojne życie Alicji stało się udręką. Drobne fakty nabierały wielkiej wagi. Monotonnie tykający zegar zdawał się ciągle powtarzać słowa Fryderyka Alverado. Nawet matka stała się osobą, której należało unikać. Gdy Alicja spoglądała w lustro, widziała w nim odbicie obcej, bladej, śmiertelnie przerażonej twarzy.

Teraz leżąc w łóżku i drżąc cała od przyspieszonego, niespokojnego bicia serca słyszała, jak na dzwonnicy kościelnej biła dwunasta: słodka melodia, kurant złożony z długich, łagodnych dźwięków, potem głębokie, poważne uderzenie wielkiego dzwonu. Pamiętała, że dawniej uderzenia te zdawały się następować prędko, jedno po drugim, ale teraz i w niej coś się zmieniło; życie pulsowało szybciej i pomiędzy jednym uderzeniem a drugim, można było przemyśleć sprawę śmierci lub życia. Wysunęła się z łóżka, włożyła ciepłe pantofelki, otuliła się jedwabnym, stebnowanym szlafrokiem i podeszła do okna. Ściany jej pokoju były tak grube, że nie mogła wyrzeć na ulicę; musiała uklęknąć na parapecie. Ujrzała scenę, która nie dawała jej spokoju we śnie. To, co zobaczyła, przejęło ją ogromnym strachem.

Daleko hen, aż do końca ulicy stali dwójkami, trójkami i czwórkami jeźdźcy. Konie stały nieruchomo, kiwając niespokojnie głowami, zaś jeźdźcy byli pełni oczekiwania. Co to mogło znaczyć?

Ktoś zastukał do bramy, która zamykała na noc arkady wiodące do wewnętrznego dziedzińca ojcowego pałacu. Słyszała, jak stróż nocny pytał zaspanym i mocno wystraszonego głosem:

- Kto tam?

- Gdzie jest Fryderyk Alverado? - spytał ktoś ochrypłym basem.

- Śpi, tak jak wszyscy porządni ludzie o północy.

Boże drogi! Ten dzwon z kościelnej wieży bije jeszcze! Vereal fundował dzwony. Matka opowiadała, że pochodziły z jakiejś starej katedry i że były bardzo sławne.

- Otwieraj natychmiast, ty szurcze! - krzyczał ktoś na ulicy. - Ja cię tu nauczę grzeczności!

- Otwórz, mówię ci, bo wyłamie zamek.

Tym razem strachy nocne i nagłe obudzenie zwiastowały niebezpieczeństwo! Alicja uspokoiła się. Ręce jej przestały drżeć, poszła do niewielkiej ubieralni przylegającej do sypialnego pokoju i zaczęła się prędko ubierać.

Czuła się prawie szczęśliwa, bo myśli jej oderwały się od własnej osoby. Zastanawiała się, co mogło tu sprowadzić tych uzbrojonych ludzi i jakie nieszczęście groziło jej kochanym. Bo pomimo wszystko, kochała szczerze tę praktyczną, wyrachowaną matkę i tego surowego ojca. Wreszcie była gotowa. Otworzyła drzwi pokoju. Dom obudził się. Widać, że i inni jego mieszkańcy usłyszeli hałas na ulicy i tak jak ona ubierali się lub nadśluchiwali.

- Tędy proszę. Zaufajcie mi, wysłucham wszystkiego, co macie do powiedzenia - usłyszała poważny głos ojca.

Wsunęła się na korytarz. Szła po omacku ciemnymi schodami, aż zatrzymała się przy uchylonych drzwiach wiodących do biblioteki. Było już tam kilkunastu uzbrojonych mężczyzn i jej ojciec kompletnie ubrany. Alverado lubił się udawać późno na spoczynek i na pewno nie spał jeszcze, gdy go zawołano. W pokoju paliły się jasno lampy. Widziała dzikie, nie ogolone twarze. Połowa obecnych nie wykazywała zbyt dużego szacunku dla miejsca, w którym się znaleźli; nie zdjęli nawet kapeluszy. Na widok szczupłej, młodej postaci serce jej zabiło mocno i różowa mgła zaćmiła wzrok. Gdy się obrócił twarzą do niej, wahała się jeszcze przez chwilę: tacy byli do siebie podobni! Nagle zorientowała się. To nie był on! Twarz, którą miała tuż przed sobą była jednak dziwnie podobna do tamtej, postać miała tę samą wysmukłość, ten sam wdzięk. A jednak różnica istniała. Ten, którego rysy pamiętała tak dobrze, miał ostrzej zarysowany profil, szlachetniejsze czoło, więcej ukrytej siły w linii ramion.

Na pierwszy plan wysunął się teraz bardzo stary człowiek. Wyróżniał się spośród otaczających go ludzi, przyjemnie było spojrzeć na niego. Miał szlachetną twarz, której nie oszpecił późny wiek. Musiał być albo chory, albo niezmiernie zmęczony. Młodzieniec z wielką pieczołowitością pomógł mu usiąść.

- On panu złoży żądane dowody - powiedział.

- Wygląda na zanego człowieka, dziwię się tylko, że się znalazł w takim towarzystwie - odparł bez wahania ojciec.

Zimnym, uważnym wzrokiem popatrzył na brodatych włóczędów. Mruknęli coś, byli wściekli, ale nie odpowiedzieli nic. Setki już razy słyszała, jak ojciec w ten sposób ubliżał ludziom,

a oni nie potrafili nigdy wziąć odwetu na nim. Było coś w jego sposobie bycia, co uniemożliwiało wszelkie odruchy gniewu.

- Pan może słyszał ongiś moje nazwisko? Zresztą nie było to znów tak dawno temu! Nazywam się Ludwik Gaspard.

- Ludwik Gaspard - szepnął ojciec. - Nie, nie pamiętam - zaprzeczył ruchem głowy.

- Proszę, niech pan sobie przypomni. Wówczas widywałem pana często w pałacu Verealów i pan często widywał mnie!

- Doprawdy? - Alverado pochylił się i zaczął studiować twarz starca jak gdyby była stronką ulubionej książki. - Mgła zaczyna się rozpraszać. - Ma pan słuszność. Widywałem pana kiedyś i uważam nawet, że lata mało zmieniły pański wygląd. Zechce pan powtórzyć raz jeszcze swoje nazwisko?

- Ludwik Gaspard.

- Na Boga! - wykrzyknął Alverado. - Pan był nauczycielem małego Josego, który znikł wówczas w nocy, gdy go wygnano z San Triste. Czy tak?

- Tak jest.

- Nareszcie dowiemy się prawdy. Czy żyje? Czy zginął w pogromie?

Starzec spuścił głowę. Alicja widziała, że oddycha szybko jakby pod wpływem wzruszenia. W końcu zaczął opowiadać przedziwną historię. Nie mogłaby w nią uwierzyć, gdyby nie wyraz twarzy ojca, pełen głębokiego przejęcia i ufności. To, w co on uwierzył, musiało być prawdą, nie był bowiem skłonny do łatwowierności.

W końcu Alverado zerwał się z krzesła, wskazał na młodzieńca tak bardzo podobnego do dobrze znanej jej postaci i zawołał:

- Kto to jest?

- To on - odparł starzec. - Jose Vereal.

Nie widziała już, co ojciec zrobił. Ogarnęła ją nagle ciemność; bez sił i życia upadła na stopnie schodów.

Gdy się ocknęła, czuła się starsza o całą wieczność, choć od czasu, gdy usłyszała straszną wiadomość upłynęła zaledwie króciutka chwila. Każde uderzenie serca mówiło jej:

- Twój Vereal to kłamca, oszust i zdrajca. Oszukał cię, oszukał twoją miłość!

Nie mogła wstać. Czuła się słaba i chora, leżała więc z otwartymi, na pół przytomnymi oczami i widziała jak przez mgłę poruszających się w bibliotece ludzi. Widziała, jak jakiś zbój w średnim wieku położył rękę na ramieniu ojca i rozmawiał z nim tym samym szorstkim głosem, który domagał się otwarcia bramy.

- Przede wszystkim musimy iść do pałacu Verealów - mówił ojciec zdecydowanym głosem. - Tam kula zakończy życie oszusta. Wówczas pojedziemy odebrać skarb, który ten łotr wysłał pod opieką Simona.

- Zgoda, ma pan rację, tak trzeba zrobić - mówił stojący koło ojca potężnych rozmiarów człowiek. - Ale trzeba jeszcze wziąć pod uwagę różne inne rzeczy. Gdy wjedziemy do pałacu Verealów, możemy się znaleźć raptem w gnieździe os. Ten oszust, to bohater i człowiek, który umie świetnie walczyć. Musimy wpierw zwołać ludzi na pomoc. Jeśli pan ich zawezwie, panie Alverado, wielu walecznych stanie tu natychmiast z bronią. Panie Cabrillo, pan też może nam dopomóc.

Cabrillo! Jak ostrze noża przeszło ją to imię. Zobaczyła brutalną twarz, tłuste ramiona! Uczucie wstrętu dodało jej sił: wstała. Wiedziała już, że nie może wrócić do swego pokoju.

Ta falanga niebezpiecznych, świetnie uzbrojonych ludzi, z jej własnym ojcem na czele, miała zdobyć wzgórze, na szczycie którego stał pałac Verealów, i dokonać zamachu na życie bezimiennego człowieka, który wyznał jej, że ją kocha. Ogarnęła ją ogromna litość i współczucie. Tłumaczyła sobie, że to nie może być miłość; wszak była osobą rozsądną i powinna nienawidzić zdrajcy! A jednak naprawdę widziała oczami duszy tylko dwa obrazy: pochylającą się nad nią twarz na Plaża Munizipale i ciężką, szerokoszczeką fizjonomię Cabrilla.

Cichutko zbiegła schodami na dziedziniec, stamtąd do zabudowań gospodarczych, do stajen. W kącie ziewał zaspany chłopiec stajenny. Nie zwróciła na niego uwagi, on również nie spostrzegł jej. W boksie stała jej gniada klacz, Julietta. Przywitała panią pieszczotą aksamitnego pyska i cichym rzeniem. Alicja prędko osiodłała ją, założyła uzdeczkę i wyprowadziła ze stajni bocznymi drzwiami, które otwierały się wprost na ulicę. Wsiadła. Ostro kute kopyta Julietty zadudniły po bruku. Alicja pomknęła w kierunku pałacu Verealów.

XXVI - Kim jest Jan Jones?

Co ona zrobi dojechawszy do pałacu? Czy może wyjawic swoje nazwisko i pozwolić, by oglądała ją służba? Nie... Chyba umrze ze wstydu... Owszem, postąpi tak właśnie i nie wyda jej się to upokarzające. Rączką szpicruty uderzyła w zamkniętą bramę. Odezwał się głos służącego.

- To ja, Alicja Alverado - zawołała. - Zaprowadź mnie natychmiast do twego pana. Chodzi tu o śmierć lub życie, o śmierć lub życie.

Na dźwięk jej imienia otworzyłyby się szeroko każda brama - nawet jeszcze masywniejsza od tej. Rozwarły się ciężkie podwoje. Patrzyła teraz w czyjaś przerażoną i zdumioną twarz.

- Prędeż, prędeż.

Błyskawicznie zsunęła się z siodła i szła śpiesznym krokiem za nieszczęsnym portierem. Weszli do pałacu. W wielkim mrocznym holu, oświetlonym skąpo, musiała zaczekać. Tuż nad nią wisiała głowa jelenia, rogi jego błyszcząły w świetle lampy, a sztuczne oczy patrzyły na nią uważnie. Niedaleko stało krzesło, a za nim zaczynała się duża klatka schodowa. Reszta tonęła w ciemnościach. Pokój ten wydawał jej się grobowcem, czekającym na śmierć męznego człowieka. Podeszła do framugi okiennej chcąc nocnym powietrzem ochłodzić twarz. Przed nią, w księżycowej poświacie, leżała biała plama San Triste. Wydało się Alicji, że słyszy daleki grzmot, coś jakby tupot wielu końskich kopyt u podnóża wzniesienia, na którym stał pałac. A może to jej przerażone serce tak mocno biło? Kiedyż on nadejdzie? Przyszedł wreszcie. Ubierał się widać pośpiesznie. Oczy jego były pełne powagi i radości, zauważyła jednak, że na twarz padł cień nowych trosk. Nie traciła czasu, zaczęła od razu mówić drżącym głosem.

- Prawdziwy Vereal przyjechał. San Triste powstaje w jego obronie; wielu ludzi stara się o to, między innymi mój ojciec. Pomaga mu banda opryszków. Jeśli życie panu miłe, niech pan ucieka.

Zanim mógł ją dosięgnąć, stała już w drzwiach. Ruchem ręki zatrzymał ją, a choć nie dotknął jej wcale, cofnęła się. Drżała cała z radości, że jeszcze chwilę pozostanie z nim, że nie nadszedł jeszcze koniec.

- Ma pan rącze konie - ciągnęła dalej. - Niech pan wybiera najszybszego i niech pan jedzie.

- Dowiedziała się pani prawdy?

- Całej, całej prawdy.

- Pani wie, że moje życie w San Triste było jednym wielkim oszustwem.

- Wiem, wiem.

- A jednak w swej niezmiernej łaskawości przyjechałaś mnie ostrzec?

- Nie mamy czasu na takie rozmowy. W każdej chwili...

- Posłuchaj. Co znaczy dla mnie gniew San Triste i jego strzelby? Przysięgam ci, że nie.

- Ależ oni się zbliżają. Posłuchaj. Wydaje mi się, że słyszę stukot końskich kopyt i...

Podniósł głowę; pochylił się we framudze okiennej i patrzył na miasto. Oczy mu płonęły, twarz miała niezłomny wyraz odwagi i zdecydowania.

- Niech przyjdą - mówił. - Nie zastaną mnie już. Mój koń jest osiodłany i gotów do jazdy, z tym koniem nikt z nich nie może iść w zawody, nawet na przestrzeni jednej mili. Oni są dla mnie niczym. Gdybym mógł zdobyć ich miłość, przysięgam ci, Alicjo, z całą słuszością mogliby wówczas twierdzić, że do pałacu powrócił prawdziwy Vereal. Ale ich nienawiść nie obchodzi mnie ani trochę.

- Błagam, niech pan jedzie.

- I zostawię cię w nieświadomości tego, kim jestem? Nie. Gdyby już szturmowali bramę i zdobywali dziedziniec, jeszcze bym tu pozostał, żeby ci wszystko wytłumaczyć. Choć wysłuchawszy tego, co chcę powiedzieć, na pewno nie będziesz miała dobrej opinii o mnie. A może nawet znacznie gorszą. Musisz jednak dowiedzieć się prawdy w imię mojej miłości do ciebie.

Cofnęła się instynktownie, wyciągnęła rękę, chcąc oprzeć się o ścianę, ale nie mógł dojrzeć tego ruchu i zrozumiał, że wdryga się przed nim ze wstrętem. Zbladł jak płótno.

- Nie mogę się już niczego spodziewać - powiedział. - Pogardzasz mną i nienawidzisz, Alicjo. Bóg widzi, że dałem ci ku temu dostateczne powody. Chcę jednak, byś wiedziała, jaką drogą doszedłem do tego. Opowiem ci tę dziwną historię.

Dwa lata temu opuściłem wyższy zakład naukowy, a ponieważ groziły mi suchoty, wysłano mnie na zachód. Po kilku miesiącach czułem się już całkiem zdrowy. Tam była moja ojczyzna, choć nigdy przedtem nie widziałem jej. Całe życie jeździłem konno i miałem do czynienia ze strzelbą, ale jest duża różnica pomiędzy strzelaniem do celu a strzelaniem do ludzi, pomiędzy jazdą w biegu myśliwskim a jazdą, od której zależy nasze życie. Byłem zajadłym myśliwym, ale dopiero na zachodzie przekonałem się, że daleko ciekawiej jest być zwierzyną. Na razie nie zrozumiesz tego z pewnością, ale może kiedyś zastanowisz się i wyda ci się to jasne. Myśliwy cieszy się, gdy coś zabije, ale cóż to jest w porównaniu z radością, którą odczuwa zwierzyna, gdy uda się jej umknąć? Doszedłem do tych wniosków w dość dziwny sposób. Żyłem zupełnie samotnie w górach, w namiocie, gotowałem sobie sam, w nocy spałem jak suseł, a w dzień jeździłem konno, chcąc przed powrotem na wschód uzbierać jak najwięcej wspomnień o tym wspaniałym kraju.

Kiedyś natknąłem się na oddziałek policji pędzącej za jakimś koniokradem. Ja jechałem na karym koniu, a koń złodzieja był również kary. Więcej informacji policja nie miała, więc puścili się w pogoń za mną. Uciekałem, ile mi sił starczyło! W ciągu godziny zostawiłem ich daleko za sobą:

była to najpiękniejsza godzina mego życia. Wyszedłem cało z tej przygody, ale kapelusz i siodło miałem przestrelone: po raz pierwszy poczułem prawdziwy smak życia.

Potem zacząłem umyślnie unikać dróg, na których pościg byłby łatwy i zawsze wymyśliłem coś, co służyło policji za przynętę: musiała mnie gonić. Czy wydaje ci się to szaleństwem? Cudowne to było i bynajmniej nie tak bardzo niebezpieczne. Poznałem tę okolicę świetnie, każdą dróżkę, każdy zakątek miałem wyrysowany w pamięci jak na mapie. Miałem wspaniałego konia, nikt nie zbliżył się nigdy do mnie, nawet na odległość strzału.

Tymczasem znalazłem pewnego doktora, wytłumaczyłem mu, że muszę jeszcze pozostać jakiś czas na zachodzie i zapłaciłem mu okazałe honorarium. Napisał do mojego domu, że grozi mi nawrót choroby, że powinienem bardzo uważać na siebie i muszę tu jeszcze pozostać. Zostałem więc, odkładając ciągle dzień powrotu. Przez dwa lata żyłem w raju.

Dwukrotnie wracałem na wschód, do rodziny, zdecydowany byłem osiedlić się już i na dobre zacząć porządnie pracować w ojcowskim biurze prawniczym. Dwukrotnie złamałem postanowienie i musiałem wracać na zachód, do dawnego życia.

Nazywam się John Giwen. Na zachodzie, z powodu zwariowanej egzystencji jaką prowadziłem, zmieniłem nazwisko na Jones. Byłem młody, więc nazywali mnie "Mały". Biłem się od czasu do czasu, ale naprawdę nigdy nie zabiłem nikogo, ani nawet nie raniłem ciężko. Czasem bałem się tego, ale udawało mi się zawsze zwalczyć te obawy i prowadzić dalej moją fascynującą grę.

Wiedziałem, że igram z ogniem, ale na tym właśnie polegało piękno tego życia. Oczywiście przypisywali mi wszystkie zbrodnie popełnione w okolicy. Oskarżano mnie o wszystko, począwszy od złodziejstwa, a skończywszy na morderstwie. Pół tuzina szeryfów z różnych okolic polowało na mnie. A ja wymykałem się im.

Wówczas zjawili się ci bandyci i zaproponowali mi, żebym wykorzystał swoje podobieństwo do Vereala, przyjechał tu i przyjął jego nazwisko. Zrozum, że dla mnie był to tylko nowy rozdział w księdze przygód. I pociągało mnie jeszcze coś innego. Biedny Józef Simon nie mógł wejść w posiadanie dużego majątku, który całkiem sprawiedliwie należy do niego. Chciałem mu pomóc w odzyskaniu własności. Zgodziłem się na ich propozycję i przyjechałem tu.

To niezwykle, spokojne życie w San Triste wydało mi się pełne dziwnych uroków. I czułem w głębi serca, że o ile chodzi o dobro miasta, potrafię lepiej odegrać rolę Vereala niż to tępe bydło Cabrillo. Ale przede wszystkim zobaczyłem, Alicjo, ciebie i od tego czasu życie moje skończyło się i zaczęło na nowo. Teraz istniał już dla mnie tylko jeden cel: zdobyć twoją miłość. Była taka jedna cudowna chwila - głos mówiącego załamał się - kiedy myślałem, że ty też mnie

kochasz. Myliłem się, Alicjo, a nawet gdybym się nie mylił, po tym czego dowiedziałaś się o mnie, musisz pogardzać oszustem. Prawda? Odpowiedz, na miłość boską, czy tak jest naprawdę?

Otulał ją gęsty mrok, więc mógł tylko dojrzeć biel jej twarzy i ręki.

- Janie - szepnęła - oni się zbliżają, słyszysz? Słyszysz?

Doszedł ich uszu gwar wielu głosów.

- Nie odpowiedziałaś mi.

- Śpiesz się. Są już tu. Chcą cię zamordować, a gdybyś ty umarł...

Nie dokończyła zdania.

Teraz pewny już był tego, czego tak pragnął się dowiedzieć. Schwycił ją w ramiona, odrzucił w tył głowę. W oczach jej zobaczył wielką radość miłości.

- Kochany, jedyny - szepnęła. - Uciekaj od nich, zrób to dla mnie. Gdybyś ty umarł, umrę i ja.

Zaprowadził ją na dziedziniec, uniósł w mocnych ramionach i posadził na siodle.

- Nie wyjadę, dopóki nie zobaczę cię odjeżdżającego.

Wrócili do stajni, gdzie stał osiodłany Pierre, nałożyli mu szybko uzdeczkę i wyprowadzili. Koń szedł tanecznym krokiem jakby się cieszył z tej nocnej perspektywy szalonego trudu. Wydało jej się, że podobny był do swego pana: mocny, szybki w ruchach, nieustraszony. Tych dwoje nie można było zwyciężyć.

Pochylił się nad nią, przytulił ją mocno do siebie.

- Jeśli mnie zostawisz, będę musiała wrócić do ojca - szepnęła. - A on mnie wyda za Cabrilla. Zaprzysiągł to, a gdy raz coś postanowi, niewzruszony jest jak głaz. Powiedz mi, co mam robić.

Spojrzał na białe miasto San Triste leżące u jego stóp. Nigdy nie wydało mu się tak cudne jak dziś, choć wiedział w głębi duszy, że za chwilę opuści je na zawsze i nie zobaczy już nigdy. Gdy powróci do Manhattanu i usiądzie za politurowanym biurkiem, otoczony półkami, na których stać będą książki prawnicze, oprawne w skórę, ze złożonymi grzbietami, a przez okno widać będzie stojący naprzeciw drapacz chmur, wszystko to wyda mu się snem. Czyż Alicja miała być tylko najpiękniejszym fragmentem tego snu? Musi ją zabrać, teraz albo nigdy.

- Alicjo - spytał - czy chcesz pojechać ze mną?

Odpowiedziało mu cichutkie, pełne zadowolenia westchnienie.

- Kochany, myślałam, że się nigdy nie zdecydujesz poprosić mnie o to!

XXVII - W drodze

Gdy Simon i jego karawana przeszli przez pierwsze pasmo górskie, zaczynało już świtać. O świcie zobaczyli błękit oceanu. Leżał on co prawda jeszcze bardzo, bardzo daleko, nie było jednak wcale mgły, więc ze szczytów pobliskich wzgórz można było dojrzeć, przez szeroki wylom w długim górskim łańcuchu, lśniąca tafel szafiru. Powietrze było przeczyste i podróżnym zdawało się, że widzą promienie porannego słońca, załamujące się w falach.

Simon podniósł ręce do góry i zawołał jak biblijne Dziesięć Tysięcy:

- Morze, morze! Denny, wygraliśmy! Za tymi górami leży Ulloa.

- Jeszcze przez te góry nie przejechaliśmy - odparł bardzo poważnie Silas Denny.

Obrócił się i popatrzył na trzydzieści mułów idących jeden za drugim. Czoło pochodu wyłoniło się z wąwozu, reszta tkwiła w nim.

- Jeszcze przez te góry nie przejechaliśmy - powtórzył Denny. - A jeśli w ogóle przejedziemy przez nie, to zanim dostaniemy się do przystani, musimy przebrnąć bardzo piaszczysty kawał drogi. A te muły są do niczego.

Józef Simon przekręcił na bok głowę i zaczął uważnie przypatrywać się mułom.

- Nie bardzo spocily się. Nawet mniej niż mój koń.

Denny popatrzył na niego z oburzeniem; taka ignorancja wydała mu się zbyt beznadziejna, by warto ją było oświecić.

- Konie poca się na zewnątrz, a muły wewnątrz - powiedział wreszcie. - Ja panu mówię, te muły są zupełnie oklapnięte. Niech pan tylko popatrzy na ich oczy i uszy.

Muły nie strzygły uszami, tylko chwiały nimi melancholijnie z boku na bok, oczy miały tępy wyraz.

- Żadnej fantazji nie ma w tych oczach - mówił Denny. - A kiedy muła opuszcza fantazja, znaczy to, że jest z nim bardzo kiepsko.

- Nie pojmuję, dlaczego miałyby być tak wyczerpane - mówił jęklwym tonem Simon. - Myślałem, że muł może więcej wytrzymać niż koń.

- Bo tak jest. Żaden koń nie dowiózłby tu ani jednego z tych worków.

- Ależ nasze konie skaczą i dokazują, a w końcu nie ma znów tak wielkiej różnicy między wagą pana a jednego z tych worków.

Denny wzruszył potężnymi ramionami.

- Jest wielka różnica - odparł. - Koń chętnie pracuje dla człowieka. Coś ich łączy, porozumiewają się. Zresztą jeździec to żywa istota, a te wory to martwy ciężar, nie ruszają się, tkwią w jednym miejscu, nie zmieniając pozycji. I to zabija w jucznych mule wszelką ochotę.

Ktoś krzyknął ostrym głosem po hiszpańsku. To dawała znak tylna straż karawany. Zauważono bowiem kilku szybko zbliżających się jeźdźców.

- Niech Bóg broni! - zawołał Józef Simon, blednąc i rozglądając się dokoła zrozpaczonym wzrokiem. - Niechże Bóg broni, by miano nam odebrać teraz puchar, gdy znajduje się on już tak blisko naszych ust! Nade mną i moimi sprawami ciąży w tym kraju jakieś przekleństwo!

Załamane ręce. Silas Denny milcząc zawrócił konia i pojechał do tylnej straży. Przekona się zaraz, jaki jest powód tego niepokoju. Zza drzew wyłoniły się cztery konne postacie i zbliżały szybko do nich. Si Denny rozejrzał się dokoła. Józef Simon był do niczego, a większość poganiaczy nie umiała obchodzić się z bronią palną. Ale Denny w ciągu długiego nocnego marszu wybrał sobie dwóch ludzi, na których można było liczyć nawet w obliczu dużego niebezpieczeństwa. Dopuścił ich do konfidencji i zwierzył im się z tego, że marsz może być w ciągu nocy przerwany, spytał ich, czy gotowi są walczyć dla obrony życia własnego i pracodawców? Posunął się dalej: opowiedział im szczerze to, czego się sami domyślali.

- Przyjaciele, te muły wiozą złoto. Możecie sobie wyobrazić, jaka nagroda was czeka, jeśli będziecie dzielnie walczyć, by go nam nie odebrano.

Smagłe twarze rozjaśnił szeroki uśmiech. Wiedział, że będą się bili do ostatniej kropli krwi, częściowo dla pieniędzy, częściowo z wdzięczności za wyróżnienie spośród towarzyszy, a częściowo i głównie dlatego, że lubią walkę. Dał im strzelby, przez całą drogę majstrowali coś przy nich. Teraz gotowi byli zrobić z nich stosowny użytek.

Kazał posuwać się naprzód karawanie. Sam z dwoma towarzyszami ukrył się w zaroślach wąwozu, odbezpieczył strzelbę i oparł ją o ramię. Towarzysze zrobili to samo w milczeniu, widać było, że mają wprawę i umieją obchodzić się z bronią. Choć tamci jeźdźcy znajdowali się jeszcze poza linią osiągalności strzałów, wziął ich dokładnie na cel. Już miał pierwszego jeźdźca na muszce, gdy wtem jeden z chłopów zawołał:

- Kobieta!

Opuścił broń i ręką wskazał przed siebie. Nie mogło być żadnej wątpliwości.

Si Denny przetarł oczy i wyteżył wzrok. Czterej konni wychylili się z zagłębienia gruntu, gdzie panował cień, i wjechali na szczyt niewielkiego wzgórza, w pełne słońce.

Widział ją zupełnie dobrze, jechała w drugiej parze, koń jej był okryty pianą, która błyszczała w słońcu. Poza tym wydało mu się, że poznaje piękną sylwetkę wierzchowca, na którym jechał jej towarzysz; po chwili okrzyk chłopca zamienił w pewnik jego przecucie.

- El Vereal.

Si Denny zaklął cicho.

- Marmont miał rację - mruzczał. - Na dnie tego całego zamieszania była kobieta. - Niech diabli porwą baby! Tam jedzie Mały, a tu Halsey i Marmont.

Faktycznie tak było. Zbliżali się szybko, można już było rozpoznać ich twarze. Siedzieli pochyleni na siodłach, chcąc wycisnąć z nieszczęśliwych koni, pod którymi chwiały się nogi, szybsze tempo i oglądali się wciąż za siebie. Najwidoczniej ktoś ich gonił, choć pomiędzy wzgórzami nie widać było żadnego nieprzyjaciela.

Gdy podjechali jeszcze bliżej, z ust Denny'ego i chłopca wyrwał się jednocześnie okrzyk:

- Senorita Alverado!

- A niechże mnie kule biją - myślał Denny. - Ten Mały potrafił wybrać sobie najlepszy kąsek! Alicja Alverado! Gdy w San Triste dowiedzą się o tym, całe miasto oszaleje!

Mały oddziałek nadjechał. Halsey miał wymizerowaną twarz i rękę na temblaku, Marmont marszczył brwi, a rysy jego wyrażały niezadowolenie, natomiast Alicja i Mały, czyli Jones, czyli Jan Giwen promienieli taką radością, jak gdyby korzystając z chłodu poranka jechali na zwykły spacer. Patrząc na ich szczęśliwe, zarumienione twarze, nikt nie mógłby się domyślić, że jadą już tak od północy.

- Na drodze spotkaliśmy "to" - ponuro odezwał się Marmont i obrzucił Alicję spojrzeniem gorącej dezaprobaty.

Denny zmarszczył czoło i pokiwał głową. Stała mu nagle przed oczami pewna dziewczyna, tam na wsi, w Nowej Anglii. Nie była właściwie podobna do tej panienki. Wyjeżdżał właśnie wtedy w szeroki świat w poszukiwaniu przygód i pieniędzy, a ona poszła z nim na pożegnalny spacer. Od tego czasu minęło wiele ciężkich lat. Przygód miał dużo, to prawda! Nie widział jej już nigdy potem, ale zachował w pamięci tak jasny wizerunek jej twarzyczki, jak gdyby zegnał ją wczoraj, jak gdyby wczoraj patrzył na jej przejrzyste, napełnione łzami oczy, na malutkie piegi widoczne gdzieś na dziecinnej buzi...

Denny zdjął kapelusz i zbliżył się do Alicji Alverado.

- Cieszę się, że panią widzę, ale przykro mi, że spotykam panią w takich okolicznościach.

Alicja roześmiała się.

- Bawimy się od północy w ciekawą grę. Jan mówi, że tylko raz im się prawie udało.

Podniosła brzeg amazonki, widać tam było okrągły otwór wielkości kuli o średnicy trzydziestu ośmiu milimetrów.

Si Denny popatrzył przestraszonym wzrokiem na Małego, którego twarz wyrażała w tej chwili również najwyższe przerażenie.

- Ja wiem... - szepnął pokornie.

- Ty wiesz... - sarkastycznie roześmiał się Denny. - Na Boga, za to, że ją tu przywiozłeś...

- Dostyc tego - przerwał im Marmont. - Jest tutaj i tego zmienić nie możemy. Denny powiedz mi lepiej: z pewnością zapakowaliście już wszystko na statek i jak na dobrych kompanów przystało, przyjechaliście na nasze spotkanie?

- Muły są w tej chwili w dolinie - odparł Denny - i idą w kierunku następnego pasma wzgórz. Potrwa dość długo, nim dotrą do przystani, a jak tam dotrą, mamy jeszcze przed sobą cały wyładunek. A jest co wyładowywać!

Marmont podniósł ręce do góry.

- Durnie, idioci! - ryknął wściekły.

- Muły nie mają skrzydeł - odparł Denny cierpkim głosem. - Pędziliśmy je, jak tylko mogliśmy.

Marmonta ogarnęła ponura rozpacz. Machnął ręką; nie mógł wypowiedzieć wszystkiego, co miał na duszy.

- Oni są tuż za nami - mówił Halsey, obracając się z westchnieniem na siodle. - Nie mogli nas dogonić, bo mieliśmy lepsze konie i jedynie z tego powodu zyskaliśmy trochę czasu.

- Kto to są "oni"? - spytał Denny.

- Połowa mieszkańców San Triste. Nie wiem, ilu ich jest, ale możesz założyć, że wobec tempa, jakim jechaliśmy, obecnie gonią nas już tylko ci, co mają dobre konie. Krótko mówiąc: młody Vereal i Cabrillo uciekli nam.

- Do stu tysięcy diabłów!

- Do miliona, jeśli wolisz. W jaki sposób to zrobili, nie wiemy; zostawiliśmy ich samych na pół minuty. Tłumaczyłem właśnie Marmontowi, żeby nie ułatwiał nam zadania i nie zarzynał ich. Nim zdążyłem mu to wytłumaczyć, dwóch z nich oswobodziło się ze sznurów. Ja rozprządałem tylko jedną ręką, więc gdyby doszło do walki, byłbym do niczego. Ledwo uszliśmy z życiem i puściliśmy się w stronę Ulloa. Tymczasem oni pędzili jak lokomotywy. Dojechali do San Triste, wytłumaczyli Alveradowi, że mają z sobą prawdziwego Vereala, z jego pomocą postawili na nogi całe miasto i złapaliby Małego w sidła, gdyby nie seniorita. Ta zacna dusza przyleciała go ostrzec. Potem wyjechali z miasta razem, a za nimi pędziły te wyjące diabły. My nie mogliśmy bardzo prędko jechać, bo mnie ręka bolała, więc spotkaliśmy się. Ot i cała historia. Poza tym sądząc po rykach, które od przeszło godziny słyszemy za sobą, na czele tej procesji jedzie Grenacho i jego banda wygłodniałych wilków. Moi drodzy, niedobrze jest z nami.

Denny wysłuchał opowiadania o tych wszystkich katastrofach: twarz jego wyrażała różnorodne uczucia. W końcu wzruszył ramionami.

- Zanim zdążymy przepchnąć muły na tamtą stronę, złapią je na pewno, a z nimi cały ładunek - powiedział spokojnie. - Może złapią i nas. Jedno jest pewne: jeśli obrabują raz jeszcze starego Simona, serce mu pęknie. Popatrz - szepnął.

Mały i Alicja Alverado odjechali trochę na bok; nie mówili nic, patrzyli tylko na siebie z nieopisaną radością, odkrywając wzajemnie w swoich oczach coraz to nowe duchowe piękno.

- Tak było przez całą noc - mruknął Marmont. - Kule Grenachowej bandy świstały im koło głów, a oni śpiewali. Oszaleli oboje.

- Przekonamy się o tym - odparł Halsey. - Halo, Jones!

Mały odwrócił ku nim uśmiechniętą twarz.

- W jaki sposób możemy zatrzymać tę bandę i dostać się na okręt?

Mały oprzytomniał i rozejrzał się wkoło siebie.

- Alicjo - zwrócił się do dziewczyny - jedź tym wąwozem i dalej drogą. W dolinie spotkasz karawanę mułów. Zostań z nimi. My nadjedziemy za chwilę.

Alicja zawahała się.

- A co będzie z tobą? - spytała.

- Zaufaj mojemu szczęściu - odparł.

Odjechała klusem w głąb wąwozu, żegnając go ruchem dłoni. Wkrótce zbliżył się do towarzyszy.

- Jest tylko jeden sposób - oznajmił, a w głosie jego nie było najmniejszego wzruszenia. - Musimy postąpić tak, jak postępują podróżni, gdy stado wilków zanadto zbliża się do nich: wyrzucimy jednego z pasażerów z sanek. To zajmie wilki przez jakiś czas.

XXVIII - Poświęcenie

Choć słowa te wypowiedział wesołym tonem, treść ich była bardzo poważna. Marmont poprosił Małego, by mówił wyraźniej. W kilku słowach wytłumaczył im, o co chodzi. Gardziel wąwozu była bardzo wąska, mógł się w niej zmieścić tylko jeden koń; wąwóz rozszerzał się dopiero ku górze, tam gdzie szczyty oddalały się od siebie.

Wobec tego jeden uzbrojony i odważny człowiek mógł się tu utrzymać przez dłuższy czas, mając za przeciwników nawet takich zabijaków i desperatów jak Grenachowi satelici. Bo to z nimi na pewno będą mieli do czynienia.

Grenacho i jego kompania przyzwyczajona do jazdy dniem i nocą na półdzikich mustangach, niezbyt rączych, ale za to niezmordowanych i zdolnych do całodziennego galopu, wyprzedziła na pewno obywateli San Triste, choć mieli dobre konie i niewątpliwie starali się dotrzymać im kroku.

Niebezpieczeństwo było poważne: zbójce zaatakują ich z całym rozmachem, którego nie będzie hamowała ani nieśmiałość, ani skrupuły.

Nasza czwórka nie zawahała się ani na chwilę. Orzeł czy reszka; jeden do czterech, każdy miał te same szanse przegrania. Wyciągnęli pieniądze. W pierwszym losowaniu wyeliminowani zostali Halsey i Denny. W drugim wygrał Mały. Marmont nachylał się powoli po srebrną monetę i bardzo powoli prostował krzyż. Nie chciał, nim zdąży się opanować, by towarzysze dostrzegli na jego twarzy przerażenie. Po chwili stał już wyprostowany i uśmiechnięty.

Z wielką powagą, bez cienia sztucznej litości, żegnali go towarzysze. Wiedzieli, że gdyby los padł na jednego z nich, Marmont po pożegnaniu skazańca zawróciłby konia i odjechałby gwizdząc niefrasobliwie. Swoją własną los potrafił Francuz potraktować równie wesoło.

- Nie trafiaj we mnie - zapewniał ich. - Przetrzymam ich tu do zmroku. A wówczas umknę i popędzę do Ulloa. Albo może wy przyślecie mi pomoc z miasta? Adieu!

Opuścili go w milczeniu i odjeżdżali zamyśleni w głąb wąwozu; do uszu ich doszedł jeszcze bojowy refren "Marsylianki". Tego ostatniego odruchu brawury nie mógł sobie Marmont odmówić. Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się. Niewesoły to był uśmiech. Nawet Denny był wzruszony, w oczach Halseya zabłyśły łzy.

- Dzielny chłop. Furiat niemiłosierny, ale dzielny chłop. Bóg z nim.

Pojechali w kierunku karawany.

Tymczasem Francuz położył się między dwiema czarnymi skałami, tuż przy ścianie wąwozu; stamtąd widział wyraźnie całą drogę. Wkrótce też zobaczył nieprzyjaciela. Ukazali się na szczycie wzgórza jak piana na grzbiecie fal. Przepowiednie spełniły się: obywatele San Triste, a

wśród nich gnany ojcowskim niepokojem pan Alverado, pomimo wysiłku, nie mogli dotrzymać kroku zabijakom. Mustangi szły nierówno, niektóre z nich kulały, pomimo to kolumna poruszała się w zwartym szyku, regularnie i prędko, gotowa w każdej chwili do odparcia niespodziewanego ataku.

Marmont zauważył to wszystko. Był kiedyś żołnierzem i z postawy tych ludzi wywnioskował, że nadeszła jego ostatnia godzina. Te draby będą walczyć jak dzikie zwierzęta: zwyciężą lub zginą. Większość z nich byli to na pół dzicy Indianie. Znajdowało się też wśród nich kilku Amerykanów-degeneratów, męty społeczne bardziej dzikie niż barbarzyńskie plemiona. To, co widział, wystarczyło, żeby się przekonać, że nie może mieć żadnej nadziei: życie jego dobiegło kresu. Psychicznie przygotował się na śmierć. Dziwił się samemu sobie. Nieraz znajdował się w niesłychanie niebezpiecznych sytuacjach, nigdy jednak w tak zupełnie beznadziejnej jak ta, nie miał też nigdy tyle czasu, by się móc należycie przygotować. Teraz wykonał szereg zapomnianych od czasu dzieciństwa ruchów. Ukląkł, przeżegnał się, zamknął oczy, podniósł głowę do góry i starał się przypomnieć sobie wszystkie popełnione grzechy. Słońce świeciło mu prosto w twarz; oczy miał przekrwione; czerwona mgła zasłoniła wizję przeszłości. Grzechy jak ciemne robaki wypełzły z dna pamięci. W ciągu całego życia nie było jednego roku, w którym by nie popełnił czegoś złego, w dzieciństwie już okradał braci, kolegów, rodziców. Później nastąpiły gorsze zbrodnie. Mniejsze przewinienia znikły z pola widzenia. Zobaczył czerwone ślady własnoręcznie popełnionych morderstw. Jednego człowieka zabił podczas snu. Na myśl o tym wstrząsnął nim dreszcz zgrozy.

- Bóg jest miłosierny. Matko Boża, wstaw się za mną - jęknął.

Przeżegnał się i podniósł z klęczek.

Oddział nieprzyjaciela przejechał tymczasem spory kawał drogi. Mógł teraz rozróżnić twarze. Zbliźali się. Wziął pierwszego na cel. Jechał w pierwszym szeregu, inni skupiali się wokół niego; był krępy, barczysty, twarz mu zasłaniał szeroki, sztywny brzeg kosztownego sombrera, poza tym był obdarty jak jego towarzysze. Marmont domyślił się, że to Grenacho. Czuł, że jeśli uda mu się szczęśliwie położyć go pierwszym strzałem, resztę kompanii może ogarnąć panika.

Przede wszystkim miał więc Grenacha na oku. Zanotował sobie jednocześnie dwóch ludzi jadących po obu stronach dowódcy. Zdecydował się bowiem dać natychmiast po pierwszym strzale kilka innych, chcąc tym wywołać wrażenie, że strzela kilku ludzi naraz. Jego automatyczny winczester umożliwi mu to. Celował uważnie i nacisnął na cyngiel. Huknął strzał. Grenacho zachwiał się, ale nie spadł z siodła.

Pudło. Piekło sprzysięgło się dziś przeciwko mnie - pomyślał Marmont naciskając cyngiel. Wysłał cztery kule na spotkanie zbliżającego się oddziału. Jeden człowiek padł, drugi zwinął się z

jękiem w siodle, inni rozpięzchli się, szukając schronienia; do kryjówki Marmonta doszły ogłuszające wrzaski. Zanim zdążył wystrzelić raz jeszcze, bandyci schowali się za skałami, którymi najeżony był wąż. Marmont uspokoił się. Powiedział sobie, że choć tym razem na cztery strzały celny był tylko jeden, potem spisze się lepiej. Na razie cofnął się za skały i nabił strzelbę.

Jak daleko zdążyły już dojść muły? Czy bardzo się zbliżyły do bezpiecznej przystani? Stały mu przed oczami twarze towarzyszków, jedna po drugiej.

Oni wszyscy są lepsi ode mnie - pomyślał z prostotą - nawet Simon jest poczciwym człowiekiem.

Marmont wyrwał z kryjówki. Dwóch jeźdźców pędziło szybko w kierunku skał, szukając odpowiedniej zasłony: dał do nich dwa strzały. Krzyknęli tryumfująco; znowu spudłował. Jednocześnie w skały, za którymi się chował, trafiło z pół tuzina kul, jedna z nich utknęła złośliwie w skalistej wyrwie. Ci ludzie nie strzelali jak Indianie, każdy z nich był wytrawnym myśliwym. Potrafili oddać do niego tyle strzałów, a on nie widział ani jednej ręki, ani jednego ramienia, to graniczyło wprost z cudem.

Zdołał tylko dojrzeć przez ułamek sekundy załamujące się w lufach promienie słońca. Zagryzł wargi i posunął się bardziej w prawo. Zza skały wyglądał jakiś kapelusz. Przestrzelił go kulą; odpowiedziały mu ironiczne śmiechy, a kapelusz, zatknięty na tyczce, podniesiono wyżej. Stracił na próżno jeden nabój. To nie miało samo przez się większego znaczenia, ale w ten sposób zdradził niepotrzebnie swoją kryjówkę.

Złomy kamieni, które miał obecnie przed sobą, nie były tak wielkie jak te, za którymi krył się poprzednio; powietrze wokół niego drżało bezustannie od świstu kul, nie mógł bez większego ryzyka powrócić na dawne miejsce. Żałował, że je opuścił. Bandyci nie posuwali się dalej, bo nie mieli żadnej zasłony. Leżał na ziemi, rozglądając się od czasu do czasu dokoła w obawie, czy przypadkiem nieprzyjaciel nie ma zamiaru zrobić koncentrycznego ataku na jego pozycję. Minęło dziesięć minut. Co sekunda stawała mu w oczach mozolnie posuwająca się karawana, zmęczone muły kiwające smętnie głowami, jeźdźcy oglądający się trwożnie za siebie. Ze smutkiem i zdumieniem uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu oddaje jakąś przysługę bliźniemu. I ta przysługa mogła się okazać bezużyteczna. W chwili gdy o tym myślał, kula trafiła w piasek tuż przy nim i drobnutki żwir zasypał mu twarz. Znow gwizdnęło, ktoś niedaleko nabijał strzelbę. Dźwięk ten pochodził z góry. Jednocześnie usłyszał triumfalny krzyk Grenachowych ludzi skupionych na dole w oczekiwaniu czegoś. Zrozumiał, co się stało i zawrzał gniewem. Po prostu oszukali go. Podczas gdy ukrywał się za zasłoną i patrzył na leżące poniżej skały, kilku bandytów skoczyło w lewo, zakreśliło duże koło i wspięło się na szczyt gór. Teraz czuli się bezpieczni i mogli w każdej chwili zastrzelić go zupełnie bezkarnie. Popatrzył w górę. Tam wysoko słońce

odbiło się w lufie karabinu. Chwycił za broń, wystrzelił. Nastąpiła chwila ciszy; po czym padł strzał. Marmont ciężko upadł na twarz. Kula przeszła mu przez lewe ramię. Na chwilę stracił przytomność, gdy ją odzyskał, zobaczył, że tym razem sprawa jest przegrana. Na górze ktoś krzyczał donośnym, przeraźliwym głosem, informując Grenachowych ludzi, że nieprzyjaciel został pokonany. Słyszał tupot nóg, chcieli się chyba osobiście przekonać o tym fakcie. Schwycił za strzelbę, była już tylko bezużytecznym balastem w jego ręku. Nie mógł strzelać. Ale umierać tak bezbrinnie, to było ponad jego siły. Padnie w walce, choć nie może już władać bronią. Chwycił prawą ręką za kolbę strzelby i wywijając nią jak pałką, wyskoczył spoza skał i szarżował na trzydziestu wyjących opętańców.

Wydało mu się, że ci, co stali na przedzie cofnęli się na widok tego szaleńczego ataku. Jakiś gruby chłop rzucił się jednak ku niemu i wystrzelił z rewolweru. Marmont czuł, że kula drasnęła mu policzek, druga utknęła w pozbawionym już czucia ramieniu. Uderzeniem kolby powalił napastnika. A za chwilę ktoś wsadził mu nóż w gardło, ktoś inny wpakował kulę w głowę. Umarł w milczeniu.

XXIX - Druga ofiara

Ci co popędzali upadające ze zmęczenia muły przez następny przesmyk górski, usłyszeli dzikie okrzyki triumfu Grenachowych ludzi i mogli wnioskować z nich, że Marmont padł. Hałas doszedł ich uszu właśnie wtedy, gdy zobaczyli po raz pierwszy cel swojej podróży. U stóp długiego pasma wzgórz, opadających stopniowo ku morzu, leżało miasteczko i port Ulloa.

Port ten wyglądał skromnie. Na tle błękitu zatoki odcinało się króciutkie molo, kilka budek pełniło rolę magazynów i składów portowych. Obok mola stał niewielki obdrapany stateczek o dość długim kadłubie, z kominów statku buchał dym. Macpherson dotrzymał słowa, statek gotów był do odjazdu. Ścigani ucieszyli się na ten widok. Nawet muły zdawały się rozumieć, że zbliża się koniec podróży. Józef Simon w paroksyzmie radości i niepokoju obiecywał nowe setki dolarów poganiaczom, o ile potrafią doprowadzić na czas do Ulloa zmordowane muły.

Na to, by ich zmusić do pośpiechu niepotrzebne już były pieniężne obietnice. Słyszeli wycie Grenachowych wilków i wiedzieli, że o ile karawana nie dojdzie do Ulloa, wystrzelają ich wszystkich jak psy. Zabrali się więc do dzieła z wielkim zapalem. Jedną ręką popędzali zwierzęta, drugą ciągnęli je za uzdy. Dzięki temu cała karawana, potykając się i kulejąc, klusem zbiegła z gór ku Ulloa, morzu i "Racheli" stojącej koło mola. Wycie goniących bandytów potęgowało się i zbliżało; raptem przycichło i jakby oddaliło się. Zrozumieli: Grenacho bojąc się, że zdobycz może łatwo umknąć i chcąc skrócić sobie drogę, popędził na przełaj po górskich zboczach.

Samo Ulloa stanowiło słabe schronienie. Garstka jego mieszkańców, nawet gdyby miała ochotę i odwagę walczyć - co było więcej niż wątpliwe - byłaby tylko zabawką w szponach wygłodzonych diabłów. Zresztą w imię czego mieli ci ludzie ryzykować życie. Na pewno wezmą nogi za pas i przeczekają w ukryciu śmierć Grenachowych wrogów. Wówczas wylecą z kryjówek i będą się przyglądać kłótniom nad podziałem łupów. Nie, Ulloa nie było żadnym schronieniem.

W przystani ruszały się jakieś postacie. To była z pewnością załoga Macphersona. Ci ludzie nie zechcą też prawdopodobnie walczyć w nieznannej sprawie, natomiast pomogą z pewnością w załadowaniu cennego ciężaru.

Dążyli ku temu celowi, ale straszne niebezpieczeństwo waliło się na nich jak lawina i cel ten wydawał się jeszcze bardzo daleki. Z twarzy Alicji znikły ostatnie ślady radości. Jechała z oczami utkwionymi w postać Jana Givena jak gdyby wiedziała, że to ich ostatnie chwile; chciała raz jeszcze objąć go całego wzrokiem i nasycić się szczęściem jego obecności.

Gdy wycie ścigających odezwało się tuż za nimi, Jan zwrócił się do Alicji:

- Za chwilę będą tu świstały kule. Musisz jechać naprzód - do "Racheli" - i powiedzieć kapitanowi, że jesteśmy blisko. Powiedz mu, że jeżeli chce pomóc ludziom w opresji i naładować

sobie kieszenie taką ilością złota, o jakiej nie marzył, niech nam przyśle pomoc. Błagaj go i zaklinaj. Jeśli nie może podjechać bliżej, niech ustawi swoją załogę w szeregu, zaraz na początku mola. To nam ułatwi sprawę. My będziemy wstrzymywać atak bandytów, a oni będą wyładowywali towar. Śpiesz się.

- Chcesz mnie uchronić od niebezpieczeństwa! To fortel! Janie, pozwól mi zostać. Mówię ci, że nie boję się wcale.

- Złota, jedyna moja, jeśli Bóg pozwoli mi przeżyć dzisiejszy dzień, żyć będę odtąd tylko dla ciebie! Zaręczam, że wysyłam cię po to, byś nam pomogła. Takiej misji nie mogę powierzyć żadnemu z tych chłopów. Leć, co koń wyskoczy.

W mgnieniu oka już jej nie było. Pędziła jak szalona, całą swoją miłość, całą rozpacz wsadzając w ten wysiłek. Chłopi, zmordowane muły, Simon, oddalili się też trochę. Trzej mężczyźni zostali sami.

- Znowu ta sama historia - odezwał się Mały. - Ktoś musi tu zostać i bronić przejścia. Jesteście gotowi?

Byli gotowi. W milczeniu huścili w dłoni monety. Na dany znak rzucili je w górę. Zawirowały i opadły na ziemię. Orzeł dla Małego, orzeł dla Si Denny'ego, reszka dla Halseya.

- Tak być nie może - śpiesznie odezwał się Mały. - Zupełnie zapomniałem o Halseyu. Człowiek, który rozporządza tylko jedną ręką...

- Zrobi tu tę samą robotę, co dwóch ludzi - powiedział Halsey bardzo łagodnie. - Mój chłopcze kochany, w takiej sytuacji dwóch czy jeden, to nie ma znaczenia. Trzeba tu robić dużo hałasu i trochę powstrzymać tych zbójów. Nikt nie potrafi dokonać więcej. Powiem wam jedną tajemnicę: Anglik z jedną ręką potrafi hałasować równie głośno jak Francuz z dwoma. Jedź już, chłopcze. Jedź Denny.

Uściskał im dłonie. Do ręki Małego wcisnął małą paczuszkę.

- Znajdziesz tam fotografię i adres - powiedział. - Fotografię odeślij. Opowiedz im bajkę, że byłem uczciwym człowiekiem. To przede wszystkim. Miałem właśnie zarobić dużo pieniędzy... Kopalnie... Coś takiego... Rozumiesz? Coś, co by im dodało animuszu. Znałeś mnie od wielu lat. O ile wybierzesz się kiedyś w tamte strony, odnieś to osobiście... Zapadły kącik w Devonshire... Bardzo mała okolica... Do widzenia, przyjaciele.

Zawrócił konia w stronę wzgórza. Denny i Mały ze smutkiem patrzyli na niego. Niedawno odjechał już jeden z nieustraszonych i bohaterską śmiercią zapłacił za grzechy całego życia. Obecnie poświęcił się drugi, równie mężny.

- I na co to wszystko? - krzyknął Si Denny w nagłym wybuchu wściekłości. - Dla Simonowego złota? Do diabła z tym wszystkim. Mały, zawołajmy go, niech wróci!

- Myślisz, że nas posłucha? - spytał Jan.

Silas Denny westchnął.

Popatrzył na niego. - To był dzielny człowiek.

Mówiąc o Angliku używał podświadomie czasu przeszłego: nie było przecież żadnej nadziei na zwycięstwo. Pierwszy wąwóz stanowił dwa razy łatwiejsze miejsce do obrony. Wyjście drugiego było tak szerokie, że mogło się w nim zmieścić jednocześnie dwudziestu konnych. Tam gdzie ściana wąwozu podchodziła najbliżej ku morzu, skierował Anglik swego konia. Jechał wolno, miał dosyć czasu, żeby dojechać do upatrzonego miejsca.

Widzieli, jak wyjmował z sakwy małą miotłkę i czyścił nią ubranie, po czym schował ją starannie. Zdjął kapelusz, pogładził włosy. Nie było wątpliwości, że robi te rzeczy bezwiednie, podczas gdy myśli jego krążą gdzieś daleko, trzy tysiące mil stąd; podświadomie jednak pragnął wyglądać przyzwoicie w chwili śmierci.

- Dziwny człowiek - powtórzył Denny. - A jednak podobają mi się te jego dyrdymałki. W tym jest coś.

Mały uśmiechnął się do towarzysza i obaj dogonili muły. Nieszczęsna, zrana potem, potykająca się, jęcząca karawana dążyła ku Ulloa: każdy krok stanowił nową męczarnię. Dzieliło ich jeszcze do celu pół mili, gdy padł muł idący ostatni w szeregu. Gdy dolecieli do niego, nie żył już. Trzeba było zdjąć z niego worki i przeładować na inne muły. Józef Simon, ochrypli, nieprzytomny, jeździł tam i z powrotem wzdłuż karawany, to przeklinając i grożąc poganiaczom, to błagając ich, żeby nie szczydzili wysiłków.

Sam Krezus zbankrutowałby, gdyby zechciał dotrzymać obietnic danych tego dnia; nikt ich jednak nie spamiętał. Poganiacze nie rozumieli już w ogóle, co do nich mówiono. Sens słów chwyciło jeszcze tylko dwóch uzbrojonych chłopów, którzy gotowi byli lojalnie walczyć, gdy nadejdzie po temu czas. Stanowili oni tylną straż i ostatnią nadzieję wszystkich - wiedzieli o tym i mocno ściskali broń w ręku, gotowi do walki.

Towarzysze ich ogarnięci histerycznym strachem, bili zmęczone zwierzęta. W każdej chwili gotowi byli uciec do Ulloa lub do innej jakiejś kryjówki, o ile by się taka nadarzyła - wiedząc dobrze, że dobiegną prędzej do celu, niż objuczone zwierzęta. Tymczasem wlekli się noga za nogą; przestrzeń dzieląca ich od Ulloa jakby nie malała. Wtem z wąwozu odezwały się strzały. Widać zbójce dopadli biednego Halseya. Czy będzie w stanie zatrzymać ich choćby przez chwilę? Czy przepląną natychmiast - jak groźna fala - po jego trupie?

Poganiacze, nieprzytomni ze strachu, zawahali się, gotowi do ucieczki; strzelanina jednak trwała dalej. W głębi wąwozu słychać było ożywioną wymianę strzałów; nieustraszony Halsey trzymał straż. Doszli do przedmieścia Ulloa, muły wkroczyły na jedyną, długą, krętą ulicę

miasteczka, a poganiacze wydali frenetyczny okrzyk triumfu. Miejsce trwogi zajęła nadzieja zwycięstwa. Nawet muły jakby rozumiejąc, że czeka ich w mieście postój po tak długiej drodze, przyspieszyły trochę kroku. Z daleka, z wąwozu, dochodził wciąż huk strzałów. Nagle wszystko ucichło. Do Ulloa doszedł dziki ryk zwycięzców.

To umarł Halsey. Nigdy nie dowiedzieli się szczegółów jego śmierci, zapamiętali jednak na zawsze, że dokonał cudu. Zajął bowiem swoją osobą trzydziestu ludzi, a przez ten bezcenny czas karawana posunęła się znacznie naprzód. Oni stali teraz u drzwi zwycięstwa, on padł zgnieciony nawałnicą.

- Możemy być pewni, że śmierć Halseya kosztowała ich niejedyn nabój - odezwał się Denny. - Niech go Bóg błogosławi. Ten człowiek nie wiedział, co to strach.

Trup Halseya leżał na piasku w cieniu skał. Dwie kule przestrzeliły mu mózg, ręce miał rozrzucone na boki, spokojną twarz zwróconą ku niebu.

Co za świetni żołnierze byliby z tych zbójów, gdyby mogli otrzymać wojskową dyscyplinę - to były jego ostatnie myśli.

Koniec karawany przeszedł pół ulicy, gdy wtem wrzask chłopów oznajmił, że nieprzyjacieli tuż-tuż. Wszyscy się obejrzel: z wąwozu wysypała się Grenachowa kompania. Można ich było łatwo policzyć. Denny zrobił to: było ich dwudziestu pięciu. Zapłacili drogą cenę za śmierć Halseya.

A tymczasem poganiacze biegli po ulicy i okładali razami muły idące na czele pochodu. W drzwiach zaczęły się pokazywać głowy ludzkie, Józef Simon krzykiem obiecywał każdemu bajeczną sumę za udzielenie pomocy. Nikt się nawet nie ruszył. Doszły ich już wieści: tym ludziom deptał po piętach Grenacho, a gdy Grenacho zawział się na jakąś zdobycz, bezpiecznie było trzymać się z daleka.

Dopadli wreszcie początku mola i zobaczyli załogę "Racheli".

XXX - Na przystani

Siedmiu rozbójników i obieżyświatów pod dowództwem grubego, małego Szkota o czerwonej gębie, to Macpherson i jego załoga.

Tworzyli dziwną zbieraninę. Był tu i Malajczyk, i Portugalczyk, i Fin, i Murzyn znad Zatoki Gwinejskiej, i Chińczyk, i Neapolitańczyk. Można było przejść wzdłuż i wszerz cały świat i nie znalazłoby się drugiej takiej kolekcji łotrzyków. Macpherson w swoim wyborze kierował się szczególnym kryterium. Mógł w każdym porcie każdego z nich oddać w ręce sprawiedliwości i kazać powiesić za poważne wykroczenia przeciw prawu. Lubił mieć tego rodzaju podwładnych. Po pierwsze: pilnowanie i wdrażanie do przyzwoitego zachowania zmuszało go do umysłowego treningu, po drugie: łatwo ich było utrzymać w należytej subordynacji. Żaden z nich bowiem nie obrażał się za to, że dostał po karku od kogoś, kto mógł w każdej chwili każdego z nich kazać powiesić.

Gdy zmęczone muły stanęły wreszcie koło przystani, karawana została powitana okrzykami radości przez morskich opryszków.

- Panie Macpherson! Panie Macpherson! - krzyczał Józef Simon. - Gdzie jest pan Macpherson?

- Może już dosyć sypania tymi "panami"? - warknął marynarz. - Ja jestem kapitan Macpherson.

- Na miłość boską, kapitanie, proszę nam pomóc przenieść ładunek na statek.

- Zrobię, co do mnie należy - odparł Macpherson.

Przypatrywał się uważnie workom: były małe i na pewno bardzo ciężkie.

- Bandyci gonią nas - tłumaczył Simon. - Zobaczycie ich pan wkrótce. To prawdziwe diabły i po diabelsku pędzą. Gotowi nas wszystkich wymordować.

Kapitan przekrzywił na bok okrągły kapelusik.

- Na pewno to zrobią, na pewno. Chyba że nie zdążą, bo my ich wymordujemy. Ale ja zostałem wynajęty do podróży morskiej, a nie do bitwy. Podwyższam cenę.

- Do ilu?

- Podwójnie!

- Zgadzam się... zgadzam. Jeśli zabierzecie nas wszystkich na pokład zdrowych i całych i odpłyniecie w morze, dodam jeszcze pięć tysięcy.

Macpherson po chwili zmartwił się: mógł podnieść cenę jeszcze bardziej, ale gdy już raz dobił targu, dotrzymywał zwykle słowa, oczywiście w pewnych granicach.

Chłopi wpędzali resztę mułów do przystani; do Ulloa wjeżdżali już Grenachowi ludzie, kapitan Macpherson rozkazał swej załodze zabierać się do roboty i ładować statek.

- Uważać mi tam, wy świnie, i nie wyrzucać nic za burtę. Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie mógłbym sobie zafundować dziesięciu takich załóg jak wy, za to, co jest w jednym z tych worków.

W tej chwili czyjaś szczupła, twarda jak stal dłoń schwyciła kapitana za ramię. Kapitan obrócił się i spojrzał na Małego.

- Jeśli odjedziecie beze mnie - mówił Jan spokojnie - proszę tę panią odwieźć do Nowego Jorku, do pana Giwena. Adres pan znajdzie w książce adresowej.

- I to wszystko mam zrobić dla jej pięknych oczu? - ironicznie spytał Macpherson.

- Za nowiny o synu mój ojciec zapłaci panu trzy razy więcej niż pan zażąda.

Macpherson patrzył na niego zdumiony.

- Teraz niech ją pan zaprowadzi na statek i zamknie w takiej kajucie, z której by nie widziała, co się dzieje na przystani. Rozumie pan?

Kapitan kiwnął głową, mrugnął oczkami, obrócił się i zgrabnym ruchem ujął Alicję pod ramię. Drgnęła przerażona i rozplakała się.

- Janie, czy zostawisz mnie samą?

Ale Jan Giwen biegł już po molu i śpiesznie wyciągał rewolwer. Nie opodał słysząc było grzmiący głos Grenacha wydającego rozkazy. Ludzie jego zsiadli z koni, utworzyli zwartą kolumnę i rzucili się na kamienną groblę, na której stał drewniany barak. Gdy Mały dobiegł do tego baraku, znalazł tam Si Denny'ego, jak zawsze spokojnego, czatującego ze strzelbą przy ramieniu.

Koło wielkiego Amerykanina stało dwóch chłopów, drżących ze strachu, ale zdecydowanych lojalnie współdziałać. Oni mieli strzelby, ale Mały zadowolony był ze swego rewolweru, w futerale przy lewym boku miał drugi, w rezerwie.

Tak wyposażeni wytrzymali pierwszą szarżę nieprzyjaciela i zmiotli czoło kolumny. Wobec tego huraganowego ognia, zawahali się nawet Grenachowi ludzie i rozpierzchli się w poszukiwaniu odpowiednich zasłon; posłużyły im do tego zwały zwiniętych stalowych kabli. Spoza tych zasłon otworzyli huraganowy ogień; po chwili barak przedziurawiony był kulami jak rzeszoto.

Zaraz na początku bitwy padł na twarz pierwszy z chłopów; krzyk uwiązał mu w gardle. Si Denny był ranny w policzek. Po chwili padł drugi chłop, a Mały zbladł mocno: otrzymał powierzchowną ranę w lewe ramię. Pomimo to rewolwery Jana i strzelba Denny'ego siały olbrzymie spustoszenie.

Wkrótce Si i Jan zobaczyli, jak odwiązywano łańcuchy, którymi przycumowany był statek, jak przerzucano je przez burtę i jak mały parowiec, kołysany przez fale, nieznacznie zaczynał się odsuwać od brzegu.

- Jak Boga Kocham! - ryknął Denny. - My się bijemy dla ich złota, a te psy chcą nas tu zostawić na pewną zgubę. Mały, jeśli możesz biec, dogoń mnie na molu.

W mgnieniu oka wyskoczył przez drzwi. Biegł prędko, nie mógł jednak nadążyć za szybkonogim Małym, który nie tylko go dogonił, ale i przegonił. Meksykanie widząc, że przestano z baraku do nich strzelać, otoczyli budynek, wdarli się do środka, a potem zaczęli biec po molu, wyjąc przeraźliwie. Mały tymczasem dobiegł do "Racheli" i skoczył na pokład. Gwizd lecących mimo uszu kul dodał mu skrzydeł do wykonania trudnego skoku. Ale "Rachel" stała niestety wciąż na miejscu, jak samochód, którego koła kręcą się daremnie na śliskim gruncie.

Śruba okrętowa pruć woda, ale ciężkie fale uderzały o kadłub statku i odrzucały go w tył. Statek drżał i posuwał się bardzo pomalutku, nie mógł w żaden sposób oderwać się od brzegów przystani, tygrysy z Grenachowej bandy łatwo mogły go zdobyć.

Nadbiegli już wymachując strzelbami. Dobijali do celu; po długiej i ciężkiej walce pewni byli zwycięstwa. Na przedzie biegł Grenacho, zadziwiająco szybko jak na niemłodego już człowieka. Dopędzał już Si Denny'ego. Mały wylądowawszy na "Racheli" obrócił się i zobaczył to. W następnej chwili dojrzał, że Denny pada na twarz. Powaliła go przypadkowo wystrzelona kula. Nie zabiła go jednak, bo zerwał się na równe nogi i jednym rzutem oka ocenił swoje szanse. Znajdował się już bardzo niedaleko "Racheli", która sunęła teraz wzdłuż długiego mola, powoli nabierając rozpędu, był jednak niestety znacznie bliżej bandytów. Małemu zdawało się, że Denny w tym ułamku sekundy powziął decyzję: może znalazł cel, dla którego warto było umrzeć? Mały stał jak zaczarowany, przejęty najwyższą grozą.

Później stała się rzecz wprost przedziwna: Denny rozkrzyżował ręce i wytrzymał napór rozpędzonej masy ludzkiej, tak jak dorosły mężczyzna zatrzymuje rozbieganych chłopców. Mały nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Denny, trzymaj się! - ryknął. - Idę!

Rzucił się ku barierze, ale nie dosięgnął jej. Powalił go potężny cios w głowę. Podniósł oczy i zobaczył jak przez mgłę stojącą nad nim krępą postać Macphersona.

- Dostyc się tam krwi leje - mówił kapitan. - Wariat pan jesteś i smarkacz, żebyś tam leżeć. Jak się bić, to się bić - rozumiem i pochwalam - ale dać się zamordować?! Nie, tego nie lubię. Nie ruszysz się stąd ani na krok, Kochaneczku.

Mały stęknął, udało mu się podnieść i uklęknąć. Zobaczył, że Si Denny stał się ośrodkiem rozpaczliwie wijących się ludzkich ciał. Bandyci kłębili się wokół niego i nad nim.

Migały ostrza noży, widać było podniesione kolby karabinów, których uderzenie miało powalić Si, a on jakimś cudem stał wciąż i walczył. Dwukrotnie zachwiał się pod ciężarem nacierających. Wtem upadł na kolana i Mały pomyślał, że nadszedł koniec. Ale serce Si Denny'ego skrojone było nie na ludzką miarę.

Podniósł się raz jeszcze. Chwycił jakiegoś człowieka za nogi i podniósł go sobie ponad głowę jak atleta ciężki młot. Wywinął nim młynka i rzucił na nieprzyjaciół. Dało mu to chwilową przewagę. Posunął się naprzód - nie chciał już uciekać. Może czuł w sobie jakąś śmiertelną ranę?

Na ten widok Jan Giwen oszalał całkowicie i rzucił się ku burcie. Za późno. "Rachela" posłuszna wreszcie sterowi, mijala molo i oddalała się szybko od niebezpieczeństwa.

Dziesięć stóp wody dzieliło ją od brzegu i przestrzeń ta zwiększała się z każdą chwilą. Mały nie mógł już nic zrobić; stał więc i patrzył, i dziwił się, że Denny wciąż nie chce umierać, że otacza go jeszcze pierścień splątanych, szamoczących się ciał. Wreszcie upadł. Błyszczące ostrze noża utonęło w nim. Tak zginął ostatni z nieustraszonych.

Denny umarł bez słowa modlitwy na ustach. Mały był świadkiem jego śmierci i pytał siebie w głębi serca, czy nie była ona najpiękniejsza spośród tych, które widział?

Meksykanie widząc upragnioną zdobycz wypływającą na morze, szaleli z rozpaczy, powietrze drżało od świstu kul, a mała "Rachel", stary wilk morski, nabierała coraz większego rozpędu. Drżała cała od intensywnej pracy maszyn. Śruba kręciła się hałaśliwie i statek posuwał się naprzód wielkimi susami jak koń startujący na wyścigach.

Mały nie zwracał uwagi ani na wysiłki "Racheli", ani na kule Grenachowej kompanii. Przyglądał się ze zdumieniem scenie rozgrywającej się na pokładzie stateczku. Pomiędzy workami zawierającymi skarb - niezaprzeczalną własność Józefa Simona - klęczał on sam. Oczami pełnymi szczęścia wpatrywał się w niebo. Łzy lały mu się strumieniem po twarzy.

- Taka była wola Boża - łkał.

Trzej ludzie zapłacili za to życiem - o nich myślał Mały słysząc te słowa.

XXXI - Nowa przyjaźń

Na tym się jednak nie skończyła ani radość Simona, ani dziwactwa Małego. Kiedy dojechali do Nowego Orleanu, Mały zdecydowanie odmówił przyjęcia należnej mu części zdobyczy, a część ta była o wiele większa niż pozostałe trzy. Tamci bowiem byli tylko narzędziami w jego rękę, on obmyślił plany i wszystko się stało dzięki jego zdolnościom i odwadze. Nie chciał tknąć tych pieniędzy, ale zażądał oddania trzem umarłym ich należności i wręczenia jej sukcesorom. Józef Simon bez słowa oddał pieniądze w depozyt. Twierdził ciągle, że tylko dzięki łasce niebios odzyskał to, co było jego własnością i co odebrał mu fatalny zbieg okoliczności i niesprawiedliwość ludzka. A poza tym niebios zwróciły mu własność; ci, co w tym dopomogli, byli wysłannikami Boga.

Dowiedziawszy się o prawdziwym nazwisku Małego, przemawiał do niego w następujący sposób:

- Niech pan tylko rozważy, panie Giwen, że wszystko co się tyczyło naszego dzieła, miało w sobie coś cudownego. Przede wszystkim przyszedł mi do głowy natchniony pomysł portretu. Potem mieliśmy szczęście znaleźć człowieka tak podobnego do portretu, że mógł służyć malarzowi za model. Niech pan się zastanowi chwilę: do przeprowadzenia mego planu potrzebowałem pomocników, ludzi odważnych i przebiegłych. Udało mi się i to; prawie bez wysiłku znalazłem tych trzech nieustraszonych. Żaden z nich nie zawiódł mnie, wszyscy walczyli o moją sprawę tak jak o własną. Gdyby choć jeden z nich zawahał się podczas tej ostatniej strasznej jazdy z San Triste, wszystko by poszło na marne: i nasze życie, i skarb.

Wreszcie niech pan zwróci uwagę jeszcze na jedno: dzięki naszym staraniom zawezwano prawdziwego Vereala z powrotem, przywrócono mu własność i nazwisko; gdyby nie stworzony przez nas epizod, nigdy by nie doszło do tego. Tak, tak, panie, ja widzę w tym wszystkim palec Boży i nigdy nie zużyję dla siebie ani grosza z tego całego skarbu. To złoto jest święte.

- Pan mówi serio? - zawołał bezgranicznie zdumiony Giwen.

- Serio. Oddam te pieniądze na jakiś dobry cel. W naszym kraju są doskonałe szkoły, które potrzebują poparcia; w szkołach tych wychowują się Francuzi, Anglicy, Amerykanie. Pieniądze te dam na jedną z takich szkół.

- Bardzo to szlachetnie z pańskiej strony - odparł Mały. - Ma pan piękną ideę i życzę panu wielu szczęśliwych lat. Ale niech się pan dobrze zastanowi: pieniądze te zupełnie słusznie należą do pana, zdobyte bowiem zostały ciężką i uczciwą pracą pańskiego ojca i pańską.

Józef Simon zaczerwienił się i chrząknął kilkakrotnie.

- Naprawdę nie będzie mi ich bardzo brakowało - odparł. - Historia, którą panu opowiedziałem w cieniu Diabelskich Gór, była zupełnie prawdziwa. Nie zaznaczyłem jednak w swoim opowiadaniu jednej rzeczy. Mówiłem panu, że po powrocie z Meksyku zacząłem robić interesy i że mi się dość dobrze powodziło. Otóż, kochany panie, prawdę powiedziawszy, powodziło mi się świetnie. Wszystko do czego się dotknąłem, zamieniało się w złoto. Z tysięcy robiły się miliony. Świadomość, że pieniądze ukryte w pałacu Verealów są moją własnością, z której - całkiem niesłusznie - nie mogę korzystać, była jedynym powodem, dla którego podjąłem tak ogromne ryzyko.

- Kosztowało to życie trzech odważnych ludzi - surowo odparł Mały.

- Dałem trzem łotrom możliwość odkupienia grzechów uczciwą śmiercią. Poświęcili się dla dobra innych - odparł spokojnie Simon. - Ubolewam nad ich śmiercią, ale nie żałuję niczego.

Mały nie chciał wdawać się w dyskusje, sam bowiem był tylko częściowo przekonany o słuszności Simona. Zresztą pochłaniały go sprawy osobiste: radosny powrót do domu, przygotowania do ślubu, Alicja w śnieżnobiałych atłasach i kremowych koronkach, urządzenie własnego, nowego domu, zabranie się do twardej, wymagającej dużej cierpliwości, biurowej pracy.

Czasem jednak, kiedy w rześki jesienny dzień sfora psów dogoniła już zwierzynę i lis padł, a myśliwi wracali powoli do domu przez pola mieniące się złotem, purpurą i brązem, Jan Giwen podnosił głowę wysoko i przed zamysłonymi jego oczami stawał daleki kraj, pełen potężnych, nagich szczytów i gorących pustyń. Daleko na południu drzemało w promieniach słonecznych białe miasto San Triste, tłumy przechadzały się pod cyprysami nad Rio Sabrina, słychać było grającą na Plaza Munizipale orkiestrę i wyróżniający się dźwięk fletu.

Sądzone mu jednak było zobaczyć jednego z dawnych znajomych z San Triste.

Pewnego dnia przyniesiono mu kartę wizytową: wydrukowane na niej było nazwisko Emila Fleurietta. Pośpieszył do holu i zobaczył tam znajomego staruszka o surowej twarzy. Chciał mu uścisnąć rękę, ale Emil umożliwił to, gnąc się w niziutkim ukłonie.

- Don Jose Vereal każe się panu klaniać i zapytuje, czy może rzucić kartę panu Janowi Giwenowi.

- Proszę powiedzieć panu Verealowi, że oczekuję go z niecierpliwością.

Vereal przyszedł nazajutrz. Wyglądał jak zawsze ślicznie i jak zwykle był wesół, usiadł na brzeżku krzesła i opowiedział Janowi wszystko, co zaszło w San Triste od tamtego czasu. Grenacho, po tym nieudanym pościgu przez góry, stracił mir u swoich; bandyci zamorodowali sławnego przywódcę i rozpierzchli się po świecie, San Triste drzemało jak zwykle w słońcu, dochody z majątku zmniejszały się stopniowo, fortuny dzierżawców rosły z każdym dniem.

Don Jose śmiał się opowiadając to i wzruszał ramionami.

- Przecież nie można pieniędzy zabrać z sobą do nieba. Niech mają to, czego pragną, niech będą szczęśliwi! Dla mnie zostanie i tak dosyć! Mam nadzieję, że starczy też jeszcze dla moich dzieci.

- Niech mi pan, proszę, powie jedno: czy Emil Fleuriet nie słyszał wówczas w bibliotece jakichś słów, które mogły w nim wzbudzić wątpliwość, co do mojej autentyczności?

- Oczywiście, że tak.

- To czemuż - na miłość boską - nie dał znać policji?

- Bo pokochał pana. Innej przyczyny nie widzę, a on nie chce nigdy poruszać tej sprawy. Emil Fleuriet, to człowiek o wielkim charakterze. Zresztą wie pan o tym równie dobrze jak ja.

- Bez wątpienia. Teraz pozwolę sobie zadać panu pewne pytanie, na które pan może odpowiedzieć lub zapomnieć, że zostało zadane: jak się miewają rodzice mojej żony?

Vereal przypatrywał się przez dłuższy czas papierosowi.

- Postarzeli się i zastygli w dawnych formach - odpowiedział wreszcie. - Ale skoro pan mnie o to pyta, niech mi jeszcze będzie wolno powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro, że nie kazali mi pozdrowić córki.

- Z czasem i to minie - odparł Jan Giwen. - Don Fryderyk jest podobny do nakrochmalonego kołnierzyka, którego zmiękczyć może tylko woda. Czas odegra tu tę rolę w stosunku do jego dumy. Jeszcze jedno pytanie: co się stało ze starym nauczycielem? Zapewne umarł.

- Ludwik Gaspard? Ależ nic podobnego! Wybudowałem mu domek i napelniłem książkami. Zamieszkał tam i czuje się bardzo szczęśliwy. Wychodzi do mnie co dzień rano, gdy jem śniadanie. Staje za moim krzesłem i wypytuje mnie: co czytam, czego się uczę. A kiedy dowiaduje się, że nie postępuję na drodze wiedzy, kiwa głową i martwi się, rozmyślając nad tym, jakim człowiekiem mogłem zostać, gdybym nie był Verealem. Może ma rację.

Jose westchnął, ale odegnał od siebie prędko smutne myśli.

- Pocziwa ludność w San Triste chyba nie bardzo go lubi?

- Wprost przeciwnie. Ubóstwiają go.

- Ależ on zdradził ich Vereala!

Jose roześmiał się.

- O tym zapomnieli. Przecież przywiózł mnie z powrotem, o tym tylko pamiętają ci kochani i nieco lekkomyślni ludzie.

Gdy Vereal odchodził, Jan Giwen odprowadził go do drzwi.

- Niech mnie pan jeszcze odwiedzi - mówił serdecznie. - Szalenie mnie pan tym ucieszy. Bardzo, bardzo proszę nie zapominać o mnie.

Vereal podniósł głowę i odgarnął z lewej skroni pasmo włosów: ukazała się długa, głęboka blizna.

- Kiedy wiatr wieje od północy - odparł - dokucza trochę rana. Pamiętam o panu.

Zawahał się. Nagle serdecznym ruchem ujął obie dłonie Giwena.

- Niech pan przyjedzie do San Triste. Dzień, w którym pana widziałem po raz ostatni, był też ostatnim wesołym dniem w moim życiu. Proszę, niech pan przyjedzie. Od czasu, gdy nas pan opuścił, Tom Lewen ogromnie posmutniał. A wie pan, jak on pana nazywa? Ten drugi Vereal.